

# Ja,gore

## Tuwim Julian



calibre 0.9.27

# POLSKA NOWELA FANTASTYCZNA

JA GORĘ

TOM PIERWSZY

ZEDRAŁ:

JULIAN TUJIM

WYDAWNICTWA „ALFA”, WARSZAWA 1983 R.

JA GORĘ

Józef Maksymilian Ossoliński

NIE UŻYJE, NIE ŻYJE, NIE SPIJE..

DIABEŁ PRZYLECI I PORWIE

Niegdyś u źródeł Czarnego Dunajca mieszkał na folwarku jakiś Li-

czygroisz, zawiędły starzec, znajomszy pod tym przezwiskiem, danym  
sobie od sąsiadów, niżeli z imienia chrzestnego i szlacheckiego. Ten,  
przepędziwszy część wieku to przy dworze, to w palestrze, najprzód  
handlując konikami, potem za ekstrakty coś złotych nazbierał - dalej  
tak nimi umiał robić, że mu każda przyplodziła synów i jeszcze wnuki  
prawników. Co Trzech Króle zgarnował roczniaki<sup>1</sup>, pochuchał na nie,  
wnet zaś rozpuszczał na świat z ojcowskim błogosławieństwem: ro-  
śnijcie! rozmnażajcie się!

r o c z n i a k i - konie jednoroczne,

Kiedy jeszcze u dworu pokręcał był węża, już wtenczas nikt na jego  
koniku posrebrzanego rządziku nie widział, chyba pożyczony na jar-  
mark; gdy w kancelarii piórkiem garnął, nikt go bez powłoki zgrzebnej  
na rękawach, choć wytartych, nie zobaczył - a kiedy zaczął skarbnicz-  
kiem do Lwowa jeździć, zawsze na popasie tylko przy cudzej strzesze.  
Nie upijał się, tylko przy litkupie albo na sejmiku; nie jadał smacznie,  
chyba na stypie; nie płacił, tylko przez Bóg nagródź... Rozumiano, iż  
na nim chybi owo przysłowie: Kto się starzeje, zskąpieje; atoli nabyw-  
szy wioski i zgrzybiawszy, ujął sobie jeszcze obroku. Cały tydzień  
suszył o chlebie i o wodzie; nie kurzyło się u niego z komina, chyba w  
jedną niedzielę. Zamiast, co przedtem, na odpusty uczęszczał, teraz,  
ponieważ porachował, że jałmużna i podkowy kosztują, obchodził tyl-  
ko chłopskie chałupy z różańcem w ręku, zawsze kiedy dla parobków  
dwojaki na pańskie nakładano. Henryk IV goręcej nie pragnął, żeby  
każdy z jego poddanych miał kurę w garnku, jak on sperki warzęcą

domacać się. Nie puszczał nawet na lichwę z rąk grosza, obmierziwszy sobie i tę, że żeby brać, wprzód trzeba było wydawać. Gościniec u jego wrót ledwo wystarczył na gnojnice 1 - reszta bujna pasza dla koni.

Fornal, którego barwa 2 więcejkroć niż u Gellerta 3

kapelusz postać zmieniwszy, z opończy pańskiej zwężona na żupan

maształerski, z żupana obcięta na kurtkę, z kurtki na katankę 4, na

kołku wisiała, podług czasu cały tydzień albo w polu włóczył, albo z

lasu drzewo, albo zboże na targ, a raz w rok na Wielkanoc samego

jegomości do parafii woził. W fraucymerze trzy kobiety się mieści-

ły: dwie dziewczki, które i krowy doily, i osypkę dla wieprzów zaprawia-

ły, i wieczór litaniją śpiewały z jegomością; tudzież kucharka, babsko

wyschłe jak szczepa, złe jak diabeł, co cały tydzień skubała pierze w

garnczku, a siódmego dnia nastawiała kurę do ognia. Naprzeciw fol-

warku, okno w okno, nie opodał, wisiał okruch starego zamczyska,

osławionego między ludźmi wiejskimi za lamus złego ducha; nawet

kiedys dawno słyszał był i Liczygrosz, że się tam pieniądze przesusza-

ły; owszem, w nadziei, że mu komorne diabeł miał opłacić, tak na dia-

bla czyhał, jak diabeł na dobrą duszę.

g n o j n i c e - wóz używany do wożenia gnoju,

b a r w a - liberia, ubiór dla służby,

G e l l e r t Christian (1715-1769) - poeta i romansopisarz niemiecki, tłuma-

czony w Polsce,

k a t a n k a - kaftan, bluza

Trzeba, żebyś pani wiedziała, iż dziedzic, który mu był zbył ową

majątność, był to syn drugiego podobnego mu Liczygrosza; lecz się w

6

Warszawie chował, otarł się o wielki świat i skoro szkoły skończył, raczej przeszedł, chwycił się klamki dworskiej. Wnet został szambelanem. Żył też po szambelańsku: na fraczki, imoście, karteczki, baliczki nic nie żałując. Nie dawalić rodzice dosyć; szczęśliwy atoli, iż procentem po sto od sta, na kwitki, chwycił był za serce wówczas jeszcze miękkiego naszego Liczygrosza, czerpał jakoby z Paktoluł od niego złoto. Zostawało mu z Paryżem się poznać. Jakoż, skoro rodzice Bogu ducha oddali, zaraz się począł wybierać i na łeb na szyję ułatwiać się z wioskami. - Liczy grosz nie opuścił tej dobrej pory. Zawitał do szambelana. Zrazu chciał go dawnymi świstkami kwitować i to wiele w targu zabruździło, gdyż szambelan z swojej strony wyciągał za wieś tyle, iżby mu się okroiło i na drogę. Daremniuteńko napocił się Liczygrosz inwentarzem cyfrę po cyfrze zbijając, nie było sposobu, tylko rozwiązać trzos, a świstki na ćwiartkę zamieniwszy, czekać z długiem, ażby trzechletnie zastawy ranniejszym ichmościom, co do worka nie dawały, tylko zachwyciwszy za dworek, wypłynęły.

P a k t o l (gr. Paktolos) - rzeka w Lidii, w której piasku znajdowano w starożytności złoto i srebro

Szambelan miał jedną siostrę, która w owej wsi przy rodzicach chowała się. Piękna jak anioł, wyrównywała urodą imieniowi swojemu Anielki; a że dla podróży za pasem nie mógł się do jej opieki rozpołować, przekazał przy obrachunku Liczygroszowi jej posag, zlecając mu

odwieść ją do klasztoru. Liczygroszowi atoli zdało się, że za jego taniowym płótem mogła równie świątobliwie żyć, jak za furką; przynajmniej dopóki by do tej doskonałości ducha nie przyszła, iżby się na rzecz jego z marności doczesnej wyzuła. Bywało najmiłszą zabawą starucha, w komnacie na jednej żelazem okutej skrzyni siadłszy, śpiewać godzinki, talarów po jednym dobywać, wycierać je kawałkiem sukna, rachować i zamykać; ów nawet płat sukna zamykał, by go kiedyś na srebro spalić; kiedy zaś nad tym ochędostwem ślęczyć miał,

7

pozbywał się domowych śpiegów; nawet wcale niedorzecznie Anielkę za wrota wyprawiał. Toć mu to jedno wszystkiego piwa nawarzyło.

Kiedy pod wieczór powracała Anielka od żniwiarzów, spotkał ją młodzik sąsiad, chłopiec młody, fertyczny, udatny, idąc z pola z torbą myśliwską. Pokłonili się sobie, powiedzieli sobie, że tu się o tejże godzinie zejda. - Powiadali to zawsze dzisiaj na jutro... aż diabeł w zamczysku począł łuczywo palić.

Już Liczygrosz utyskiwał był o zawód na inwentarskiego biesa; owa łuna ucieszyła go tedy niewypowiedzianie. Całą noc świerzbiała go dłoń, ani mógł oka zamknąć, łudzony nadzieją, że lada chwila z potężnym worczyskiem jakie biesisko zobaczy. Uchylają się drzwi. Nie nadażył zarzucić na siebie żupana... Jakaś postać suwa ku niemu poważnym krokiem. Młodzieniec hoży, wysmukły, długą czarną czamara<sup>1</sup> okryty od głowy do stóp, z rozpuszczonymi, pod czarnym kłobukiem<sup>2</sup> w różne gwiazdy i księżyce kreślonym, włosami... Trzymał w

ręku złocistą różgę.

c z a m a r a - dawne męskie ubranie wierzchnie, długie, szamerowane, zapinane pod szyją,

k ł o b u k - nakrycie głowy

Struchlał staruch. Był to ówli bies, co Chrystusowi w Ogrojcu złote

góry obiecywał? albo li anioł ze trzech, którzy niegdyś popasali u Lo-

ta? czyli z owych dwóch, co w Kruświcy wy łykali miodek Piastowi?

Niepodobny jednak do żadnych; bez rogów, ale i bez skrzydeł; wtem

ozwał się głos z powietrza: Dobrogost! Dobrogost! - a nieznajoma po-

stać, ledwo kiwnąwszy głową, tak z góry rzecz zaczęła: - Padaj na kola-

na, najszczęśliwszy starcze; zniżaj głowę pod niebieskie błogosławień-

stwo!... Sześćdziesiąt lat temu, wierny bogomódlco, jak dnia siódmego

marca o godzinie pierwszej z północy, pod najprzychylniejszą gwiazd

zorzą, z błogosławionego żywota twojej matki urodziłeś się w czepku.

Bystrość młodości nieco cię była, kiedyś to dworsko służywał, zbiła z

drogi do twego fortunnego przeznaczenia; wygrałeś jednak, żeś się

wczesną pokutą nawrócił. Powołanie moje: wybranym

Pańskim łaski niebieskie szafować i przewodniczyć im do owej

wiecznej chwały, przy której blaski świata tego mgła i ciemność! -

Zbladł jak chusta Liczygrosz, żeby go stryczkiem do góry nie pocią-

gnął; przecież go niedługo wytrzymawał i dalej mówił: - Nim lat

twoich miary na tym padole dopełnisz, bierz już sowitych nagród za-

datek. Odtąd jako Szwedzi ten tu zamek zburzyli, czekają tam na cie-

bie w pieczarach bogate skarby. Pierwej, niż wszechmocne słowo

świat z niczego stworzyło, przedwieczny wyrok przeznaczył ci dziedzictwo tej tu wsi. Mogłeśli, zaczynając się dorabiać od szeląga, spodziewać się, żeby ci na kupno jej stało? I któż by, kto znał przedprzesłego jej pana, sądził był, iż by kiedy padła na tablicę? Anić pan synek dla czego innego nie u fary się, ale w Warszawie chował, ani dla czego innego gwałtowną chęcią gorzał powąchania Paryża, ani z inszej przyczyzny rodzice jego ósmego krzyżyka, jedno pięciu, drugie czterema laty nie dożyli, tylko szczególnie dla tego, żebyś ty to dziedzictwo ochłonał. Przypomnij sobie, jak ci to serce dutkowało<sup>1</sup>, kiedyś paniczowi, nim jeszcze pan ojciec jego pierwszy raz zakaślnął, na skrypcik sumkę wygadał; jam ci to niewidzialnie szeptał do ucha: ej, daj!...

d u t k o w a ć (dudkować) - durnieć z trwogi

Pamiętasz, jak owo przy kupnie już o kilka tysięcy rozchodziło się i że jakaś siła mimo ciebie pchnęła twoją rękę?... Jam to... Alboż nie odskoczyłeś był od porękawicznego?... Czyż już nie umknąłeś był na skarbnik?... Nie czułeś, a jam to ciebie ze skarbnika zsadził. Już dobija godzina moja - ziszczą się obietnice niezadługo... Bądź gotów! - Zniknął Dobrogost, Liczygrosz zaś, gdy wyjść chciał, stukać musiał we drzwi. O północy staje znowu Dobrogost. - Idźmyż tedy - rzekł. Liczygrosz ociąga się. - Izaliby się beze mnie nie obeszło? - Toż ty tylko tyle obiecujesz sobie - odezwał się Dobrogost - ile jeden udźwignie?... - Idźmyż- odpowiedział Liczygrosz - w imię Boskie. - Czarnoksiężnik różdżką swoją krąg okoliwszy na gruzach, padł na kolana, coś niezrozumiałego pod nosem pomruczał, aż jedną razą krzyknął na głos: -



Występuj! - Żegnając na wprost, na wspan, na ukos powietrze prętem,  
powtarzał: - Występuj! występuj! - przy nim zaś duch niewidzialny  
wołał: - Dobrogost! Dobrogost! – Skoro chuchnął Dobrogost trzy

9

razy w loch, odezwało się spod ziemi chrypliwe charkanie: - W jakiej-  
że postaci stawić się? – Tupnął nogą Dobrogost: - W człowieczej! -

Sowy i puchacze zatrzepotały hurmem, oberwał się wicher, grzmiało,  
łyskało się. Otóż olbrzym, szczery węgiel, sążnisty na dwóch drabów  
nad podłogą, a nogi krył jeszcze w dole. Dobrogost z góry na niego:

Oddaj skarb! - Oddam - rzekł olbrzym - ale niech wiem, komu. -

Duch w takt zakrzyczał: - Dobrogost!... – Olbrzym znowu: - Za nic,

nic!... - Dobrogost: - Oddaj! - Olbrzym: - A cóż dasz? - Dobrogost pal-

catem1 po olbrzymie... Olbrzym: - Nie kol, nie gryź, nie piecz, nie pal.

Tenże to pstrych2 chce mię naraz obedrzeć! niechaj co wziąć ma, kupi

sobie u ubogich...Odbierze za jałmużnę dziesięć lichwy. Dobrze ty

wiesz, jak rozporządzić zadatek. - Przepadł olbrzym z trzaskiem i ło-

skotem, gdzieś się podział Dobrogost. Biedny Liczygrosz nachwytał

guzów, tłukąc się po jaskini, porała twarz, ręce po cierniach, ledwo się

wygramolił, ledwo się też na swoich nogach dowlóknął do chałupy.

p a l c a t - kij używany do fechtunku; gruby kij, pałka

p s t r y c h - pstrogłowiec - ktoś niepoważny, mający pstro w głowie

Następującej nocy, nim wybiła dziesiąta i Liczygrosz jeszcze roz-

mawiał z Anielką, zjawił się do nich nie wiedzieć skąd Dobrogost. Li-

czygrosz co żywo do skrzyni... wlecze potężne worczysko. Spojrzy...

Tam do kata... Anielka. Nie postrzegł, jak się półgębkiem umizgała do Dobrogosta, postrzegł jednak, że zoczyła trzos... Huknął: - Precz za drzwi!... - Dobrogost skrzywił się na wór: - To nadto na początek; odejmij dwa tysiące siedemset. - Liczygrosz nuż po swojemu rachować... Odliczył dwa tysiące siedemset, potem przeliczył trzysta: Dobrogost tym razem za drzwi... Drzwi zatrzasnął za sobą. Stała przed drzwiami Anielka. Liczygrosz porachowawszy ruszył klamką... Owóż Dobrogost raptem drzwi uchylił... Brzdęknał za próg nieborak Liczygrosz jak długi. Chlust przez niego Dobrogost... Łap za wór... Obaczymy się

10

jutro o tym czasie. Dźwiga się Liczygrosz... Dobrogost nazad hop go jeszcze nogą w grzbiet... i poleciał.

Nazajutrz odpust był w parafii... Liczygrosza wzięło nabożeństwo dostąpić odpustu. W kościele na swoje uszy słyszał, jak ksiądz pleban jego hojność wielbił za hojną jałmużnę, a cały kościół dziwował się tak wielkiemu cudowi. Niecierpliwość, z którą pani czekasz na obiecany sztych Rembrandta, nic jeszcze względem owej, z którą Dobrogosta wyglądał Liczygrosz. Bodaj pani trafiłaś na tak rzetelnego, jak ów tą razą pokazał się... Godziny, minuty nie chybił... Na pierwsze hasło za doświadczonego wodzem, i nie z próżnymi rękami, z rydlem, z motyką, z łopata, ruszył Liczygrosz po złote runo... Na takie to trudy Bóg skazał Adama wyrokiem: „będziesz na chleb zarabiał w pocie czoła twego”, jakie Liczygrosz kopiąc poniósł; cały w wodzie, ani wydychnął: a wiara jego tak mocna była, że co skibę odwalił, łyskała mu się

złotym piaskiem; na koniec skrzyło żelazo o kocioł: skoczył z pociechy... kocioł był kadziowy. Ach, pani! O, jak widok owego kotliska żgał w serce Liczygrosza... Albowiem stróż stał tuż z rozpalonym stemplem, ukazując skarb, i bronił głębiej łowić. - Nie odrachowało się ni mniej, ni więcej, jak dziesięć razy trzysta: trzy tysiące. Do tego Dobrogost na całe dziewięć dni oddalał się za rozkazem archanioła, aby wołą Boską czym prędzej niósł do pewnego kraju, wyżej niż gwiazdy leżącego.

Dobrogost, ostatniego dnia zawitawszy, znalazł Liczygrosza krzyżem leżącego na ziemi, który zebrał, aby na drugą stawkę, do trzystu, mógł chociaż trzy cyfry przysądzić, ale on ledwo na jedną pozwolił. Nim słońce weszło, już ta suma była o pięć mil w konwencie ojców bernardynów, skąd nazajutrz sam gwardian z dwoma lektorami i z całym zgromadzeniem przybył odśpiewawszy *Si queris*, życząc, aby Bóg na dwójnasób nagroził. Rozśmiał się w duchu Liczygrosz; on bowiem grał o dziesięć, nie o dwa. Wielebni tedy odjechali na sucho, ani się z flaszką obaczyli.

11

Znowu bies zamkowy zrywał się weksłu zapłacić; duch Dobrogosta narwał sobie gardła. Sam Dobrogost zmachał się żegnając, niżeli go wywołali. Liczygrosz, choć to niejedyn z nim dłużnik kominków nawywijał 1, dziwił się przecież temu mataczowi; koniec końców musiał bies, rad nierad, kapitał liczyć sam swoją ręką, nawet sam w skrzynię wpakować i z drugim biesem do komory Liczygrosza zanieść.

l k o m i n k i w y w i j a ć - używać wykrętów, forteli

Rozrachowawszy się Liczygrosz nuż znowu pędzić na znaczniejszą płątkę 2; ale że diabeł oczywiście brał na kieł, nie dopuścił mu Dobrogost odkazywać się 3. Dosadził, owszem, nowem i dyscyplin... Trzecia kwota lepiej jeszcze obrócona została niż dwie pierwsze: nie na księdza plebana, nie na księdza gwardiana, ale częścią na Dzieciątko Jezus, częścią na Szpital Św. Łazarza, których kwity autentyczne, z pieczęciami, niepojętym cudem Liczygrosz, gdy kiedyś dla jednej karty, której blisko termin wyływał, swoje węzłki przetrząsał, w półskrzynku znalazł.

p ł a t k a - stawka w grze

o d k a z y w a ć się - być dumnym z czegoś, pysznić się, przechwalać; także odżegnywać się

Liczygrosz zwąchał był, że Dobrogost nie diabeł, bo się i owszem z diabłem za łeb wodził; już go nie poczytywał i za anioła wytrzęsikufła, bo mu nigdy nawet o szklankę wody się nie przy mówił; ale jeszcze się wahał między dwojgiem: byli z rzędu owych duchów, co w odludne knieje i do niedostępnych tarasów śś. pustelnikom, męczennikom, rycerzom i pannom ambrozię i nektar nosili, albo tylko prorokiem, który na dłoni przyszłość i przeszłość widział. Sam Dobrogost zdjął mu do reszty łuszczkę z oczu.

Jednego dnia, gdy jeszcze Liczygrosz z Anielką u stołu siedział przy żurze i śledziu, przysiadł się do nich niespodziewanie on trzeci; a że owi we dwoje tylko naprzeciw siebie siedzieli, wypadło mu miejsce

obok Anielki i ilekroć staruch się zajadł, miał sposobność szepnienia jej słówka do ucha. - Ach! ach! - rzekł Dobrogost postrzegłszy, że Liczygrosz spod chmury na nich zyzował - panience tej, jak widzę, nie bardzo się chce do klasztoru, a jednak nie chybi ją święty kaptur. - Moja panno - to mówił obróciwszy się do niej - Bóg cię obrał sobie za

12

oblubienicę, posag zaś twój przeznaczył temu tu bogobojnemu opiekunowi, który młodość twoją pielęgnował i od zarazy świata zachował. Piękna z waćpanny będzie mniszka! - Anielka parskła od śmiechu... Liczygrosz trzymając szklankę przy ustach zachłysnął się. Sam Dobrogost ledwie się utrzymał. Dobrogost sięgnął do kieszeni, dostał zwierciadełko okrągłego, niewielkiego; dał się Anieli w nim przejrzeć, razem coś jej po cichu gadał, z czego Liczygrosz, przestając się krztusić, tylko tyle usłyszał: - Ręczę, że to nie minie! Bogu nikt się nie sprzeciwi! - Aniela zasłoniwszy się serwetą, którą, przezroczystą rzeźbionymi dziurami, nie lada sztuka było zasłonić się, uszła do alkierza. - Archaniele, cudotwórco nad cudotwórcami! - rzekł Liczygrosz Dobrogostowi, bijąc pokłony ruskie. Obruszył się Dobrogost: - Nie bluźnij, omamiony, nie mnie się te pokłony należą, jestem człowiek jak ty, proch i glina! Uderz się w piersi, nie pozwolę ci dłużej wiązgnąć i w bałwochwalskim błędzie. Tego dnia, któregośmy się poznali, odnowiłem po trzeci raz życie w Rzymie, w pieczarach świętych. Przez dzieśnięć wieków i półczwartą część połowy, to jest przez lat blisko tysiąc, nie czując się, czylim żyw, czylim umarły, spoczywałem między

umarłymi.

w i ą z g n ą ć (wiąznąć) - grzęznąć

Owo zaczął mi skrzepły duch powoli tajeć wznosząc się w niebiosy - gdzie czego oko ludzkie nie widziało i ucho nie słyszało, tom słyszał i oglądał. Na koniec głos trąby: powstań! powstań! ocucił grube zmysły moje. Sędziwiec biały jak gołąb stał był tuż u nóg moich z klepsydrą w jednym ręku, z kosą w drugim na dół spuszczoną, który ilem się dźwigał, tyle opadał, aż gdym już na nogach stanął, w ziemię zniknął. -

Czas twojego zachwycenia wypłynął! - usłyszałem głos z góry.- Okryj swoją nagość! - Zatem cudownie wwlókła się na mnie sama koszula najłechciwszymi woniami przepachniała. - Mówi do ciebie – rozlegał

13

się dalej tenże głos - Azael... Azael, twój odtąd po wszystkich twoich ścieżkach towarzyszy. Ziemią, po której depczesz, święta, chwalebnych męczenników, aż do powszechnego ciała zmartwychwstania, spoczynek. - Natychmiast zajaśniał na powietrzu płomyk zatężonej błyskawicy, który z wolna się pomykając wskazywał mi drogę. Bramy same się otworzyły... Przez szyję jedne, drugą, trzecią częścią szedłem noga za nogą, częścią się czołgał. Kisa u spodu głucha cichość, sępiła ćma całą otchłań, okropniejsza przy ponurym błysku kagańców; oddech własny i stęp rozlegając się, nabrzmiałym przerażał odgłosem; widoki wszystkie martwe stały, a jeden tylko ów mój promyk miejsce odmieniał, posuwał się, górował, górował przede mną albo spadał mi pod nogi, jakem się opuszczał w przepaść, albo na wierzch wybijał. Coraz

krzepło mroźne powietrze, póki w jakimś okrągłym, obstawionym posągami placu nie ścięło się na lód. Owe nieme twarze zdawały mi się wzrok gniewliwy na mnie ostrzyć i oblicze nasrożyć. Znalazłem zamkniętą bramę, śklącą się, jak gdyby kryształową... - Tu Liczygrosz zdrzymał się i Dobrogost sam coś przez sen marzył, aż któryś kichnąwszy swojego spłoszył Morfeusza, sąsiada też otrzeźwił. - Brama była z lodu, przeszył ją wskroś mój błyskawiczny promyk... wszedłem do jakiejś kostnicy, gdzie rozrzuconych w trójgran, w woniejącym z kadzielnic nieprzeliczonych dymie, tylko trzech trupów stało. Jeden miał na głowie kłobuk, drugi na plecach czamarę, trzeci w ręku różdżkę.

Od strony pierwszej odbił się głos Azaela: - Bierz z głowy Abrahama mistyczny kołpak, z barków Salomona paludament 1 mądrości, z rąk Mojżesza różdżkę cudotworną. - Te to są... Azael także ten, którego słyszałeś już nieraz przy mnie.

p a l u d a m e n t - płaszcz książęcy, królewski jako symbol władzy

14

Strętwiałem, nie czułem się! W martwych liczbę prawie powróciłem, ale Azael trącił mnie, włożył mi w uszy jakoby te słowa: - Już obumarło w tobie, co było śmiertelnego, tak że oczyszczony twój duch, ilekroć się wzbija z wiotkiej powłoki ciała, przez cały przeciąg powietrza między niebem a ziemią, co wam ludziom wiekuistą chwałę zasłania, w mgnieniu oka do najwyższego Empiru wybują... Postępuj! - Przez gruzy, zwaliska, przez wąskie i opadłe ganki, to chyłkiem, to

rakiem, to na brzuchu darłem się... Toż jednym razem przepadłem na  
łeb w bezdenną otchłań, ale nie doleciawszy znowu stanąłem na no-  
gach. Tysięczne szkiełka potłuczonego jakiegoś niezmiernego zwier-  
ciadła łyśkały się rozsypane po ziemi. - Bierz jedno z nich - zawołał  
Azael - w nim ujrzysz przeszłość i przyszłość... - Rozumiem! - kiwnął  
głową Liczygrosz, dając znać, iż się domyślał, że to samo było, w któ-  
rym Anielka coś, co jej śmiech ukróciło, zobaczyła... - Pójdźmyż - rzekł  
mi Azael, stanąwszy przy moim boku pod postacią młodziuchnego  
anioła - oglądać tego, który niegdyś to całkowite zwierciadło posiadał.  
Równy mu nie powstanie przez wszystkie wieki! - Z ścieżki w ścieżkę,  
tysiącami rozlicznie pomatanych szlaków błakając się, spostrzegłem w  
ustępie skały sędziwego starca zgarbionego nad księgą. - Uderz czo-  
łem - zawołał Azael - przed sługą Bożym, przed arcyprorokiem Danie-  
lem, który to w ognistym piecu gorzał, a nie zgorzał, w dole z lwami  
siedział i dosiedział, znał, że złoto nie srebro, srebro nie miedź, żelazo  
nie glina; który rachował tygodnie za roki, a wyrachował. Weź z rąk  
jego księgę... Włóż pod pachę.

Nagle szmer jakiś zaświstnął; ulżywałem się i ulżywałem, sam nie  
wiem, jaką mocą. Marzyło mi się, żem się z przepaści wybijał „na  
wierzch. Obejrzę się, aż oto góry... rozstajne drogi. Żadnej nieświa-  
domym, kierował mną Azael, ksobie, od siebie, ksobie; aż do twoich  
wrót.

u l ż y w a ć się - unosić się



Dobrogost skończył. Liczygrosz dumął. Uciszyło się, jak gdyby ktoś maku posiał. Pozwól, pani, i mnie odetchnąć: gadałem ci za dwóch.

Biedna Anielka od tego czasu, jak poszła była od stołu zakrywszy się dziurawą serwetą, nie pokazała się więcej na świat; łacniej powiedzieć, czego nie robiła, niżeli co sama w komorze robiła... Nie czytała zapewne francuskiej książki. - Och! objawia mi Azael... - rzekł Dobrogost do Liczygrosza. - Teraz, teraz czart najtężej do Anielki szturmuje... Chwieje się już między światem a klasztorem, czas ra pomoc... Idę... Ty, bogomódlco, padaj krzyżem, a wspieraj nas gorącymi modłami bez ustania, aż dam znać, że zwyciężyła.

Nie obiecywał sobie prorok lada szcztką w nos zbić przeciwnika swego tedy hartował się na bój. Dostał z kieszeni flaszeczki podługowatej, odwrócił się nieco na bok, niby to pić. - Co to za flaszeczka? - pomyślał sobie staruch - skąd? czemu o niej ani trunął 2?...

t r u n ą ć - puścić, parę z ust, odezwać się

- Jest to eliksir długiego żywota - odezwał się Dobrogost. - Azael spuścił mi go był z obłoków, kiedym już wierzch ziemi piętą tłoczył. Niszczy choroby, uśmierza wilczy apetyt, orzeźwia serce, ostrzy męstwo, nie dopuszcza ran; jedna kropla przyczynia życia na dziesięć lat, po pięć tylko kropel zażywa się, bo po pięć tylko przybywa. - Spojrzał Liczygrosz tak miłosiernie, że Dobrogost musiał go przeproszać, że go nie częstował; albowiem gdyby ludzie tego trunku zażywali, rejestra dni każdemu naznaczonych ustawicznie by się myliły. Liczygrosz prosił choć powąchać... Nie knował ci jeszcze zdrady: lecz snadno się

zajmuje, kto stawa blisko ognia. Ewa powąchać tylko żądała jabłka, ani sama wiedziała, co czyniła, gdy go zamiast do nosa poniosła do gęby. Bez rozmysłu i Liczygrosz połknął kilka kropel, wszakże zastanowiwszy się nad owym: mamli za jedną nogę wisieć, niech »wiszę za dwie - przebrał dozę. Wtenczas to było widzieć proroka! Cały w płomieniach, istny krzak gorejący... Zajędyczył się, zębami zgrzytał,

16

skoczył, flaszkę wydarł. Kara tuż za występkiem dybała... Liczygrosz ani odkaślnąwszy natychmiast powieki opuścił, kiwnął głową, zachwiał się na łydkach, padł bez zmysłów pod nogi Dobrogosta, który raz, drugi i trzeci kopnąwszy go poszedł, gdzie miał pójść.

Jako owo, kiedy Paliświat 1 kark był z słonecznego wozu skręcił, czarna noc, dzienną porę pochłonawszy, na całe dwadzieścia cztery godzin świat okryła, tak podobnie, gdy Liczygrosz upadając świecę obalił i zgasił, w izbie się u niego zaćmiło.

P a l i ś w i a t - Faeton, syn boga Słońca, Heliosa; o::iec pozwolił mu powozić przez jeden dzień swym wozem, ale konie poniosły, zboczyły z drogi i byłyby spaliły świat, gdyby Zeus nie zabił Faetona piorunem. (Przypis z rękopisu).

Czeladź od wschodu do zachodu stała pode drzwiami, ale wiedząc, że drzwi, równie jak i okiennice, bywały zazwyczaj z wewnątrz izby zahaczone, już to dumiała, czemu się tak długo nie pokazywał ich pan na świat, już to radziła, czyli się dobywać, czyli posłać do ślusarza po wytrych; aż Dobrogost przyszedłszy, chwycił zâ drzwi - i uchyliły się, szarpnął - i otworzyły się.

Leżał Liczygrosz jak nieboszczyk na ziemi i gdy go prętem pierwszy raz skrobnał, nie dał najmniejszego znaku życia, za drugim cokolwiek stęknął, lecz za trzecim ledwo się otrząsł, za czwartym dopiero się przewalił z boku na bok, dopiero za piątym, siódmym, ósmym, dziewiątym na wołanie Dobrogosta ze wszystkich sił: - Wstawaj! wstawaj! - oczy otworzył i dźwigał się. Roilo mu się coś jak przez sen, że powąchał był flaszeczki, że od razu jakaś moc uderzyła nim o ziemię, że całe hufce ułanów piekielnych po nim tratowały.

- Grzeszniku! - przywalił go z góry Dobrogost - Bóg miłosierny wrócił cię cudem od samych bram śmierci, z podwórza piekielnego; albowiem gdy archanioł sprawiedliwości przeważył twoje zasługi na

17

nieomyślnej szali z twoimi przestępstwami, owe nikły w górę. Ale dziękuj Bogu: Anielki pobożne przedsięwzięcie, moje też niegodne modlitwy gwichtu im przydały. Żyj, a popraw się! - Drżał biedak, schowałby się był w gęstwinię, jak owi, co w raju grzechu ukąsili; ale na nieszczęście nie było w izbie, jak cztery kąty i piec piąty, a od pieca zastępował Dobrogost. Jęknął załamując ręce... - Ach, już po skarbach! - Anielka wlatuje, poburzona, zmieszana, zadyszana, padła na klęczki, składa ręce do tego, do owego, ażeby ją czym prędzej do klasztoru odesłać. Ilekroć łzawe jej oko z okiem Dobrogosta spotykało się, tym żywiej się zapalała, tym głośniejsze w niej serce biło i tym gęściej wdychała. - Nie bądź gorąco kąpana! - zgromił ją Dobrogost - nie łów ryb przed niewodem! Alboż i oblubieniec twój nie tęskni za tym, za czym i ty?

Poznał zły duch, jak Liczygrosz przyszedł dług podnosić, po jakimś siniaku, iż się musiał nie lada jako poszkapić. Pamiętasz, pani, jak ostatnią rażą szatan brał już na kieł, teraz drugie tyle rogów mu przyrosło; w postaci swojego brytana leżał na kotle, a zęby wyszczerzał i ślepiami na Azaela, jako też i na samego Dobrogosta iskrzył. Wszystkie zaklęcia, groźby, zażegnania, przeżegnania, odżegnania padały jak groch na ścianę! - Wziął się na koniec Dobrogost do księgi: przewraca kartę... biały papier... drugą... i ta goła; na trzeciej także pas; ani za dziesiątą nie znalazł, czego szukał; poślinił palce, nuż tedy wciąż odmiatać jedną po drugiej; przeleciał siedemset siedemdziesiąt sześć. Chwała Bogu! na siedemsetnej siedemdziesiątej siódmej stronie przecież na coś trafił. Stało tam to: „A ponieważ Liczygrosz, trunku zakazanego łyknąwszy, losu swojego przeznaczenie odmienił, zatem

18

nie może więcej z podziemnego skarbu czerpać, aż się po tylu dziesiątkach lat, ile kropel połknął, wróci dotąd, skąd się oddalił”. Tak dalece uzalił się Dobrogost skruszonej miny Liczygrosza, że na nowo przykucnął się do księgi; a że ta jej była własność, że się w niej karty dopiero w samą porę wiadomości odklejały, otworzywszy napadł zaraz na drugiej stronie dawniejszego arkusza na łagodniejszy wyrok: „Anielka otrzymała łaskę w oczach Pańskich... Jeśli Liczygrosz Abrahama i Jeftego naśladować będzie... jeśli z niej Bogu uczyni ofiarę, wolno mu postawić isticzną jej, posag, wyprawę... nie więcej... i tylko na raz... podług tego, co niżej... Na imię Anielki dziesięciory grosz

podniesie... ponieważ ona umiera światu... Jego, co na jej imię padnie”.

Od razu wybladłe oblicze Liczygroszowe pierwszą swą barwę, z żółta zielonawą, odzyskało. Wszystkie wdowy, które kiedy po śmierci mężów zaprzysięgały rejestra, wszyscy opiekunowie, tradytorowie, zgoła wszyscy, którzy się kiedykolwiek z cudzego rachowali, niech się z swoim sumieniem schowają i przed rzetelnością Liczygrosza, który cały stół, jak długi i szeroki, zamałował liczbą i cyframi.

Nikt by ci go był prawem nie przymusił więcej posagu złożyć, jak miał przekazanego w kontrakcie, a przecież sam wywłókł zaręczny obrachunek; ani na tym stanął, ale przyuczył i wyprawę, co było w rejestrze i czego nie było, szacując na pieniądze tak wysoką cenę, jaką sam nawet nigdy nie zbył, chociaż zazwyczaj wpychał fanty przy gotowiznie; aż Dobrogost widząc, że się staruszek rozbrykał, musiał go powściągnąć. O prowizje nie mały tartas i powstał był między nimi.

t a r t a s - zgiełk, hałas, zamęt, gwałt

Dobrogost chrzczył lichwą, co pięć przenosiło; Liczygrosz skakał to do praw o uchybionym terminie, to do prejudykatów i o zastawach, to

p r e j u d y k a t - orzeczenie sądowe, stanowiące precedens prawny, czyli wytyczną do orzekania w podobnych wypadkach

19

do ostrzeżeń wekslowych, to się za czuprynę chwycił klnąc się na Bóg żywy, że dałby był sobie głowę do włoska ogolić, gdyby w życiu kiedy lokował był jaki kapitał tylko na dwudziesty zysku; osobliwie nie dał

potrącać czasów bezkrólewia, inkursji 2,

inkursja - najazd, napad

konfederacji, zowiąc te zawieruchy złotym deszczykiem na procenta.

Nie mniej biedy z nim użył Dobrogost przy zliczaniu ogólnej sumy.

Tamtego kredka za dwa a dwa pisała zawsze osiem, a ten mu ją raz po

raz z rąk wytrącał. Obydwóm na koniec sprzykrzyło się poprawiać. -

Chcę być czysty jak bursztyn - rzekł uniesiony Liczygrosz. - Bądźże

goły jak święty turecki - odpowiedział Dobrogost. Z worków, worecz-

ków, rękawiczek, węzełków sunęło się złoto taką kupą na stół, że nie

byłoby było cudu, gdyby się kto był w nim i z śmiertelnej żółtaczki wy-

patrzył 3.

Chorzy na żółtaczkę wierzą często, że ich uleczy przeglądanie się w złotej patynie

kościelnej. (Przypis autora).

Z worów, z ćwierci, z płacht runęła srebrna i miedziana moneta.

Nie donosiło to do iścizny 4; obok jeszcze wysypał Liczygrosz z kart,

skryptów, kwitów, kwitków, kwiteczków łysą górę, ofiarując cesją<sup>5</sup>, na

kogo by należała. Dobrogost sądził, że nie na kogo,

iścizna - własność czyjaś, spuścizna

cesja - przelanie praw jednej osoby na drugą, ustąpienie, zrzeczenie się czegoś,

np. wierzytelności przez wierzyciela na rzecz innej osoby

tylko na Anielkę, ponieważ według księgi jej to własność miała się

wetować. Dogodziło się to Liczygroszowi, siadł. a ugryzłszy piórko

zawalił jak najuroczystsza cesją na imię Anielki wszystkich a wszyst-

kich swoich kapitałów, z prowizjami biegnącymi i zatrzymanymi, nic

sobie i swoim następcom prawa i pretensyj nie zostawując, bez obowiązku jednak zastępowania i odpowiedzi; oraz za tymże zamachem

20

namalował i skrypt prostego długu na resztę nie dopadającą jeszcze; choć zaś w nim zapomniał dołożyć terminu wypłacenia, Dobrogost bynajmniej nad tym się nie zastanowił, ale czym prędzej wziął się szperać w księdze, co rozporządzała czynić. Ledwo tknął się karty siedem tysięcy siedemset siedemdziesiąt siedem, głosem Azaela dało się po trzykroć słyszeć: - Brawo! brawo!... - Łap za kark Liczygrosza, nachylił go nad księgą... Sylabizowali razem tę treść:

„Od klasztoru, gdzie się Bogu poświęci Anielka (imię nie było wypisane, ale tylko początkową literą znakowane), wzięwszy się od siebie, potem ksobie, znowu od siebie, znowu ksobie, ksobie i od siebie, i ksobie, najprzód będzie rzeka, która się w siedem kłębów zwija, potem będzie góra, która się w siedem pagórków składa, potem puszcza, gdzie rośnie siedmiorakiego gatunku drzewo, potem siedem Bożych męk, siedem rozstajnych dróg. Pustelnik, który na pasie siedem zadziergów nosi, siedem razy czołem uderzy o ziemię i siedem miejsc nazwie; na każdym z tych zakopać siódemkę iścizny Anielki... Za siedem setek, siedemdziesiąt siedem lat, siedem godzin i siedem minut niechaj Dobrogost przewróci w księdze siedem kart; na siódmej wyczyta, co dalej... Od obłóczyn Anielki za siedem dni, siedem godzin Liczygrosz siedem razy zapuka do skarbu, w skarbcu siedem kuf znajdzie; w każdej tyle złota, ile iścizna Anielki: niech się krząta na łeb na

szyję, bo jak siedem razy kur zapieje, zamkną się drzwi na siedem kłódek na tyle tysięcy lat, ile przepił w kroplach”.

Tego tylko nie pojmował Liczygrosz, choć to już od niejakiego czasu nawet i sam groszów nie przewietrzył, za co sunki Anielki tyle wieków i lat miały płonąć pod ziemią, i wołałby, gdyby zamiast grzebania raczej prezentowano, obsygiłlowano i deponowano, to jest tłumacząc z prawnego na polskie: okazano, złożono, zapieczętowano w grodzie.

Potrafiłby przecie, przypomniawszy sobie, jak się to kiedyś z panem susceptantem<sup>1</sup> nadrabiało, lisa do góry ogonem obrócić.

s u s c e p t a n t - urzędnik sądowy przyjmujący zeznania; pomocnik rejenta

Wszakże ponieważ tyle opóźniał swój interes, ile wyjazd Anielki, dawszy pokój tym myślom, jął się. czym prędzej wóz załączać, zaprzęgać, ładować. - O! Jak to kochany tatulo - rzekła Anielka, spotkawszy go w przelocie z stajni do wozowni - stara się córce dogodzić - a niby całując, ugryzła go w rękę. Czym prędzej też szusnęła na wóz... Już tylko kielich, który Bóg wie odkąd wolnego powietrza nie oglądał, schełtaną pozłotą i kurzem poważny, wyjechawszy na harc z rąk Liczygrosza do Dobrogosta, prawdziwy natręt, opóźniał niewczesnym życzeniem szczęśliwą drogę. Dobrogost krzywił się i krtusił nad nim, ale przecie Liczygrosz nie nukał, żeby do dna spełnił. Żegnał Anielkę. - ...Bywaj zdrowa, moja lubeńko... Niechaj cię Bóg ma w swojej wszechmocnej opiece... Pamiętaj o mnie w twoich świętych modlitwach. - Razem podsadzał Dobrogosta, razem wołał na fornala: - Ruszaj, w imię Boże!... - Anielka zerwała się równymi nogami.., zbladła. Liczygrosz wi-



dząc to struchlał, azali nie rozbiła jego czułość jej ducha. Łap za Dobrogosta, ani uważał, że mu kielich wytrącił, wwalił go na wóz. - Nuże!  
- we troje krzyczy - ruszaj! ruszaj!... - Szkapięta dobyły ostatnich sił...  
Pierzchły... Nim Liczygrosz z ziemi skorupy pozbierał, już byli za górą.  
Wiesz pani o owej gołębiczy, którą to po potopie wysyłał był na zwiady  
Noe z korabiu: raz powróciła, drugi raz przyniosła nawet oliwną  
ródzkę; gdy ją puścił po raz trzeci, już jej więcej nie zobaczył. Umrze  
Liczygrosz, a nie zobaczy się ani z Dobrogostem, ani z kochanymi groszami.  
Ciekawaś, pani, gdzie się podział Azael? Jak konie ruszyły, wyleciał z rękawa Dobrogostowi; jeśli go Dobrogost nie złapie, nie dostanie drugiego takiego szpaka; ależ przyznaj, pani. że i Dobrogost był szpak gracki, chociaż nie jak Azael z skrzydłami i dziobem.

*Jan Maksymilian Ossoliński*

*FRASKA DIABEŁ*

---

Co diabliska zarwie, tego i diabeł nie wydrze

Je jmość pewna, na jednym i drugim glinkowatym około Opatowa  
folwarku, gdzie się, jak wiadomo, sławna pod imieniem sandomierki  
pszenica rodzi, która w Gdańsku popłaca, rachowała sobie: Byle statki  
powróciły z Fryoru i kochanych dusiów przywiozły, sprawię sobie ro-  
bron 1 i córce kabat, zapłacę kolczyki, dokupię parę koni do fornalki,  
żebym i ja też poszóstno jak pani Stolnikowa jeździła. Kupowała i to, i

owo, i coś, i jeszcze coś; żeby ausztuk<sup>2</sup> spisać przychodziło, cały by arkusz nie wystarczył. Im leniwiej żeglowały pieniądze, tym więcej sprawunków przybywało. Jegomość tej Jejmości układał przeciwnie, grosz za pszeniczkę na troje podzielić: część dać na lichwę, część wpakować w szkatułę, żeby ich stamtąd i sam diabeł nie wydobył, część posłać na wino do Węgier. Jegomość kręcił bicz z piasku, ale Jejmość dobrze wiedziała, na czym budowała. Dowiesz się, pani, lecz proszę o cierpliwość do końca.

l r o b r o n - strojna suknia damska o szerokiej, usztywnionej spódnicy, noszona w Polsce w XVIII w. 1

a u s z t u k - wyciąg, spis, rejestr

Szyper wyglądany z taką niecierpliwością, z jaką w zimie czeka się na wiosnę, w przednówku na zniwo, już też na koniec powrócił.

23

Jejmość na niego od dawna czatowała w oknie; niczyje też oko pierwszej go nie ujrzało, owszem, i wybiegła naprzeciwko, nim jeszcze zsiadł z konia. Widziano, ale naówczas nic stąd wcale nie wnoszono, że gdy puścił był rękę do jej nóg, ona zasłoniwszy się bokiem czym prędzej spotkała ją swoją, niby to nie chcąc, żeby tak nisko się kłaniał; zaraz też potem tą samą ręką sięgnęła do kieszeni po chustkę. Słyszano także, że i stęknęła pomrukując: - Oj, cięży, za kąty cięży! - Wszakże i to mimo siebie puszczono. Mina szypra wróżyła coś niepomyślnego; skoro wszedł za Jejmością do pierwszego pokoju, gdzie się też ten i ów ciekawszy wemknął, wszystkich oczy szpiegowały na nim ładownego

trzosu, a gdy jaki taki pytał się go o kota, Jejmość trochę się odwróciła. Na niektóre pytania on skrobiąc się w głowę milczał, na drugie, wzdychając, to tylko półgębkiem bąkał: - Poszło do diabła, diabli wzięli! - Żaden, choć i słyszał, co szyper mówił, nie dowierzał sobie, żeby był dobrze słyszał; za czym to w badaniu, to w odpowiedzi szło i powracało po kolei od pierwszego do ostatniego owe to hasło: - Diabli wzięli. - Jejmość strzelając myślą, kaci wiedzą gdzie, nie śmiem albowiem zawczasu posądzać, że o sklepach marzyła sobie, przypomniawszy, iż potrzeba było, ażeby i ona to usłyszała. Na przeraźliwe Jejmościne: - Dla Boga! - przybiegł sam Jegomość. Stał się okropny rozruch, pyta się Jejmość, pyta się Jegomość; i pytali się z osobna, i pytali się razem: - Gdzie trzos? - Szyper śpiewał zawsze jedną piosenkę: - Diabli go wzięli - jak ów prorok jakiś czy też nie prorok 1 co kiedy Jerozolima chyliła się, biegał po murach raz po raz, jedno za jedno wrzeszcząc: - Biada temu miastu! - a nigdy nic inszego nie wrzeszczał. Co tu z szyperem robić, który ręce łamie, a nie gada? - Jak prędko diabła wspomniawszy, oczywista, że ksiądz proboszcz potrzebny.

Obacz o tym Józefa Żydowina *Starożytności hebrajskie*. (Przypis autora).

24

Prałat wiedział już był dobrze o wszystkim, chociaż nie przez Ducha Świętego; przyszedł też, chociaż go nie Pan Bóg przyprowadził. Chociaż zaś o wszystkim wiedział, tak sobie minkę jezuicką wystroił, że nie było nic po niej poznać, i nie pierwej, aż spytawszy się kilka razy, o co chodzi? co się stało?, jakże to słodziuchno do szypra mówił: - Brat-

ku! na nic się nie przyda prawdę dusić. Ulży się państwu na sercu, kiedy się już raz dowiedzą, w co poszła ich praca. Winienes? błagaj miłosierdzia. Nie winienes? obmyj się z brudu. - Westchnął serdecznie szyper, westchnienie jego byłoby aż trzeciego piętra dosięgło, gdyby się to nie działo było w domu, gdzie nie było żadnego. Westchnawszy, swoją przygodę na ten sposób opowiadał.

- Dzięki Bogu, dobrzem moją pszeniczkę sprzedał. Odliczyłem pieniądze co do grosza w złocie holenderskim obrączkowym; zapakowawszy pieniądz w trzos, jak to mój zwyczaj, opasałem się nim. - Gdzie, u stu katów, ten trzos? - przerwał zniecierpliwiony Jegomość, ale ksiądz proboszcz łaszącym się spojrzeniem napomniawszy Jegomości, żeby człowieka nie mieszał, szypra, już, już zmywającego z bi tego gościńca, nazad w tor wrócił. Księdzu więc proboszczowi cześć i chwała, że ów języka w gębie nie straciwszy, dalej rzecz swoją prowadził. - Okulbaczyłem konia, wsiadłem, zaciąłem szkapę prętem, pojechałem prosto do statków, ładowano przy mnie; obejrzałem wszystko moimi oczyma, wydałem szafarzowi leguminę dla flisów, przeżegnałem ich krzyżem świętym i potem ruszyłem lądem w imię Boskie. - Krzyknął Jegomość, fraszka, że krzyknął; mruknął coś pod nosem, nawet zgrzytnął zębami i już, już zrywał się ze stołka, tylko że go ksiądz proboszcz uprzejmym za ręce ściśnieniem przytrzymał. Siedział więc Jegomość. Za jednym już razem powiem też pani, co i Jejmość robiła. Jejmość zwiesiwszy głowę niby to drzymała, niby dumiała i niby rachowała, co miała kupić, a czego już teraz nie kupi. Atoli

doprawdy, śmiech to, iżby liczyć miała gruszki na wierzbie.

25

Szyper nie uważając na jedno ani na drugie pojeżdżał sobie dalej. -

Noc była za pasem, kiedy do pola ruszyłem, upadłem jednak jednym

ciągiem dobre trzy mile; Niech będzie imię Boskie pochwalone,

pierwszy nocleg poszedł szczęśliwie. Zerwałem się o świcie. Bóg dał,

żem za widna minął Gniew miasteczko. - Tu się nieborak zaciął, aż go

ksiądz proboszcz popędził, mówiąc: - Nuże! cóż dalej? .co się stało z

waszej cią? - Za Gniewem, mój dobrodzieju - obrócił się do niego i

jeszcze westchnął - ach! ach! za Gniewem!... do kata traktów, gościń-

ców, rozstajówek, krzyżówek, poprzecznie, wygonów, miedz, ścieżek,

dróg, drózek, drożynek. Zbłądziłem, sam nie wiedzieć gdzie - jechałem

a jechałem.

- Czemuś, taki owaki - zagadnął Jegomość - czemuś nie wypytał się

o drogę? Któż to z pieniędzmi się pod noc puszcza? - Tą razą sam za

siebie szyper odpowiadał i tylko się na księdza proboszcza obejrzał. -

To pewnie pan rozumiesz, że mię w nocy albo okradziono, albo zra-

bowano. Oj, panie! panie! żeby to w samej rzeczy tak było, nie

uświadczyłoby mnie tu oko pańskie. Przysięgam Bogu, pierwej bym

padł był trupem, niżelibym sobie dał pańską pracę z garści wydrzeć! -

Jegomość na tym nie przestawał; i tu ksiądz proboszcz stał się pla-

strem na ranę; albowiem kiedy Jegomość zżymał się na odwet i wcale

się zanosilo na to, żeby od słów przyszło było do tuzów, on okazalszym

tonem, niżeli owo to kiedyś sapienci greccy dawali swoje wyroki, je-

den: że kto ręczy, to i beczy, a drugi: że co nagle, to po diable - nie  
mniej ważne spuścił z najwyższego powagi doktorskiej piętra: - Nie  
dowie się, kto nie wysłucha: *Nemo sapiens nisi patiens* 1 - i tym z łaci-  
ny gwichtem 2 stłumił wyrywającą się wrzawę. Szyper znowu  
*Nemo sapiens nisi patiens* (lac.) - dosł. nie Jest mądry, kto nie jest cier-  
pliwy

g w i c h t - odważnik, ciężarek; przen. coś przeważającego

26

tedy język w ustach znalazł. - Oglądałem się - kończył swoje - na  
wszystkie strony, w prawa, w lewą, w przód, w zad, ani było uświad-  
czyć bądź to dymu z komina, bądź światła w oknie. Puściłem koniowi  
cugle... Jedną razą ktoś się nawija. Oj! bogdajby mnie Bóg był ucho-  
wał od tego ktosia! Dreszcz mnie przeszedł. Konisko, jak żywo niena-  
rowiste, zhukało się od razu. Kropię go batem a kropię... Pienił się  
marcha 1... iść jak nie chciał, tak nie chciał! - Panie Niemcze! - zawoła-  
łem - niech bidzie pochwalony! którędy tu droga do Warszawy? - Za-  
szwargotał coś, że to aż włosy człowiekowi na głowie powstawały.  
Bogdajbym był na tysiąc drobnych trzask pierwej połamał nogę!...

m a r c h a - lichesy koń, szkapa

Boże! Boże! cóżem ci zawinił, żeś tego psubrata na mnie przepuścił!

Przysięgam Bogu... - Hola! hola! Panie bracie - wpadł mu w mowę

ksiądz proboszcz - zapomnieliście to drugie przykazanie? „Nie wzywaj

imienia...” Myślicie-li z panem Bogiem iść do wójta? - Nawrócił się

szyper bez dłuższego kazania; skruszony uderzył się w piersi: - Od-

puść, Panie! Toż mi też to cięży na sumieniu, żem złemu duchowi  
rzekł: Bóg zapłać. - Alboż to było złe? - przemówiła pierwszy raz Jej-  
mość. - Pani dobrodziejko - odpowiedział szyper - nie dobre, zapew-  
ne.

Jejmość ta lubiła bardzo o strachach słuchać. Nie trzeba jej było  
koniecznie hiszpańskich diabłów, których nie każdy ma moc wywoły-  
wać. Oj! lepszą z nią miał szyper sprawę, niż ja z panią; lada bies, byle  
mu było przypiąć smocze skrzydła i natkać w paszczkę żaru, przypadł  
jej do smaku; a częściej jej się przydarzyło zdrzymać na nauce księdza  
proboszcza, niż kiedy jej baby o madejowym łożu albo o stypie na Ły-  
sej Górze przy kądzieli plotły. Albo pomyśliwszy sobie, że bywa w bajce  
połowa prawdy, że i bajka się sprawdzi, że i mogło się wczoraj stać, co  
niegdyś, albo o niczym nie myśląc nadstawiała ciekawie obydwóch

27

uszów. Szyper tedy do jej obydwóch uszów mówił:

- Prowadził mnie bies, aż też na jakieś bagna zaprowadził. Pękała  
się poczwara ze śmiechu. Gdybym ci go był dopadł, byłżebym mu  
gandziarą 1 skórę wypłatał; ale przynajmniej tyle mego, com mu na-  
klął.

g a n d z i a r a - batog, pałka, bat

Przypadł koń w błocko, obaliłem się na niego przez łeb; chociaż je-  
den na drugim leżeliśmy, przecież oba-dwa do dna nie dostawaliśmy.  
Oto, pani, jak kiedy robiącego piwo drożdże, od spodu kadzi na  
wierzch się spieniwszy i w tęgą zlepiwszy się skorupę, unoszą, co na

nie padnie, tak mnie i szkapę gęsty jakiś kozuch uniósł. Cudem też przy mnie olchowe krzaczysko wydarzyło się; chwytając się go wygramoliłem się przecież spod szkapy, oberwawszy niejedne gałąź, ale i nie od jednej gałęzi guza. Bóg jeszcze strzegł, że mi nie przyszło do głowy oprzeć się o ten chrust, bobym się był na wznak powalił. Oparłem się na dwóch nogach, a człowiek po pas w kałuży. Cała ta noc stała mi za sądny dzień! Zagrzmiało niebo... opadły chmury, lał się z góry wiadrami potop, struga z gałęzi cedziła mi się ciurkiem za kołnier... łyskawica ścigała łyskawice... ilekroć zaś mignęła się przemijająca luna, nic nie widziałem, tylko błocko a błocko... Chwytałem oczyma rozległość mej biedy... Nie widziałem nigdzie śladu stopy ludzkiej, nigdzie tropu zwierzęcego, nigdzie zielonej murawy, nigdzie, oprócz kilku skurczonych krzywoszów, odrodnego drzewa! Po powietrzu wiły się czarnego ptastwa stada, które, z przeproszeniem Jejmości, czułem nosem, czym mnie z góry prosto raczyły, że mi aż opuchł jak trąba. O, gdybym też miał i dwieście rąk, nie wystarczyłbym jeszcze oganiać się naokoło owadowi; znosiłem to wszystko cierpliwie. Święci Pańscy, myślałem sobie, ów, co czterdzieści dni stał na słupie na jednej nodze 2, albo i ów, co go na żelaznej kracie pieczono, daleko więcej wytrzymali.

Mowa o św. Szymonie Słupniku (zm. 459 r.), zakonniku, który dla umartwienia spędził 37 lat na wysokim słupie.

Wyciągałem raz po raz szyję, żebym zobaczył, azali już nie świta.



Postrzegłem ci światło. Oj! światło, światło! Tysiąc jaki komiegl z smolnymi kagańcami prosto ku mnie szybowało. W odmęcie czarnego dymu łuna jaskrawych z błękitnymi płomieni gorzała. Spędzić by z całej Kozienickiej i Niepołomskiej Puszczy wszystko zwierzę w jeden okół, jeszcze by nie było takiego wycia i ryczenia, jakie tam się rozlegało. Bóg miłosierny zdarzył był, że właśnie kiedym z przestachu zemdlął, nagle lunął cudowny strumień deszczu, który mnie otrzeźwił.

Byłci bym bez duszy został. - Pani nie pojmujesz, jak szyprowi starczyło gardła bez odpocznienia i wciąż tak długo gadać. Ksiądz proboszcz ile razy choć tylko połowę tyle z ambony powiedział, nazajutrz dostawał chryпки. Żeby i ja piersi ocalił, pozwolisz mi, pani, odpocząć z resztą aż do pojutra - a szyper niechaj sobie brodzi po błocie całą noc i do nitki przemaka.

k o m i e g a (komiega) - statek wodny czworoboczny do spławu zboża, krypa, galar

Jeszcze z onegdajszego ostatek

Biedny szyper, jakeśmy go onegdaj jeszcze zostawili, w ów czas, kiedy mu diabli biedę kuczyli 2 i mókł z góry i z dołu, zdjętej ciekawością Jejmości pytlował a pytlował językiem, jak kiedy wzruszone powietrze skrzydła wiatraku unosząc podsadza kamień młyński.

k u c z y ć b i e d ę - sprowadzać biedę

Co lepiej, czyli moknąć na słocie, czyli w izbie przy ciepłym piecu lub, jeżeli Bóg jeszcze zdarzy, przy ogniu na kominku pleść trzy po trzy, niech o tym, jak kto chce, sądzi.

Mnie bardziej się ostatnie podoba, byle przecie ktoś słuchał. Użycz mi tylko, pani, łaskawego ucha.

29

Jejmość, która miała zwyczaj kazać sobie na sen swemu fraucymelowi powiadać bajki albo nocy arabskie czytać, nie dała mu długo odechnąć: - Powiedz mi, wasze, bom bardzo ciekawa, co się dalej z waszcią działo? - mówiła Jejmość - co znaczyła ta parada? jaki to diabeł na starostwo wjeżdżał?... - Wzniósł szyper ton: - Ach! gdzie taka pamięć, która by to wszystko przypomniała! Oto i teraz stają mi na głowie włosy! dudkuje serce!... aj! aj! jeszcze mnie coś po grzbiecie kraje! zgroza i wspomnieć na to, co się wycierpiało! o wszystkim byłoby co mówić od wschodu do zachodu i nocy by przypadło dobrze zarwać; a to tylko co kur nie zapieje. - Nie znał się pewnie ten szyper z Wergiliuszem, a przecież ślina mu na język niosła to samo, o czym Eneasza do Dydony prawił. Wszakże nie pokazuje się na szypra, iżby był w szkołach o poetykę się otarł. Sama pani stąd miarkuje, że on, gdy nie wie, co mówić, nie kłusuje ani cwałuje bądź to na niebotyczny Olimp, dwuwierzchni Parnas, ani zagania się na kwiecistą kępę, ani nie brodzi po kalistych i strumyka brzegach, lecz skrobie się po swej czuprynie.

k a l i s t y - błotnisty

Zaczął szyper wysokim tonem i jak gdyby Tasso, o którym pewnie jeszcze mniej słyszał, zamknął pędzel, do podobieństwa jego obrazów diabłów malował 2.

Każdy się może o tym przekonać podobieństwem, nie leniąc się spojrzeć w

*Jerozolimy wyzwolonej* pieśń III lub IV. (Przypis autora).

- Jak świat światem, nikt pewnie sroższych nad owe straszydeł nie widział. Jakie tylko na dnie morza straszydła się przewalają, jakie potwory po kniejach i puszczech ryczą, jakie gady pełzną się po ziemi, wszystkie prawie zebrały się były w owe grono, zlewek wszelakiej brzydkości. Wszystkie były najszkaradniejsze, a przecież nie na jeden model. Fraszka - paszcza owego wieloryba, co to jednym siąknięciem połknął był proroka i z butami: cały świat zmieściłby był arcylucyfer w swój bezdenny gardziel.

30

Broda skołtuniona w jaszczurki i węże spadała mu spod trąby poniżej siercią obrosłych piersi; trąbę gałka krwawoblękitna nadstawiała, a wzrok zeszpeconych ślepiów jeszcze więcej złego wróżył, niżeli kiedy jaka miotła niebieska przyniosła. Sążnistymi łapy dźwignął powietrze na dwa rozstępujące się odmęty, grmiące srożej nad szum Wisły, kiedy by ją z podmytym brzegiem spadająca góra rozdzierała; a kiedy tupnął nogami, natychmiast drżała i otchłań, i ziemia. Nie nogi miał, ale kłody, jak ów, którego Niemcy we Gdańsku za trzy grosze pokazywali na Dominik, i do tego koślawszy był od cudownych sosen rodecznickich 1. Wzdrygała się Jejmość na niektóre brzydoty, przecież nadstawiała uszu i podbijała żagłów szyprowi, który tak dalej językiem pytlował: - Skoro Boruta wyszybował na środek bagna, zdjął z palców pierścień; była to obręcz, przez którą by się i kufa podolska snadno

prześlizła 2.

Rodecznica - wieś z ordynacji zamojskiej. Przy klasztorze bernardyńskim jest las samych krzywoszów, o których twierdzi miejscowa legenda, że się popaczyły kłękając w czasie jednego zjawienia się Św. Antoniego. (Przypis autora).

Biada szyprowi, jeżeli jaki uczoney weźmie pod cyrkiel jego opisy. Jakiż musiał być palec u diabła, jeżeli na nim mieścił tak ogromny sygnet! Jakim olbrzymem sam diabeł z takim palcem. Jaki niezmierny statek, który jego i żonę, i dwór liczny obejmował. Niech to będzie, jak chce - jeżeli mój szyper w mierze przeszkrobał, przeszkrobał i Homer, który w *Iliadzie* pieśni V twierdzi, iż Pallada występując na plaży bitwy przypięła sobie do szyszaka pióra, które by całe pospolite ruszenie stu miast co do jednego człowieka okryć wystarczyły. (Przypis autora).

Wrzucił ją w brudny odmęt, natychmiast zawrzała kałuża, zatrzęsło się dno dźwigające przepaść, zawyli mieszkańcy błotnistej otchłani i dym od samych ciemności okropniejszy wzbił się aż pod obłoki...

- Wiesz, pani - przemówił ksiądz proboszcz - co to znaczy? widziałem coś podobnego w Wenecji na Wniebowstąpienie, kiedy doża z Morzem Adriatyckim się zaślubia 3.

Zgodnie z uświęconą tradycją zaślubiny doży symbolizowało wrzucenie pierścienia do morza z pokładu statku.

- Wcale nie była ciekawa Jejmość, co się tam działo w Wenecji, a na

31

szypra mrugała, żeby kończył. Kończył też dalej:

- I tam, i nazad otarł się o mnie każdy statek; co który flis wiosłem zakroił. plusnął mi w same oczy błockiem; nim je odlepiłem i przejrza-

łem, godziną albo całą, albo o kęs niecała minęła. Ot, pierwszym zaraz  
zawodem postrzegłem jedną komiegę prosto ku mnie dążącą; wnet  
dostawszy sztabą w sam brzuch, poczułem, że i zawinęła. Wychodzi  
Czerkies, któremu, lekko rachując, tysiąc rogów na łbie sterczało; po-  
zdrowia mnie i donosi, że najjaśniejszy Lucyfer chciał mnie mieć na  
obiedzie. Wtem drugi, wykapany żuraw, gmaszysko, nie przymierza-  
jąc świętych rzeczy do czarta, jak wieża Panny Marii w Krakowie, łap  
mnie zaraz dziobem za czuprynę, hajdaż ze mną na powietrze... toż  
buchnął mną z góry na statek. - Biedny waszeć! - pożałowała Jejmość  
szypra. - Czyżeś się tylko nie otrząśł? kazałeś się wysmarować?... -  
Jeszcze to fraszka - odpowiedział skłoniwszy się. - Bogu dzięki, że mię  
za czuprynę złapał; gdyby był chwycił za kark, tak ostre miał kły, że  
byłby mi jak nic szyję i głowę ugryzł... - Gdzie tedy wylądowali wa-  
szeć? - odezwała się znowu Jejmość. - Bóg wie gdzie - rzekł szyper. -  
Na wołowej skórze by tego nie spisał, co diabliska ze mną wyrabiali:  
Bogu bluźnili, z ludzi kpili, koziołki wywracali... Spotkał mię jakiś pę-  
katy z beczką w ręku: - Do waszeci, mego wielce mościwego pana i  
brata! Wszakżeś wasze szlachcic? - Chlip z beczki duszkiem 1 . Skoczyli  
drugie łotry, podały mi takąż. Ach! przeklęte lutrzysko!

Jeden mój sąsiad kochający prawdę i wino dlatego, że w nim prawda mieszka, po-  
dług naszego staropolskiego aksjomatu *in vino Veritas*, głośnego niegdyś na sejmi-  
kach i godnego, żebyśmy go, chociaż już sejmikowi nie stało, nie zapominali. Dusz-  
kiem kielich wypróżnić - zwali: połknąć. Ponieważ zaś trzeba było kark w tył daleko  
przeginać, co miało dopiero ważność po kilku spełnionych pucharach, pilnie prze-

strzegano zwyczaju pozostałe krople na dłoń wycedzać i z dłoni prosto w usta. To się zwało wino wsypać. Tenże mój sąsiad miał o to raz wielką sprzeczkę, że w winie prawda. Fircyk, co niedawno powrócił był z Paryża, utrzymywał, iż prawda w. wodzie, bo w studni tylko woda. Wszakże ją ze studni Wolter wywoływał. - Łiesz - odpowiedział mu - i ty, i twój Wolter... Prawda w beczce, z beczki przelewa się w flasze, z flaszki w kielich, z kielicha w gardło, z gardła idzie do głowy, z głowy wychodzi na świat ustami. (Przypis autora).

Grzech wie, jaki to był trunek: kwaśny, gęsty, śmierdział dziegciem; żadnym żywym sposobem nie chciał iść w gardło! Rozsierzili się biesi: - Jakiż mi waszeć wykwinniś! Popsuła mu się gębusia na sejmikowym węgrynie albo w Gdańsku na litkupowym francuzie. Krzywi się mościom pan na nasz maślacz. Myć też to przecie starsza szlachta! Przecież my coś godniejszego, a nie kąsa nas w język. - Buch mnie beczką o łeb, aż obręcze popękały. Dalibóg rozumiałem, iż to się roztrząsał był mój łeb. Nie otarłem się jeszcze... Przyleciał jakiś kuternoga: - A cóż to, nie przywitasz Waśc naszego miłościwego pana? - Łap ja, jak niepyszny, owe arcydiablisko za nogi. Sama tylko para tak mi rękę oskarżyła, zem się nią długo nakiwał, nim ostygła. Wrzasnąłem z bólu, wtem czart jeden uderzył mnie za plecy, padłem więc plackiem na ziemię - i uderzyłem, Boże odpuść, czołem przed szatanem... Teraz to dopiero mój grzbiet miał się z pyszna. Spadły nań ze wszystkich stron pięści gęstym gradem. Dźwigałem się spod tych razów jak ów bartnik, kiedy spod osypanego śniegiem drzewa sadząc się wydobyć, co się ruszy, nową na siebie obala szarugę... Zasiedli diabliska do sto-

tu, posadzili i mnie -siedziałem jak malowany. - Waszeć dobry katolik,  
suszysz piątki - rzekł jeden diabeł. - Ot, to z postem! - i wetknął mi  
między zęby łopatkę z jakiegoś wieloryba; inni zaś dwaj, jeden od  
skronią, drugi od podbródka, zuchwę z ową wędzonką nacisnęli. Wy-  
łamałem dwa zęby. Łup ja nią tedy o ziemię. Złapał ją jakiś diabeł i tak  
mnie nią golnął, że mi świeczki w oczach stanęły; a jak się pomacałem  
po czole, uczułem taki guz, zem się zląkł, czy mi nie wyrosną rogi i czy  
nie przemienię się w diabła. Ów Niemiaszek, co to mnie prowadził,  
hajże do mnie, cały w korwetach 1.

- Jak się mamy! - uderzył dłonią w moje. - A cóż? niedobrze prowadziłem mego mościom pana? Pohulajmy sobie! Nie będzie wola w karteczki? Dostaj no, waszmość, fryorowego złotka! - Trzos rozpasali; dukat w dukata jak rybie oko. Żal się Boże! jaki taki wachał, przedrwiwał, że trąciło glinką. Daliż tedy w chapankę2!

c h a p a n k a – hazardowa gra w karty, popularna w XVIII w.

Sami sobie tasowali, zbierali, garnęli płatki, chwyтали z mojej kupki, dostawiali, jak chcieli... Cierpliwości na koniec zabrakło. - Do wszystkich diabłów! - wrzasnąłem - cóżże to? rozbój czy co? - Co, co, rozbój? - pochwycili biesi... - Rozbój? - Hajdaż po mnie; ów za czuprynę, ów za kark, ów w brzuch, w bok i tam też... Nie mogłem się im ograć. - Boże, zmiłuj się! - zawołałem. - Na to hasło w okamgnieniu rozpryśli się, co do jednego przepadli - przepadli jak diabli, tak złoto!

- Łzyj! łzyj! hultaju! - huknął Jegomość ocknąwszy się. - Chyba je jaki diabeł z fartuchem w podatek zagarnął na szafarii. - Jejmość raka upiekła. Jegomość zajędyczył się, podskakiwał, pięści rychtował.

Ksiądz proboszcz skoczył do niego. - Panie, wiele ludzic na diabłów zwalają, aleć i wiele diabeł broi. Czytać tylko Joannem Virum *De praestigiis demonum* i *Remi demonologiam* 3 albo choć i Cardana *De subtilitate* \*

J o a n n e s W i e r lub W e y e r (zwany też Piscinarius) (1515-1538) - doktor medycyny, autor wielu dzieł medycznych, a także z zakresu demonologii. Wy-



danie zbiorowe jego dzieł ukazało się w r. 1660.

G i o r d a n o C a r d a n o (1501-1576) - włoski filozof, matematyk, autor *De subtilitate rerum* (1550).

- a przyjdzie się aż za włosy chwycić, czego sobie przy dopuszczeniu

Bożym złe duchy nie pozwalają. O tym to ogromniejsze tomy, niż ca-

łych ośm woluminów praw koronnych. Wszak ci to bąkają o naszym

sąsiedztwie... znamy go obadwa, że i on u diabła na duszę zaciąga!

Jeśli daje, musi i brać, i bierze; albowiem diabeł nie Pan Bóg, nie two-

rzy; wreszcie nie sieje, nie orze, nie spławia łasztów do Gdańska, nie

żenię wołów do Ołomuńca, a choćby też miał gdzie i zakopane skarby,

34

choćby sobie kadukiem i te wszystkie przywłaszczał, które, przy nie-

boszczykach poganie grzebią, choćby i Charonów szelążki szły na nie-

go, od tak dawna daje, że niepodobna, żeby mu się przebrać nie miało.

Pozwalam i to, że on też kiedyś jakie bąki za dobrą monetę udziałał; ta

sztuka może mu uszła na raz i drugi - ale teraz ludzie zmądrzeli. Musi

więc radzić sobie diabeł jak owa, która to z hojności słynie na całym

świecie. I na ten sposób owemu biorąc, temu daje, i teraz tego pocz-

ciwego człowieka odarł. - Coś dalej ksiądz proboszcz Jegomości do

ucha szeptał, podobno owo: - Bóg dał, Bóg wziął. Mógłci mu był i tym

dosadzić, że co na cle odchodzi, na cle przychodzi, czyli *male parta*\*

idą do czarta. Szepcąc zaś łasił mu się. ścisnął go, a zawsze za ręce

trzymał.

*male parta* (lac.) - źle nabyte

Gdy to i więcej mówił ksiądz proboszcz, przyskoczyła Jejmość; nuż całować mężula. nazywać go swoją duszą, swoją rybką; nigdy go tak serdecznie nie kochała, chociaż już z nim drugi dziesiątek żyła. - Precz mi z oczu, złodzieju! - tupnął nogą Jegomość. Szyper czym prędzej z pola zemknął. Żli ludzie szemrali pod nosem, że gdy i Jejmość za nim wyszła, wyszło ich dwoje. Ksiądz proboszcz sam na sam nie tylko udobruchał Jegomościa, ale skruszył, że tę stratę za karę Boską przyjmując, jeszcze i na mszę świętą dał.

Co diabli byli wydarli szyprowi, poszło było wszystko w Opatowie do kieszeni Żydom. Aleć i państwu cudownie się szkoda nagrodziła, bo Jejmość powróciwszy raz z Opatowa, rozłożyła cały sklep towarów. - A skądże to? - pytał się jej Jegomość. - Ty sam wiesz - odpowiedziała - żeś mi na to szeląga nie dał. Pan Bóg mi na to dał. - Dobry Pan Bóg! - westchnął Jegomość - bierze i daje!

Jan Potocki

## HISTORIA KOMANDORA TORELWY

Wstąpiłem do zakonu maltańskiego 1 nie wyszedłszy jeszcze z lat dziecinnych, zapisano mnie bowiem do służby jako pazia. Opiekunowie, jakich miałem u dworu, wyjednali dla mnie w dwudziestym piątym roku dowództwo galery. Wielki mistrz zaś stanąwszy w Dounaisson powierzył mi najlepszą komandorię 2 języka Aragonu 3:

k a w a l e r o w i e m a l t a ń s c y (joannici) - zakon rycerski założony ok. 1130 r.

w Jerozolimie (z bractwa przy Szpitalu św. Jana) dla obrony Królestwa Jerozolimskiego przed Turkami; po jego upadku w 1291 r. osiedlili się na Cyprze, w 1309. r. założyli państewko na Rodos, w 1530 r. przenieśli się na Malte; od 1834 r. siedzibą joannitów jest Rzym, podlegają Watykanowi.

k o m a n d o r i a - dobra zakonu rycerskiego zarządzane przez komandorów

A r a g o n i a - kraina historyczna w pn.-wsch. Hiszpanii, granicząca z Francją

Mogłem więc i dziś jeszcze mogę ubiegać się o najpierwsze godności w zakonie; ale ponieważ w późnym wieku można je dopiero osiągnąć i ponieważ tymczasem nic nie miałem do czynienia, poszedłem więc za przykładem naszych pierwszych przeorów, którzy może byliby winni lepszy mi nastreczyć: jednym słowem, oddałem się miłostkom.

Wprawdzie wtedy już uważałem je za grzech, ale obym był nigdy większego nie popełnił. Ten, który dziś ciąży mi na sumieniu, wyniknął ze zbrodniczej gwałtowności, która sprawiła, że zdeptałem

36

najświętsze zasady naszej wiary. Z przestraczem budzę w sobie te wspomnienia, ale niepotrzebnie przedwcześnie je wywołuję.

Wiesz zapewne, że mamy na Malcie kilka szlacheckich rodzin wyspiarskich, które bynajmniej nie wchodzą do zakonu i nie mają żadnych stosunków z kawalerami jakiego bądź stopnia. Uznają one tylko najwyższą władzę wielkiego mistrza i kapituły składającej jego radę.

Po tej klasie następuje druga, pośrednia, która zajmuje urzędy i poszukuje opieki kawalerów. Kobiety tej klasy nazywają się *honorates*,

co znaczą zaszczytne. W istocie zasługują na ten tytuł przez przyzwoitość w postępowaniu i jeżeli ci mam wszystko powiedzieć, przez tajemnicę, jaką osłaniają swoje miłości. Długie doświadczenie nauczyło kobiety *honores*, że zachowanie tajemnicy nie zgadza się z charakterem kawalerów francuskich, czyli raczej, że niesłuchanie trudnym było, żeby który z nich łączył milczenie z innymi świetnymi przymiotami, jakie ich w ogóle cechują. Z tego wynikało, że młodzi ludzie tego narodu, przyzwyczajeni w innych krajach do wszelkiego rodzaju powodzeń, na Malcie muszą wdawać się z kobietami ostatniego stopnia. Kawalerowie niemieccy, mniej liczni, najwięcej mają szczęścia u zaszczytnych kobiet i winni je są, jak sądzę, ich białoróżowej cerze. Za nimi idą Hiszpanie, których uczciwy i pewny sposób myślenia główną jest zaletą.

Kawalerowie francuscy, zwłaszcza zaś karawaniści. mszczą się na zaszczytnych kobietach drwiąc z nich Wszelkimi sposoby i odkrywając tajemne stosunki; ponieważ jednak żyją zawsze osobno i nie chcą uczyć się włoskiego języka, którym cały kraj mówi, nikt przeto nie zważa na ich plotki.

Żyliśmy więc spokojnie z naszymi zaszczytnymi kobietami, gdy pewnego dnia okręt francuski przywiózł nam komandora de Foulquière'a ze starożytnego domu seneszałów z Poitou, pochodzącego od

znaczną liczbą pojedynków. Teraz przybywał starać się o generalne dowództwo galer. Przeżył już był trzydzieści sześć lat życia, spodziewano się zatem, że musiał się ustatkować. W istocie pozbył się zawa-  
diactwa i poprzedniej popędliwości, ale natomiast stał się wyniosłym, dumnym, podstępny i wymagał więcej uległości niżeli sam wielki mistrz.

Komandor otworzył swój dom. Kawalerowie francuscy tłumnie się do niego schodzili. My rzadko kiedy do niego uczęszczaliśmy, na koniec zupełnie z nim zerwali, zawsze bowiem toczono u niego nieprzyjemną dla nas rozmowę, zwłaszcza zaś o zaszczytnych kobietach, któreśmy szanowali i kochali. Gdy komandor wychodził, rój młodych karawanistów zawsze go otaczał. Komandor prowadził ich do ciasnej uliczki, pokazywał miejsca, gdzie się pojedykował, i opowiadał wszystkie szczegóły swoich pojedynków.

Muszę ci powiedzieć, że według naszych zwyczajów pojedynki zakazane są na Malcie, z wyjątkiem ciasnej uliczki, przejścia, na które nie wychodzi żadne okno. Uliczka ma tyle szerokości, ile potrzeba dla dwóch ludzi, którzy chcą złożyć się i skrzyżować szpady, żaden z nich jednak nie może się cofnąć. Przeciwnicy stają w poprzek uliczki, przyjaciele ich zaś zatrzymują przechodzących, ażeby im nie przeszkadzali. Zwyczaj ten zaprowadzono niegdyś dla zapobieżenia morderstwom, człowiek bowiem, który wie, że ma nieprzyjaciela, nie przechodzi przez ciasną uliczkę, gdy zaś morderstwo gdzie indziej było popełnione, niepodobna już podać je za pojedynek...

Wreszcie pod karą śmierci nie wolno ze sztyłem przechodzić przez ciasną uliczkę. Takim sposobem widzisz, że pojedynek nie tylko jest tolerowany, ale nawet pozwolony na Malcie, chociaż wyraźnie pozwolenie to nie jest ogłoszone. Kawalerowie ze swojej strony nie tylko, że nie nadużywają tej swobody, ale mówią nawet o niej z pewnym rodzajem oburzenia, jako o występku przeciw miłosierdziu

38  
chrześcijańskiemu dającym zgorszenie.

Przechadzki komandora po ciasnej uliczce nie były zatem na miejscu. Karawaniści francuscy stali się kłótliwymi i zawadiakami, a niewiele było potrzeba, aby ich do tego doprowadzić. Opryskliwe te obyczaje coraz się pogarszały. Kawalerowie hiszpańscy jeszcze bardziej się od nich odstrychnęli, nareszcie zebrali się u mnie, zapytując, co mają czynić dla pohamowania popędu, która zaczynała być niezdolną. Podziękowałem rodakom za zaszczyt, jaki mi wyrządzali pokładając we mnie zaufanie. Przyrzekłem im, że pomówię o tym z komandorem i przedstawię mu postępowanie młodych Francuzów jako pewien rodzaj nadużycia, którego postępy on sam tylko mógł powściągnąć dzięki wysokiemu poważaniu i szacunkowi, jakimi go otaczały trzy plemiona jego narodu. Obiecywałem sobie, że uczynię mu to przedstawienie z wszelką grzecznością, wszelako rad byłem, że mnie do tego wybrano. Jednym słowem, muszę wyznać, że tym sposobem pochlebiałem odrazie, którą od dawna czułem do komandora.

Właśnie byli wówczas w Wielkim Tygodniu i postanowiono, że w

przeciągu piętnastu dni będę miał rozmowę z komandorem. Zdaje mi się, że mu doniesiono o moim zamiarze, który chciał uprzędzić szukając ze mną zaczepki.

Nadszedł Wielki Piątek. Wiesz, że według zwyczaju hiszpańskiego tego dnia idzie się do kościoła i ofiarowuje wodę święconą kochanej kobiecie. Pod pewnym względem pobudza do tego zazdrość i obawa, aby ktoś inny nie podał wody i tym sposobem nie starał się zabrać znajomości. Zwyczaj ten hiszpański wprowadzono na Maltę. Stosownie do niego udałem się za pewną kobietą, z którą od kilku lat zostałem w związkach. Ale w pierwszym kościele, do którego weszła, komandor zbliżył się przede mną. Stał pomiędzy nami i cofnął się o kilka kroków, jak gdyby chciał być nadeptać mi na nogę. Postępowanie

39

to zwróciło uwagę kilku obecnych kawalerów. Wyszędłszy z kościoła zbliżyłem się obojętnie do komandora, pragnąc niby pomówić z nim o mało ważnych rzeczach. Zapytałem go, do jakiego kościoła chce się teraz udać? Nazwał mi jakiegoś świętego. Ofiarowałem się, że zaprowadzę krótszą drogą, i zaprowadziłem go tak, że się nie spostrzegł, w ciasną uliczkę. Stanąwszy tam dobyłem szpady, pewny, że nikt nam nie przeszkodzi, wszyscy bowiem tego dnia znajdowali się w kościołach.

Komandor także dobył szpady, ale wkrótce zniżył ostrze:

- Jak to - rzekł - w Wielki Piątek? – Nie chciałem go słuchać. -

Racz señor uważać - dodał - że od sześciu lat przeszło nie byłem u

spowiedzi. Przeraza mnie stan mego sumienia. Za trzy dni.

Zwykle jestem spokojnego sposobu myślenia, a wiesz, że ludzie tego charakteru, raz przyprowadzeni do ostateczności, nie mogą się już upamiętać. Zmusiłem komandora, by stanął do walki, ale rzecz dziwna, jakiś przestach rozlał się po jego twarzy. Oparł się o mur, jak gdyby przewidując, że upadnie, i zawczasu szukał był oparcia.

W istocie od pierwszego ciosu utopiłem mu szpadę w piersiach. Pochylił ostrze, zatoczył się na mur i rzekł umierającym głosem:

- Przebaczam ci, oby niebo chciało równie ci przebaczyć. Zanieś moją szpadę do Tête-Foulque i każ zmówić za moją duszę sto mszy w kaplicy zamkowej.

Wyzionął ducha. W pierwszej chwili nie zważałem na jego ostatnie wyrazy i jeżeli później przypominałem je sobie, było to dlatego, że je powtórnie usłyszał. Złożyłem moją deklarację w zwykłej formie i mogę rzec, że przed światem pojedynek mój wcale mi nie zaszkodził. Nie cierpiano komandora i uznano, że zasłużył na swój los; sądziłem jednak, że zgrzeszyłem przed Bogiem, zwłaszcza uwłaczając świętości sakramentów, i sumienie moje czyniło mi gorzkie wyrzuty. Trwało to przez osiem dni.

40

W nocy z piątku na sobotę nagle obudziłem się i gdy spojrzałem dokoła, zdało mi się, że nie jestem w moim pokoju, ale że leżę na bruku w ciasnej uliczce. Zdziwiłem się niepomału, gdy ujrzałem wyraźnie komandora opartego o mur. Widmo zdawało się dobywać nadprzyro-



dzonych sił i rzekło: - Zanieś moją szpadę do Tête-Foulque i każ zmówić za moją duszę sto mszy w kaplicy zamkowej. - Zaledwie usłyszałem te słowa, gdy wpadłem w sen letargiczny. Nazajutrz obudziłem się w moim pokoju i w moim łóżku, ale zachowałem jak najdokładniej wspomnienie mego widzenia.

Następnej nocy kazałem służącemu spać w moim pokoju i nic nie widziałem. Przez cały tydzień byłem spokojny, ale w nocy z piątku na sobotę znowu miałem to samo widzenie, z tą różnicą, że służący mój leżał na bruku o kilka kroków ode mnie. Widmo komandora pokazało mi się i powtórzyło te same słowa. Odtąd co piątek widziałem też to samo zjawisko. Służący mój marzył, że leżał w ciasnej uliczce, ale wreszcie nie widział ani słyszał komandora.

Z początku nie wiedziałem, co to było Tête-Foulque, gdzie według żądania komandora miałem zanieść jego szpadę. Kawalerowie francuscy powiedzieli mi, że był to zamek położony o trzy mile od Poitiers wśród lasu, że opowiadano o nim w kraju wiele nadzwyczajnych rzeczy i że chodzono tam dla oglądania niektórych ciekawych przedmiotów, jak na przykład: zbroi Foul-que'a Taille-fer i broni pozabijanych przez niego rycerzy, że nareszcie według zwyczaju przyjętego w domu Foulquière'a składano tam broń, która służyła członkom tej rodziny bądź w bitwach, bądź też w osobistych walkach. Wszystko to mocno mnie zajmowało, musiałem jednak pomyśleć wprzód o moim sumieniu.

Poszedłem do Rzymu, wyznałem moje grzechy przed wielkim spo-

wiednikiem i nie tailem mu widzenia, które ciągle mnie prześladowa-  
ło. Nie odmówił mi rozgrzeszenia, ale udzielił je warunkowo. Po odby-  
ciu pokuty miałem nie zapomnieć o stu mszach w kaplicy zamku

41

Foulque. Niebo tymczasem przyjęło moją ofiarę i od chwili gdy się  
wyspowiadałem, widmo komandora przestało mnie dręczyć. Przynio-  
słem był z Malty jego szpadę, natychmiast więc wybrałem się w drogę  
do Francji.

Przybywszy do Poitiers, zastałem wszystkich już uwiadomionych o  
śmierci komandora i uważałem, że nie więcej go żałowano niż ha Mal-  
cie. Zostawiłem w mieście moich służących, sam zaś przywdziałem  
ubiór pielgrzyma i nająłem przewodnika. Powiniennem pójść piechotą,  
wreszcie droga do Tête-Foulque była nieprzystępna dla powozów.

Zastaliśmy bramę zamkniętą, długo dzwoniliśmy i wołaliśmy, wresz-  
cie pokazał się murgrabia. Był on jedynym mieszkańcem Tête-  
Foulque oprócz pustelnika, który doglądał kaplicy i którego właśnie  
znaleźliśmy przy modlitwie. Gdy skończył swoje pacierze, powiedzia-  
łem mu, że przychodzę prosić go o sto mszy. To mówiąc złożyłem ofia-  
rę na ołtarzu, chciałem także i szpadę komandora na nim zostawić; ale  
murgrabia oznajmił mi, że należy odnieść ją do zbrojowni, gdzie we-  
dług zwyczaju składano zawsze broń wszystkich Foulquière'ow pole-  
głych w walkach, jak równie oręż zabitych przez nich przeciwników.  
Udałem się za murgrabia do zbrojowni i w istocie spostrzegłem mnó-  
stwo szpad rozmaitej wielkości, równie jak i portrety, zacząwszy od

Foulque'a Taille-fer hrabiego Angulemu, który wybudował Tête-

Foulque dla syna swego z nieprawego łoża, który to syn był później seneszalem Poitou i protoplastą Foulquière'ow z Tête-Foulque. Portrety seneszala i jego żony wisiały po obu stronach wielkiego komina umieszczonego w rogu zbrojowni. Wszystkie malowidła tchnęły nadzwyczajnym życiem, chociaż odznaczały się owoczesnym stylem, żadne jednak nie było tak uderzające, jak portret Foulque'a Taille-fer.

Obraz był naturalnej wielkości. Rycerz stał na nim w bawolim kaftanie, w jednej ręce trzymał szpadę, drugą zaś brał wojenny topór, który mu koniuszy jego podawał. Większa część szpad wisiała misternie

42

ułożona obok tego portretu.

Prosiłem murgrabiego, aby kazał rozpalić ogień i przynieść mi wieczerzę.

- Zgoda co do wieczerzy - odpowiedział - ale co się tyczy noclegu, radziłbym ci, mój pielgrzymie, abyś przespał się raczej w moim pokoju.

Zapytałem go o powód tej przestrogi.

- Niepotrzebnie się pytasz - odparł murgrabia - zaufaj mi, każ sobie posłać obok mego łóżka.

Przyjąłem jego ofiarę z tym większą przyjemnością, że właśnie był piątek i lękałem się powrotu mego zjawiska.

Murgrabia wyszedł, aby zająć się moją wieczerzą, ja zaś zacząłem się przypatrywać broni i portretom, które, jak powiedziałem, wyma-

lowane były z niesłychaną prawdą. Im bardziej dzień chylił się ku upadkowi, tym więcej ponure draperie zlewały się w jeden cień z tłami obrazów, ogień tylko komina jaskrawo odznaczał twarze. Doznałem przykrego uczucia, może też, że dałem się zbyt unieść wyobraźni, stan bowiem mego sumienia utrzymywał mnie w ciągłej trwodze. Murgrabia przyniósł mi wieczerzę złożoną z półmiska pstrągów, złowionych w sąsiednim potoku. Dano mi także flaszkę niezłego wina. Chciałem, żeby pustelnik usiadł z nami do stołu, ale ten żył tylko korzonkami w wodzie gotowanymi.

Miałem zwyczaj codziennego odmawiania brewiarza, jak przystało na zakonnika, tym bardziej hiszpańskiego. Dobyłem więc książkę i różaniec; powiedziałem murgrabiemu, że ponieważ sen mnie jeszcze nie morzył, pomodłę się zatem w zbrojowni do późnej nocy, i prosiłem go, aby mi tylko wskazał mój pokój.

- Bardzo chętnie - odpowiedział – pustelnik przyjdzie o północy modlić się w kaplicy. Wtedy zejdziesz tymi małymi schodami i nie będziesz mógł ominąć mego pokoju, którego drzwi zostawię otwarte. Pamiętaj tylko, abys dłużej nad północ się nie zatrzymywał.

43

Murgrabia wyszedł. Zacząłem modlić się, dorzucając czasem drzewa na ogień. Nie śmiałem jednak zbyt przypatrywać się ścianom, portrety bowiem zdawały się zupełnie żyjącymi. Jeżeli przypadkiem spojrziałem na który, natychmiast zdawał mi się mrugać oczami i wykrzywiać usta. Nade wszystko jeneszal i jego żona, którzy wisieli po obu

stronach komina, rzucali na mnie gniewne spojrzenia, po czym spojrzeli po sobie. Nagłe uderzenie wiatru, który zatrzęsł oknami tak, że broń na ścianie zagrzecotała, podwoiło moją trwogę. Wszelako nie przestawałem żarliwie się modlić. Nareszcie usłyszałem śpiewającego pustelnika i gdy śpiew ustał, zszedłem schodami, aby się udać do pokoju murgrabiego. Trzymałem w ręku kawałek łojowej świeczki, wiatr ją zagasił, powróciłem, aby ją zapalić; ale jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem seneszała i jego żonę, którzy wyszli z ram i siedzieli przy kominie. Rozmawiali sobie poufale, tak że można było wyraźnie słyszeć ich słowa:

- Moja panno - mówił seneszał - co aścka myślisz o tym Kastylianinie, który uśmiercił komandora i nie pozwolił mu nawet wypowiedać się?

- Myślę, mój miłościwy mężu i panie - odrzekło widmo niewieście  
- myślę, że jest to wielki grzech a niegodziwość. Mam jednak nadzieję, że wielce możny a miłościwy Taille-fer nie wypuści tak na sucho owego Kastylianina i że ciśnie mu rękawicę.

Strach mnie zdjął niezmierny, wypadłem na schodki, chciałem po omacku trafić do drzwi murgrabiego, ale nadaremnie. W ręku trzymałem zawsze świeczkę, pragnąłem ją zapalić i nieco się uspokoić, usiłowałem wytłumaczyć sobie, że rozgniona wyobraźnia moja spłodziła dwie postacie, które widziałem był przy kominie.

Wróciłem więc i stanąwszy we drzwiach zbrojowni przekonałem się, że rzeczywiście nikogo nie było przy kominie. Wszedłem śmiało,

ale postąpiwszy kilka kroków cóż ujrzałem na środku zbrojowni? Mi-  
łościwy Taille-fer w wojowniczej postawie składał się do mnie końcem  
44

swej szpady. Chciałem uciec na schodki, ale we drzwiach stała mara  
koniuszego, która rzuciła mi rękawicę pod nogi.

Nie wiedząc, co począć, pochwyciłem pierwszą lepszą szpadę ze  
ściany i rzuciłem się na mego fantastycznego przeciwnika. Zdawało mi  
się nawet, że go przeszył na wylot, ale w tej samej chwili odebrałem  
uderzenie nad sercem, które sparzyło mnie jak rozpalone żelazo. Krew  
moja zalała posadzkę i padłem bez zmysłów.

Obudziłem się nazajutrz w pokoju murgrabiego, który widząc, że  
nie powracam, wziął święconej wody i przyszedł po mnie. Znalazł  
mnie rozciągniętego bez przytomności na podłodze. Spojrzałem na  
piersi, nie miałem żadnej rany i cios, który, zdało się, otrzymałem, był  
tylko skutkiem obłędu. Murgrabia o nic mnie nie pytał, ale radził,  
abym niezwłocznie opuścił zamek.

Poszedłem za jego radą i udałem się drogą do Hiszpanii. Ósmego  
dnia stanąłem w Bayonne. Przybyłem tam w piątek i zamieszkałem w  
znajomej gospodzie. Śród nocy obudziłem się nagle i ujrzałem przed  
sobą miłościwego Taille-fera, który składał się do mnie swoją szpadą.  
Przeżegnałem się znakiem krzyża świętego i widmo rozwiało się opa-  
rem. Wszelako uczułem to samo uderzenie, które otrzymałem w zam-  
ku Tête-Foulque. Zdawało mi się, że krew mnie zalała, chciałem wołać  
o pomoc, uciec z łóżka, ale jedno i drugie było niemożliwe. Ta niewy-

powiedziana męczarnia trwała aż do pierwszego zapiania koguta;  
wtedy zasnąłem, ale nazajutrz zdrowie moje było w stanie godnym  
politowania. Odtąd co piątek to samo widzenie się powtarza, wszelkie  
pobożne uczynki nie mogły go oddalić. Smutek mój spycha mnie do  
grobu; legnę w nim i nie zdołam wydobyć się spod władzy szatana;  
słaby promyk nadziei w miłosierdziu boskim utrzymuje mnie jeszcze i  
dodaje sił do znoszenia moich cierpień.

*Z Rękopisu znalezionej w Saragossie.*

*Jan Borszorewski*  
**WŁOSY KRZYCZĄCE NA GŁOWIE**

---

W

W Witebsku spotkałem się na ulicy z doktorem naszego powiatu,  
panem M. Zdarzyło się, że oba w tymże czasie przyjechaliśmy do mia-  
sta dla interesów. Pogadawszy o tym i owym rzekł doktor:

- A gdzie będziesz obiad jeść?

- Gdzie Pan Bóg pozwoli - odpowiedziałem - za pieniądze w mie-  
ście wszędzie łatwo znaleźć obiad.

- Pojedziemy do traktieru Karlisona, tam zawsze podają jedzenie  
wyborne.

- A czy nie będzie za drogo dla szlachcica?

- Nie drożej jak u innych, lecz jeśli cokolwiek i więcej, za to będzie  
z lepszym gustem. Dla siebie nie trzeba żałować.

Zgodziłem się. Wchodzimy do ogromnego pokoju, było tam kilka osób; jedli, pili, palili fajki, śmieszyli jeden drugiego wyprowadzając na scenę wady i dziwactwa swoich znajomych; drwili ze wszystkich, nie oszczędzając kobiet i starych ludzi.

Siedząc za stołem z podziwieniem poglądałem na tych trzpiotów, jak usiłowali popisać się swoim dowcipem, śmieli się na całe gardło i zbliżając się do lustra opatrywali siebie od głów do nóg.

- Dobrze niekiedy i w traktierze bywać - rzekł doktor - tu ludzie

46

śmieiej zdejmują z siebie maskę i tu najdokładniej można widzieć, jakimi są.

Ledwo to powiedziałem, wchodzi ktoś wysoki, włosy gęste, najeżone, oczy niespokojne, twarz pełna, blada, jakby w niej tylko żółć i woda była. Wszyscy obrócili oczy na niego, on usiadł na kanapie i biorąc się za głowę zastękał, mówiąc: - Nie ma im pokoju. - Potem kazał sobie podać szklankę rumu, wypił połowę i jakby zamyślony, siedział kilka minut w milczeniu; po czym wstał przypatrując się w lustro; rękę położył na głowę, mówiąc te słowa: - O! teraz przynajmniej nie ruszają się i zmiłkły na czas krótki.

Gdy wszyscy z podziwieniem patrzyli na niego, rzekł mój towarzysz:

- Niezdrów jesteś, jak uważam, musisz cierpieć ból głowy; nie sądzę, aby rum mógł ulżyć, więcej jeszcze zaszkodzi.

- Nie proszony rady dajesz.



- Doktor jestem, to mój obowiązek.
- Doktor jesteś, a nie zgadłeś mego cierpienia. Powiedz mi lepiej, jaka śmierć jest lżejszą, gdyż ja nie mam nadziei być zdrowym, a umrzeć muszę.
- Moja nauka ma na celu przedłużyć życie ludzkie, a nie pokazywać drogę do śmierci, gdyż śmierć sama nas spotka.
- Śmierć sama nas spotka, to prawda, ale któż o tym nie wie?
- Tak, ta prawda wszystkim jest wiadoma, ale nie wszyscy o niej myślą.
- Komu życie miłe; lecz kto tak cierpi jak ja, temu nie ma czego na świecie żałować.
- Jakież masz przecie cierpienie?

- Włosy, włosy zatrały życie moje!

Gdy to powiedział, z drugiej strony, w kole wesołego towarzystwa powstał śmiech i dały się słyszeć takie rozmowy:

- O! bo też były to włosy z pięknego warkocza!
- Nie trzeba było ostrzygać; jest w tym sympatia, że przez to zrywa się związek wzajemnych uczuć.

47

- Bo też naprzykrzyły się mu włosy, przeciął je nożycami, a te odżyły przy świetle księżyca.
- Nie umiał szanować, a miał włosy ślicznie śpiewające.
- Patrzcie, patrzcie, i na jego głowie oświecone słońcem ruszają się włosy, jak gdyby żywe były.

Posłyszawszy te żarty cierpiący spojrział na nich z gniewem, nic nie mówiąc porwał się z miejsca i prędkim krokiem chodził po pokoju.

Ci panowie razem wszyscy wyszli, a wychodząc rzekł jeden z nich:

- Bywaj zdrów, panie Henryku! pij więcej rumu, a wszystko dobrze będzie!

- Otóż czego dożyłem - rzekł Henryk obróciwszy się do doktora. -

Zostałem pośmiewiskiem nieczułych ludzi, śmieszne im cudze nieszczęście, wszędzie, gdzie tylko ich spotykam, starają się powiększyć moje cierpienia, szydząc z bolesnych wypadków mojej przeszłości.

- Zanadto masz drażliwe nerwy - rzekł doktor - gdy oburzasz się na ludzi zupełnie lekkomyślnych. Ja tu siedząc poznałem ich, słuchając, jak zuchwale nie szczędzili uszczypliwych i krzywdzących słów dla wszystkich swoich znajomych w mieście.

- Byłem kiedyś zupełnie inny, obojętnie słuchałem śmiechów i jęków, nic nie oburzało moich nerwów - włosy, włosy zrujnowały we mnie całą naturę!

Tu zamilkł, jakby słuchał czegoś, i wnet pokazując palcem na włosy swoje:

- Oto - rzekł - jeden zaśpiewał i inne ruszają się... prędko zakrzyczą wszystkie razem. Wy nie widzicie, co się dzieje na mojej głowie! -

To rzekłszy, prędko poszedł wziąć szklankę, aby ostatki wypić rumu.

- Słuchaj mojej rady - powiedział doktor - każ podać wody i cukru; zmieszaj to razem, przynajmniej mniej szkodliwym będzie, lecz ja bym radził zupełnie zaniechać tej kuracji.

Wziął szklanke, stanął przed lustrem ręką dotykając włosów, ścisnął ramionami, potem obrócił się do doktora, spojrzał na niego niepokojnym okiem i rzekł tymi słowy:

- Zanedbam ten sposób, jeśli wynajdziesz lepszy; jednakże nie odrzucam pierwszej rady. - To rzekłszy kazał podać wody i wypił szklanke ponczu.

- Opowiedz mi wypadki życia swego; gdybym wiedział, skąd ma początek to cierpienie, może bym i znalazł sposób, aby czymkolwiek zaradzić temu.

- Może znajdziesz sposób powrócić czas przeszły?

- Przeszłość uczy nas, jak mamy korzystać z terażniejszości.

- Moja choroba jest nowa; ani lud prosty instynktem, ani nauką medyki nie odkryli jeszcze ziółek, aby ją wyleczyć, jednakże postrzegam w tobie, że najszczerze masz chęci zaradzić mojej niedoli; powiem o kilku ważniejszych wypadkach, które spotkały mię w życiu. Byłem jedynakiem u rodziców; w dzieciństwie nie doświadczyłem, aby mi w czymkolwiek odmówiono; słudzy spełniali wszystkie moje rozkazy, nauczyciel domowy wykładał mi początki francuskiego języka lekkim sposobem, abym zajmując się, w przeciągu jednej godziny nie doświadczył najmniejszej przykrości i nie przytłumił w sobie wesółych myśli, które więcej cenią się w towarzystwie świeckim niż gruntowna umiejętność wysokich nauk.

Kiedy miałem lat piętnaście, ojciec pomieścił mnie w Rydze na rok

jeden, abym tam korzystał w językach niemieckim i francuskim od lepszych nauczycieli i nabył gustu we wszystkim tym, co może mię zalecić przed ludźmi tymi, o których brzmi sława wśród świetnych salonów.

Zostawił pieniędzy więcej, niż wymagały potrzeby moje, i ja tam spotykałem tylko kwiaty wesołego życia; nikt mi nie wspomniał wtenczas, że czas mija bez powrotu, zdrowie człowieka wątłe, ulega smutnym

49

zmianom i wesele lat szczęśliwych podobne do samych marzeń.

Kiedy powróciłem z miasta do domu, od rana do wieczora najczęściej polowaniem byłem zajęty. Na utrzymanie strzelców, chartów i psów gończych nie żałował mój ojciec kosztów, pozwolono mi ludzi trzymać dla usług tyle, ile chciałem; miałem piękne konie, sprowadzałem modne pojazdy.

Po latach kilku wybrany byłem od obywateli dla urzędowania w tymże powiecie. W mieście znalazłem wielu przyjaciół; w moim domu często wrzały wesołe zabawy, a niekiedy przy winie lub za kartowym stołem goście spotykali wschód słońca.

Przeszło lat cztery; rodzice moi przenieśli się do wieczności. Powróciłem do domu z zamiarem zajęcia się gospodarstwem i znalazłem majątek obciążony długami. Zjeżdżali się do mnie wierzyciele mojego ojca i z groźbą wspominali o należności, domagał się sąd o nie zapłacone podatki skarbowe od lat kilku; postrzegłem niebezpieczeństwo i wtenczas raz pierwszy zwróciłem uwagę na straszną przyszłość.

- Trzeba się żenić - rzekł mi mój sąsiad. - Panna Amelia, córka komisarza, który teraz zarządza majątkami pana G., piękna dziewczyna z dobrym wychowaniem, a do tego słyszałem, że więcej dziesięciu tysięcy rubli srebrnych ma w posagu; ojciec jej gromadził porządny fundusz, zajmując się obowiązkami komisarza i plenipotenty, a że nie jest w związkach rodzinnych z tutejszymi Jaśnie Wielmożnymi, którzy robią, co chcą, w czasie elekcji urzędników, na to nie zwracaj uwagi. W twoich okolicznościach potrzebne pieniądze, a nie rodzinne związki, które, wedle mego zdania, na nic się nie przydadzą.

Postrzegłem, że rada mego sąsiada była istną prawdą; zgodziłem się na ten wybór i prosiłem jego w tym razie pomocy. Dziesięć tysięcy rubli srebrnych, a choćby i mniej cokolwiek, byłoby dość, ażeby oswobodzić od przykrych interesów mój majątek, a do tego o pięknych zaletach córki pana komisarza i pierwszej jeszcze słyszałem od wielu osób, a tak więc, aby przyprowadzić to do skutku, pojechaliśmy obaj do

50

domu jej rodziców,.

Zobaczywszy pierwszy raz Amelię, postrzegłem prawdziwie cudne zalety natury; postać jej śliczna mogłaby służyć wzorem do najpiękniejszego obrazu, na twarzy okazywała się łagodność charakteru, w błękitnych oczach odbijała się cicha melancholia i jakieś przyjemne marzenie. Rozmawiając z nią o przyszłości i o niestałym szczęściu na tym świecie poznałem, że przez wpływ wychowania z pokorą wierzyła w przecucie i w niezbadane tajemnice natury. Sąsiad mój otwarcie

opowiedział matce i ojcu o wszystkich potrzebach w interesach mego majątku; zgodzili się rodzice i córka.

Po weselu najszczęśliwszym byłem z ludzi; przywiozłem żonę do domu i wypłaciłem wszystkie długi.

Ach! dlaczego nie wierzyłem w przeczucie! Doktorze, czy zgadzasz się z tym, że czuła dusza ludzka słyszy w cichym głosie anioła przestrogi daleko lepiej niż naukami i doświadczeniem nabyta mądrość?

- Postrzegamy to w życiu - rzekł doktor - lecz ten instynkt bywa nie u wszystkich ludzi.

- Dlaczegoż ja nie chciałem wierzyć sercu czulej Amelii?

- W jakim zdarzeniu? I jakież z tego nastąpiły skutki?

- W przeciągu trzech lat byliśmy szczęśliwi oboje, a chociaż z przyczyny niektórych myśli i pojęć zdarzała się w rozmowach naszych sprzeczność, jednak zawsze się ta skończyła spokojnie. Amelia widząc mój upór prędko wybierała inny przedmiot dla rozmowy, aby tylko uniknąć niezgody.

Wiosenną porą był wieczór pogodny, wyszliśmy na przechadzkę do bliskiego lasu, wokoło odzywały się śpiewy rozmaitych ptaków. Amelia idąc drogą przerywała często rozmowę, jakby wpadając w jakieś smutne marzenie.

- Uważam - rzekłem - że przeczucie takie jakies tam szepce do

51

ucha, bo przerywasz rozmowę i wpadasz w smutne myśli.

- Prawdziwie, jakaś na mnie tęsknota napada, nie wiem dlaczego.

- Spiew słowików i kukawek działa na twoje nerwy.

- Może być - odpowiedziała cichym głosem.

„W czasie tej rozmowy widzę, z lewej strony idąc przez las maleńką ścieżką zbliża się do nas jakiś zgarbiony starzec w czarnym odzieniu, twarz blada, oczy jasne świeciły spod gęstych brwi, z tyłu kosz wisiał nakryty starą, czarną sukmaną. Ciekawy byłem poznać, kto by był i skąd podróżował ten dziwny człowiek. Spotkawszy się zapytałem:

- Kto jesteś i skąd idziesz, staruszk?

On zdejmując z głowy stary, zgnieciony kapelusz i rzecze kłaniając się nisko:

- Mieszkam na całym świecie, szukam łaskawych dla siebie dobrodziejów i ciągle wojuję z przesądem i marzeniem ludzkim.

Ta odpowiedź jego obudziła we mnie do dalszej rozmowy.

- Z jakichże powodów - rzekłem - powstała ta wojna z przesądem i marzeniem ludzkim?

- Z powodu, że oni nie zrozumieli ani mnie, ani swojej korzyści. Ja zwiedziłem świat cały, poznałem wszystkie potrzeby ludzkie, zbadałem najskrytsze tajemnice natury, chciałem przynieść ulgę mieszkańcom tej nieurodzajnej i ubogiej krainy, lecz oni zamiast nagrody zasypali mnie przekleństwem, nigdzie nie dając spokojnego przytułku.

- Cóż robiłeś przecie - rzekłem - dla mieszkańców naszej ziemi?

- Chciałem dobrze zrobić, lecz za dobroć moją dwa razy doświadczyłem prześladowania. Nie mogę zapomnieć, chociaż już temu przeszło dwadzieścia kilka lat; wynalazłem sztukę robienia złota, chciałem

ten sposób udoskonalić i udzielić tutejszym obywatelom. Pan X., bogaty człowiek, blisko Połocka miał majątek i dom w mieście, w którym

52

sam mieszkał, dla mnie tamże naznaczył maleńki pokoik dla zajęcia się i udoskonalenia mojej nauki. Tam okropny wypadek zdarzył się ze mną; wychodząc zostawiłem drzwi nie domknięte, na stole u mnie leżały w papierku proszki białe, potrzebne w wielu rzeczach do tej nauki; żona pana X. weszła do mego mieszkania, wzięła jeden papierek z proszkiem sądząc, że to było lekarstwo, i poczuwszy ból głowy, kazała podać szklanekę wody, wsypała proszek, wypła i wnet umarła. Prześladowany od sądu niewinnie, musiałem stamtąd uciekać i szukać sobie przytułku w innym miejscu. Udałem się do pana Y. i chciałem jemu wielkie rzeczy objawić. Podczas północy była na smętarzu próba, lecz ten pan i sługa jego, który potrzebny był dla pomocy, oba nie mając sił, oby mogli wytrzymać próbę wielkiego dzieła, zemdleli; ja bojąc się prześladowania zostawiłem ich tam leżących na smętarzu - uciekłem, nigdy już nie pokazywałem się w tamtych stronach i zrobiłem postanowienie na wieczne czasy nie odkrywać przed światem tego sekretu.

- A cóż masz w tym koszu pod sukmaną? - zapytałem.

- Króliki - odpowiedział - niosę na sobie; jeśli łaskawy kto pozwoli mi gdziekolwiek samotny dom dla mieszkania, tam będę je hodować, one bardzo mnożą się, w prędkim czasie będę miał z nich jedyny pokarm w moim ubogim stanie.



- Odkryj kosz i pokaż nam króliki twoje.

Ledwo odkrył kosz, Amelia cofnęła się i zakrzyczała w przelęknieniu:

- Ach! ach! jakie okropne nietoperze! zakryj, zakryj je prędeej, patrzeć nie mogę na te straszydła!

Spojrzałem na nią z podziwieniem, bo prawdziwe widziałem czarne młode króliki, a starzec rzekł rzucając na nią wzrok bystry:

- Przypatrz się, pani, lepiej, to są młode czarne króliki; jeszcze nie wyrosły, jak potrzeba - i jednego z nich wzięwszy za uszy, podjął z kosza.

- Ach! ach! jaki straszny nietoperz! zmiłuj się, nie pokazuj, schowaj go w koszu, nie chcę i nie mogę patrzeć na taką obrzydliwość.

Sądząc, że w tym zmyślonym strachu był jakiś dziwaczny kaprys i upór Amelii, kazałem starcowi, aby szedł i przenocował w folwarku, i że jutro będzie mieć naznaczone dla siebie mieszkanie. On pokłonił się i poszedł prosto do dworu.

Z przechadzki powracaliśmy do domu w milczeniu. Amelia nadzwyczajnie była zmartwiona, blada i łzy świeciły się na oczach. Patrzałem na nią z podziwieniem i szukałem w rozmaitych domysłach przyczyny, dlaczego by przeczyła tak oczywistej prawdzie, gdyż własnymi oczyma widziałem młode króliki - na koniec przerywając milczenie rzekłem:

- Cóż więc, Amelio? i teraz jeszcze gotowaś dowodzić, że starzec ten ma w koszu nietoperze? dziwny do głowy przyszedł ci kaprys:

drwić z starego człowieka, zadając jemu kłamstwo.

- Nie miałam zamiaru - rzekła - zadawać kłamstwo, lecz wierzę własnym moim oczom.

- Żałuję, że zmartwiłaś biednego starca, wszak zauważyłaś z jego rozmowy, że ten człowiek obdarzony rozumem od natury i uczony, szkoda tylko, że jest nieszczęśliwy.

- Spojrzenie i twarz straszna... Na co jego było zatrzymywać, niechby sobie szedł dalej.

- Dziwi mię dzisiejszy nadspodziewanie dziwny twój charakter.

Zatrzymałem jego nie na czas krótki; dam przytułek biednemu i będzie żyć w moim majątku, póki sam zechce.

Amelia słowa na to nie odpowiedziała. Skończyła się sprzeczka i milcząc oboje powróciliśmy do domu.

Niedaleko od dworu nad rzeką stał dom samotny, otoczony jodłowym lasem. Mieścił się tam jeszcze za życia mego ojca poddany z całą swoją rodziną, któremu później dla mieszkania naznaczyłem miejsce na wsi bliskiej, ale pole, które orał, przyłączyłem do ziemi należącej do dworu. W następnym dniu wstałem rano, podróznego starca zaprowadziłem do samotnego domu, aby tam miał spokojne schronienie

54

przy schyłku lat swoich - podziękował mi i pośród chaty wypuścił z kosza swoje króliki.

Mieszkał samotnie; niekiedy sam jeden błąkał się po polu lub w cieniu lasów; w nocy nie spał, pokazywał się na różnych miejscach w

czarnym odzieniu, jak gdyby straszne zjawisko. Mieszkańcy, spotykając go przy świetle księżyca, obawiali się zbliżyć, uciekali jakby od upiora i dziwne nosiły się wieści o nim po całej okolicy. Opowiadali jeden drugiemu, jakoby o północy widzieli ogromne stado nietoperzy nad dachem, gdzie on mieszkał, i na zawołanie przylatywały do niego sowy i kruki.

Słyszając takie wymysły prostego ludu śmiałem się, odwiedzałem starca samotne schronienie, lubiłem rozmawiać niekiedy przez kilka godzin, jesienną porą słuchałem tam, jak szumiały stare jedliny nad dachem chaty; poglądałem na twarz jego, na której zamarł wesoły uśmiech na wieczne czasy. Przed oknem na piaszczystym wzgórku wśród sosen snuło się ogromne stado czarnych królików, skrywając się pod ziemię i znowu wybiegając z nor swoich. Patrząc na to wszystko czułem w sobie zmianę i duch mój pogrążył się w smutne myśli.

Amelia nie chciała go widzieć i nie lubiła, jeśli ktokolwiek wspominał o nim; ja przeciwnie, z przyjemnością rozmawiałem z nim i po upływie kilku miesięcy tak mną zawładnął, że wierzyłem wszystkiemu, co by on tylko powiedział.

W końcu września przed samym zachodem słońca wchodzę do chaty starca; wiatr jesienny wył za ścianą, on wsparłszy się na rękę patrzył się na swoje króliki, których pełno było w domu i na podwórzu.

Postrzegłszy mnie wstał i rzekł tymi słowy:

- Dziwna rzecz, w przeciągu tego czasu, jak mieszkam w majątku pana, zwiedziwszy wszystkie tu miejsca wokoło widziałem w tych la-

sach drzewa rozmaitego rodzaju, lecz dębów zupełnie tu nie ma blisko; znalazłem tylko o wiorst kilka dwa stuletnie drzewa tego

55

rodzaju i blisko wokoło młode drzewka, a te, jak sędzę, wyrosły z żółędzi, które tam wiatr porozrzucił.

- Ja zupełnie nie zwróciłem na to uwagi - rzekłem. - Dla rozmaitych potrzeb gospodarskich nie mniej są dobre u nas i inne.

- Dla użytku dobry wiąz i brzoza, ale cóż może być wspanialszego, jak widzieć gaj dębowy; te drzewka wieki rosną i ja bym panu radził, aby teraz, jesienną porą, kazał je wykopać i wszystkie posadzić na wzgórzu, które widziałem w ogrodzie za stawem i na którym jeszcze dotychczas żadne nie rośnie drzewko.

- Wiele lat trzeba czekać, póki wyrosną ogromne, i pewnie nie zobaczę na tym wzgórku wspaniałych i wysokich dębów, gdyż życie ludzkie jest nader krótkie.

On spojrział na mnie surowo, tak że dreszcz przebiegł po ciele, i jakby drwiąc powtórzył moje słowa:

- Życie ludzkie jest nader krótkie. Na co myśleć o tym, pan jesteś jeszcze młody, masz mocne zdrowie, lat sto żyć będziesz na tej ziemi i w cieniu tych dębów weselić się z przyjaciółmi. Odrzucaj wszelkie smutne myśli, jesteś panem i wszystko powinno służyć dla twoich wygod.

Posłuchałem rady. Na drugi dzień rozkazałem ogrodnikowi iść do starca, który mieszka nad rzeką blisko jodłowego lasu, a gdy ten poka-

że mu młode dęby, aby te przeniósł do ogrodu i posadził na wzgórku.

Ogrodnik słysząc mój rozkaz przeląkł się, twarz mu pobladła i rzekł zmienionym głosem:

- Skąd panu przyszły te myśli? Dęby nie kwitną i z owoców ich nie ma żadnej korzyści; dla ozdoby w ogrodzie najlepsza jest lipa i te lepiej by było posadzić na wzgórku.

- Rady twojej nie potrzebuję - rzekłem - słuchaj, co tobie rozkazuję i wnet spełnij.

- Od starych ludzi słyszałem, że kto sieje lub sadi dęby - roku nie przeżyje.

56

- Jeśli mi drugi raz - rzekłem - powtórzysz takie głupstwa, to zaręczam, że każę ci dać pięćset różeg. Idź, zrób to, co ci rozkazuję.

Ogrodnik, bojąc się dłużej rozmawiać ze mną, wyszedł zmartwiony i szukał zdarzenia prosić moją żonę, czyby nie potrafiła wmówić mi, abym zaniechał tego zamiaru.

Wieczorną porą, gdym się wydał z domu na czas krótki, on wszedł do pokoju Amelii, zmieniony, ze łzami w oczach, rzucił się do nóg i opowiedział jej rzecz całą.

Gdy powróciłem z uśmiechem, spotkała mnie Amelia mówiąc te słowa:

- Skąd ci, Henryku, myśl przyszła sadzić dęby w ogrodzie? nie widzę w tym potrzeby ani też ozdoby. Biedny ogrodnik przyszedł do mnie okropnie zmartwiony mówiąc, że największe nieszczęście prze-

sadzać, gdyż to drzewo zabiera siły od tego, kto je pielęgnuje, a przez co i życie skraca się niezawodnie. Wiem ja, że zabobony pochodzą od nieoświecenia, ale czyż mamy prawo okrutnie postępować z ludźmi za to, że im nie dano żadnego oświecenia? Trzeba używać łagodniejszego sposobu, aby ich odprowadzić od głupich przesądów; wszak ciż są bliźnimi i wielki grzech niesprawiedliwość im wyrządzać.

- Jak ja uważam - rzekłem spojrzawszy na nią z gniewem - to i ty jesteś podobna do ogrodnika; zobowiązałaś się głupstwa bronić, ale na nic twoja protekcja.

- Pewnie ów starzec okrutny dał tobie tę radę; porucz więc jemu samemu zastąpić miejsce ogrodnika i przyprowadzić to do skutku, wszak co dzień nic nie robiąc błąka się po polu i lasach.

- Ludzie moi, ja tak chcę, więc i tak być musi.

Gdy to powiedziałem, z oczu Amelii rzuciły się łzy strumieniem i ona wnet wyszła do drugiego pokoju. Ogrodnik widząc, że wszelkie upadły nadzieje, przywiózł z lasu młode dęby i posadził na naznaczonym miejscu. Potem ciągle był smutny; na próżno drudzy wmawiali, że dęby nie mają żadnego wpływu na zdrowie ludzkie, jednakże on

57

schnął, siły upadły i w następnej wiosnie, gdy tylko te drzewka pokryły się liśćmi, zakończył życie smutne.

Po śmierci ogrodnika, gdy opowiedziałem starcowi o prostocie tego człowieka, o przesądach i o słabości jego charakteru - on spojrział na mnie, zmarszczył czoło, jakby pokazując znak pogardy, i rzekł tymi

słowy:

- Tym lepiej, nie masz czego żałować; mając wiele głupich ludzi, jednego tylko straciłeś z nich.

Druga zdrada tego starca zrujnowała jeszcze więcej zgodę i spokojność między mną i żoną. Miałem zamiar budować nowy dom drewniany, a gdy niewiele brakło mi cegieł dla fundamentu, aby dopełnić ten niedostatek wyszedłem w pole i chodząc tam wybierałem dobre miejsce dla cegielni. On spotkawszy się ze mną rzekł pokazując na smętarz i starą kaplicę, która stała niedaleko od dworu i na samym widoku.

- Jak nie na odpowiednim miejscu ktoś urządził ten smętarz! Z okna mieszkania pańskiego ciągle w oczach drewniane krzyże i kaplica, co za widok nie przyjemny! Odwiedzają pana sąsiedzi, z nich wielu jest młodych i wesołych ludzi, lecz te krzyże i ta kaplica, ciągle snując się w oczach, każdego mogą do prowadzić do posępnych myśli i melancholii; ja bym radził panu naznaczyć wieśniakom miejsce dla smętarza gdziekolwiek daleko za lasem, żeby nie tak często oko go ludzkie widziało; cegły z kaplicy użyć na fundament domu, na tym zaś miejscu posiać owies, aby i znaku nie było, że tam zasypane gniją kości umarłych ludzi.

Pochwaliłem wykształcony gust starca, jego naukę w zbadaniu charakterów ludzkich i tajemnic natury; posłano więc, aby wnet stamtąd znieśli drewniane krzyże, zebrali w kupę kamienie sterczące na mogiłach i zrujnowawszy kaplicę, cegły zwieźli do dworu.

Na próżno poddani moi zebrawszy się ze wszystkich wiosek prosili, abym nie niszczył pamiątek i nie naruszał tego miejsca, gdzie leżą

58

prochy ich rodziców i krewnych; na próżno opierał się temu ksiądz pleban, starając się dowieść, że wielki grzech ściągam na swoje sumienie; na próżno starzy sąsiedzi wyrzucali mi w oczy, że odstępuję od zwyczajów przodków swoich. Na koniec Amelia postrzegłszy, że wszystkich namowy i napomnienia odrzucone zostały, ciężko będąc zmartwiona, rzekła tymi słowy:

- Henryku, wszak ciż jeszcze za życia ojca i dziada twego ta kaplica i smętarz były na tymże miejscu, dla ojca i dziada te krzyże i te mogiły nie naprowadzały okropnych myśli, nieraz oni tam o wschodzie i zachodzie słońca upadłszy na kolana modlili się gorliwie za umarłych swoich kmiotków; wszak ciż ten zwyczaj wszędzie w naszych stronach, że smętarz zaprowadzają na widoku lub blisko dróg, żeby ludzie spotkając okiem krzyże i mogiły odmawiali modlitwy za dusze zmarłe. Pewnie ten okrutny starzec dał tobie tę bezbożną radę, lecz pamiętaj, Henryku, że Bóg będzie sądzić nasze postęпки.

- Nie twoja rzecz! - odpowiedziałem w gniewie. - Ja wiem, co robię; starzec, którego nazywasz okrutnym, śmieje się z waszego głupstwa; zanadto jesteście troskliwi o tych, których już dawno nie ma na tym świecie.

A tak wytrwałem w swoim uporze. W przeciągu dwóch dni i ślad nie został, gdzie był smętarz, cegły kaplicy użyte na fundament nowe-



go domu, do którego przez parę miesięcy przeniosłem się na mieszkanie.

Od tego czasu w Amelii postrzegłem jeszcze większą odmianę w charakterze. Jej oczy i twarz ciągle były zasępione smutkiem; mówiła, że zjawiska dawały się widzieć w tym nowym domu, marzyły się sny straszne i o północy słyszała niekiedy jakieś stękania. Po kilka godzin rano i wieczorem modliła się klęcząc i tak się zmieniła na twarzy, że kto ją znał pierwiej, ledwo by mógł poznać wtenczas po przejściu kilku tygodni.

Kiedy mówiłem przed starcem o takim cierpieniu żony mojej - on

59

spojrzał na mnie kiwając głową i rzekł:

- Jak pan mało jeszcze znasz, co jest kobieta! to nic więcej, tylko upór i gniew, że nie może zarządzać mężem i wszystko robić podług swej woli. Powiedziałbym panu jeden sekret, który ja postrzegłem, ale niech ten lepiej zostanie wieczną tajemnicą mej duszy, bo powiedzą inni, że jestem sprawcą niezgody między małżeństwem.

- Ale zmiłuj się, powiedz - rzekłem - bo kogóż to ma obchodzić więcej, jak męża.

- Wiele obowiązany jestem panu, że zrobiłeś dobrodziejstwo dając ten przytułek dla starca, który na świecie w okropnej podróży życia przeszedł przez wszystkie doświadczenia, nauczył się z zimną krwią patrzeć i dostrzegać wszystkie tajemnice ich myśli i postępów. Odkryję panu ten sekret, który już kilka miesięcy mam w pamięci niko-

mu o tym nie mówiąc - żona pańska ma żywe włosy na głowie.

- Nie słyszałem jeszcze nigdy takich dziwów i nie pojmuję - rzekłem - co to znaczy.

- Otóż opowiem rzecz całą, jakim sposobem ja to postrzegłem.

Pamiętam, raz zjechali się goście do dworu, dzień był cichy i jasny, wyszliście wszyscy wtenczas z domu i korzystając z pięknej pogody przechadzaliście się w polu. Z panem szli dwaj panowie lat podeszłych i byliście bardzo zajęci jakąś rozmową, a żona pańska szła na przedzie okrążona młodzieżą, Ci rozmawiając ciągle Doglądali na jej warkocz. Gdy zbliżyli się do gaju, ja, skryty za drzewem, ciekawy byłem także widzieć, dlaczego oni tak bardzo przypatrywali się włosom. Moje oko bystre daleko sięga i wnet postrzegłem, że przed światłem słońca włosy na głowie żony pańskiej ruszały się w warkoczu i po całej głowie. O! to rzecz, którą pan musisz mieć na baczeniu, bo są dziwy i czary na świecie; młodzież zapatruje się nie rozumiejąc, jaką siłą zapala się uczucie w ich sercu i niespokojność.

- Czyż to być może? - rzekłem z podziwieniem.

60

- Rzecz pewna; opowiem panu, jakim sposobem przekonać się o tej sprawie. Nie dość tego, że ona ma włosy żywe, lecz jeszcze jeden włos jest na jej głowie, który po zachodzie słońca, gdy zmrok pokryje ziemię, krzyczy całą noc aż do białego dnia i dlatego ona może zasnąć tylko na czas krótki, budzi się często, stęka i płacze wieczorem. Gdy pójdzie do osobnego pokoju, gdzie ma zwyczaj klęcząc odmawiać pa-

cierze, pan przybliź się cicho, stanąwszy przy niej natęż tylko słuch dobrze. Ale jeszcze lepiej podczas nocnej ciszy posłuchaj z bliska, wtenczas ten włos najgłośniej śpiewa.

Niewypowiedzianie niespokojny i zdziwiony byłem; zrobiłem postanowienie nie spać noc całą, aby tylko przekonać się o tej prawdzie.

Wieczorem, kiedy Amelia zapaliwszy świecę poszła do osobnego małego pokoiku dla odprawienia modlitwy, ja cicho idąc na palcach zbliżyłem się do drzwi otwartych, natężyłem ucho i posłyszałem pisk tak cienki jak komara, kiedy brzęcząc lata nad skronią i szuka miejsca, i także cichym sposobem znowu odeszłem, nie czekając, nim przerwie swoje nabożeństwo.

Po północy nie kładłem się spać, lecz w osobnym pokoju przy stole sam jeden rozkładałem karty, jak gdyby przez kabały kartowe chciałem wybadać spełnienie rozmaitych moich chęci i zamiarów. Po północy, kiedy wszyscy zasnęli, wszędzie było cicho, zgasilem świecę, wchodzę do sypialnego pokoju jak strach nocny; tam okno przez pół było zakryte. Amelia stękając przez sen leżała na łóżku, u nóg jej, wpadając przez kwadrat szyby, odbijała się część światła księżycowego, a w głowach posłyszałem pisk jakby muchy, która wpadła do pajęczyny.

Dreszcz mi przebiegł po ciele, pomyślałem sam sobie: - Otóż teraz przekonałem się o prawdzie! - i całą noc, niespokojnym będąc, na minutę nie zmrużyłem oka. Nazajutrz rano przyszedłem do starca i opowiedziałem jemu rzecz całą.

- Wierzysz pan teraz, mówiłem prawdę - rzekł starzec - ale jeszcze

nie koniec; trzeba użyć sposobu, żeby te żywe włosy nie przyciągały oczu młodych ludzi ku sobie. Każ pan żonie swojej ostrzyć warkocz i w nocy przynieś go do mnie, nim kogut prześpiewa, a ja postaram się, żebyś jeszcze widział dziwy własnymi oczyma.

Nie wiedziała Amelia, a nawet i nie podejrzewała o umowie naszej i o zamiarach okrutnych. Spotkawszy mię rzekła spokojnym głosem:

- Co znaczy, Henryku, że ta noc była dla ciebie bezsenna? Do późna sam jeden bawiłeś się przy stole z kartami i o samym ranku już ciebie nie było w domu.

- Nie spałem w nocy i rano uciekłem z domu, lecz twoje krzyczące włosy na głowie nigdzie mi spocząć nie dały.

- Nie rozumiem tej zagadki, bo pierwszy raz słyszę o krzykliwych włosach.

- Ruch twoich włosów wszystkim podobał się gościom.

- Mów, Henryku, jaśniej - rzekła - bo ja niezdolną jestem zgadywać.

- Jaśniej ci powiem: chcę, abyś ostrzygła włosy na głowie; mężatce przyzwoicie] być z zakrytą głową.

- Dziwny ci się kaprys uroił w myśli.

- Może i dziwny, ale sprawiedliwy - rzekłem. - Nie chcę, abyś chlubiła się cudownym warkoczem, który czarodziejską siłą oczy wszystkich pociąga ku sobie; bądź więc łaskawa, jeśli chcesz widzieć mnie spokojnym, każ sobie ostrzyć włosy.

- Rozumiem teraz - rzekła Amelia - tu idzie o twoją spokojność.

Zawołała służącą, kazała sobie ostrzyc warkocz i zalana łzami wyszła do drugiego pokoju.

Przed samą północą, mając, przy sobie warkocz Amelii, poszedłem do samotnego mieszkania starca. On nie spał, widziałem, że jeszcze w oknie palił się ogień. Wchodzę do domu; on siedział przy stole wsparty na rękę, jak gdyby w jakichś pogrążony myślach; w kątach izby

62

poruszyły się z miejsca króliki, oczy ich pałały rubinowym ogniem. On wstał z miejsca i rzekł do mnie:

- A cóż, zrobiłeś pan tak, jak radziłem jemu?

- Zrobiłem wszystko, jak należało, i mam przy sobie włosy mojej żony. - To powiedziawszy dobyłem z kieszeni warkocz i położyłem przed nim na stole.

- Otóż prędko pan zobaczysz dziwy. - To mówiąc wziął ogromną drewnianą misę, napełnił wodą, część włosów z warkocza włożył do tego naczynia, stał czas niejaki wlepiwszy wzrok bystry na włosy, ogień na stole palił się ciemno, jakby dogorywał, księżyc wystąpił z czarnych obłoków, zaświecił bladym promieniem przez okno, wnet powstał wiatr; wokoło szumiąc lasy przerywały głucho milczenie; spojrzałem na starca, zdawało się, że usta jego, blade jak trupie, ruszały się, jak gdyby coś szeptał; trwoga napadła na mnie, dreszcz przebiegł po ciele, na koniec rzekł mi: - Przybliź się do mnie i patrz, co się dzieje.

Spojrzałem do misy i widzę dziwy! Żywe włosy, wijąc się w różne strony, jakby pijawki biegały po wodzie. Patrzałem długo na to zdumiony. Na koniec wyniósł z izby zmoczone w misie włosy i pozostałą część warkocza i to wszystko wrzucił do rzeki. I zdało mi się, jakoby widział przy świetle księżyca, że wszystkie wijąc się biegały po wierzchu wody.

Po ukończeniu strasznej tej próby: - Bądź pan spokojny - rzekł do mnie - już te włosy tajemniczą potęgą nie będą więcej ku sobie przyciągać oczu gości.

Po tym okropnym moim postępku Amelia długo skrycie płakała i zdrowia jej co dzień więcej zaczęło ubywać, poczuła wielkie osłabienie w nerwach, w nocy nie mogła zasnąć; gdy tylko oczy zakryła, ciągle marzyły się jej jakieś postaci, jakby powstających z grobów.

Przed zachodem słońca zdarzył się straszny wypadek. Amelia siedziała sama jedna w ogrodzie, lecz gdy zaczął się rozprzestrzeniać zmrok wieczorny, padła rosa na trawy, zrobiło się powietrze zimne i

63

wilgotne, powracała do swego pokoju. Ledwo stąpiła na próg, zakrzyczała okropnym głosem i padła jakby martwa; zbiegli się wszyscy - podjęli ją, w twarzy kropli krwi nie było; położyli na pościeli i z wielkim staraniem ledwo jej mogli powrócić tchnienie.

Gdy przyszła do przytomności, opowiedziała, że wtenczas ten czarny starzec pokazał się jej w okropnej postaci: krwawym ogniem świeciły się oczy, trzymał ogromny nóż w ręku i groził jej śmiercią.

Widząc, do jakiego stopnia zrujnowane jej zdrowie i zupełnie osłabione nerwy, poczułem nareszcie w sercu litość i wnet posłałem, aby jak można najprędzej przywieźć doktora.

Co dzień biegały posłance do miasta z receptami, użyto wszelkich środków medycyny, aby umocnić jej siły. Kilka dni przeszło, lekarstwa były bezskuteczne, nie zrobiły żadnej lepszej przemiany w jej zdrowiu, lecz jeszcze więcej uczyniły ją słabą i cierpiącą.

Rodzice, dowiedziawszy się o niebezpiecznej chorobie swej córki, przyjechali ją odwiedzić, lecz jej chęci były i rada doktora, aby w domu rodzicielskim brała kurację, gdyż tam prędzej może uspokoją się jej myśli i lekarstwo lepiej będzie skutkować.

Zgodziłem się na to - i Amelia z ojcem i matką wyjechała z mego domu obiecując powrócić, jak tylko jej zdrowie cokolwiek będzie w lepszym stanie.

Po trzech dniach odebrałem list z czarną pieczęcią. Przebiegając go oczyma spotkałem te wyrazy: „Amelia smutne swe życie zakończyła wczoraj o godzinie piątej po południu”.

Gdym to przeczytał, nagle wszystkie włosy poruszyły się na mojej głowie, strasznie zaczęły wrzeszczeć, okropna na mnie napadła trwoga, postrzegłem wtenczas, do jakiego stopnia nieszczęścia doprowadził mnie ten starzec okrutny. Porywam pistolet nabity, przybiegam z zamiarem zabicia go natychmiast... ledwo otworzyłem drzwi, z pustej izby wyleciało ogromne stado nietoperzy i z strasznym piskiem snuło

się w powietrzu nad dachem tej chaty i około drzew, a starca i jego królików już i śladu tam nie było.

Rzuciłem dom swój, straszno w nim mieszkać, straszno wyjść w pole i widzieć łąki, pagórki i lasy, bo wszędzie tam zjawia się przed moimi oczyma czarna, jakby szatana, postać okrutnego starca.

- Otóż, doktorze, spowiedź z mego życia.

Po krótkim milczeniu położył rękę na głowie i patrząc się w lustro, rzekł: - I teraz włosy ruszają się i krzyczą. Czy już wiesz sposób, jak zaradzić temu nieszczęściu?

Doktor starając się go pocieszyć poprosił do siebie, dał adres swego mieszkania i wnet wyszliśmy z traktieru, a on tam został. Po dwóch dniach wyjechałem z Witebska i nie widziałem go więcej.

*Jan Barszczewski*

ZACHARIASZEK

Gdzieżecie, duchy domowe! Opuściłyście progi nasze bez wieści i żalu. Cóż was spłoszyło? Czy jakie brzaski światła, czy życie nasze zbyt hałaśliwe? - O, jeszcze dosyć i cienia, i zaciszy! Powróćcie do nas - a jeślić są niemiłe już strzechy prostacze, jeśli was niecofnione już na zawsze od nas rozdzieliły wyroki: o, to pozwólcie choć wspomnieniem zatęsknić za wami.

Było to w domu wiejskim, lecz okazałym, w dniu świątecznym, w



jasnej, południowej, lecz zimowej porze. Obok marmurowego stolika siedziała pani domu, a na stoliku przed nią leżała roztwarta księga modlitw zwana *Heroinq* 1 .

*Heroina chrześcijańska...*, tłum. R. Pollacz, Częstochowa 1724

Wtem naraz dał się słyszeć jakiś śpiew w pokoju, cichy, stłumiony i jakby z pobliskiej ściany wychodził. Zmieszała się pani i powstała.

Wkrótce służba i czeladka napełnili pokoje, wszyscy słuchali, a głos nucił tak tęskno, tak rzewno, że pomimo przestachu, jaki szerzył dookoła, wszystkich jakimś błogim niepojętym uczuciem przejmował.

Naraz ucichło. Z zdumieniem poglądano po sobie, lecz nikt nie badał i nikt nie wątpił, bo były to jeszcze czasy bliższe cudów i wiary.

66

Na drugi dzień o tejże samej chwili znów ten sam głos zanucił, zbiegli się znowu domowi, lecz już nie z trwogą i drżeniem, ale z prawdziwą radością łowili wszystkie tony tej dziwnej, słodkiej, tajemniczej nuty.

Przytomność tylu osób, śpiew zdradzający czystość uczucia, a nade wszystko ufność w prawość swego zamiaru ośmieliły panią domu, postąpiła naprzód i rzekła: - Wszelki duch Pana Boga chwali! Ktokol-

wiek jesteś, mów, kto jesteś i czego potrzebujesz? - Śpiew ucichł, a natomiast dał się głos słyszeć: - Jestem Zachariasz, dusza pokutująca.

Przez cały ciąg ziemskiego mego życia jeden tylko dobry czyn zrobiłem. Bóg jest sprawiedliwy; czyn mój nie ma być bez nagrody, tu za niego doznaję wytchnienia, zanim na wieczne udam się katusze.

Tak mijały dni, tygodnie i miesiące, a ten sam głos ciągle się od-

zywał, ten sam śpiew, drżący, tęskny i bolesny. Czasami w tym śpiewie dały się słyszeć i wyraźne słowa. Były to psalmy Dawida: „Chwali Pana dusza moja” - tymi wyrazami najczęściej pieśń swą zaczynał, lecz gdy przyszedł na słowa: „Weźmie mię mój Pan do królestwa swego”, to je nigdy nie dokończył, tylko słysząc było jakby płacz, łkanie i szlochanie. Już się wieść rozeszła o duszy pokutującej w całej okolicy, schodzili się zewsząd ludzie, a domowi tak nawykli do tego śpiewu pokutnika, iż go już nie Zachariaszem, ale Zachariaszkiem nazywano.

Wkrótce stał się on jakby duchem opiekuńczym. Zdarzało się bowiem nieraz, iż w ciężkiej jakiej przygodzie zbawiennej rady lub nauki udzielał, a szczególnie przyszłe i tajemne rzeczy odkrywał. Toteż do Zachariaszka powszechnie się udawano. I stało się jednego razu, iż pewna w okolicy zamożna kobieta wielką stratę w rzeczach poniosła, udała się więc do owego dworu, a gdy jej ukazano ścianę, w której ów duch przemieszkiwał, przybliżywszy się rzekła w prostocie serca swego: - Mój Zachariaszku, jeżeli się moja zguba znajdzie, to ja tobie za to sprawię ładne sukienki. - Na to Zachariasz: - Moja zacna pani, prędeż tobie przystało jajami kupczyć, niżli duchowi sukienki

67

przywdziewać; bo jeśli jest małe ucho igielne, to ja jeszcze w mniejszym miejscu się mieszczę. - Tak sływał Zachariasz długie jeszcze chwile; on zdawał się znajdować w tym zakątku błogi dla siebie spoczynek, ci w melodyjnym, kornym śpiewie uciechę dla pobożnych umysłów. Tak sływał i nucił, tylko że jego śpiew był coraz cichszym,

coraz tęskniejszym i coraz boleśniejszym. Często już wśród śpiewu ustawał, coraz rzadziej słychać było czyste i podniosłe tony, lecz natomiast płacz i kwilenie. Pewnego dnia w samo południe, znowu zimową porą, wśród wielkiej śnieżnej zamieci zajechała przed ganek kareta. Cztery czarne konie, kareta czarna i liberia w czerni. Wysiadł i wszedł w czarnym stroju mężczyzna. Podniosła się pani na przyjęcie gościa. Nieznajomy wszedłszy zapytał: - Czy tu mieszka Zachariasz? - Tak jest - rzecze zmieszana pani, a jakby w przeczuciu jakiegoś zdarzenia dodała w dobroci serca - lecz on nam tu nic złego nie robi. - Wtem powstał śpiew - ale tak tęskny i rzewny, jakiego jeszcze nigdy nie słyszano. Nieznajomy zbliżył się ku ścianie i rzekł: - Zachariaszu! wychodź! - Śpiew ustał, cisza stała się wielka - i wszyscy struchleli. Nieznajomy przystąpił bliżej, zdjął z palca pierścień, dotknął nim ściany i zawołał powtórnie: - Zachariaszu! wychodź! - Tu nastąpił najprzód cichy i drżący głos, a potem płacz i łkanie. Teraz ów tajemniczy człowiek obrócił pierścień, odemknął go, a przyłożywszy go znowu do ściany, zawołał po raz trzeci: - Zachariaszu! wychodź! - zrazu milczenie, lecz naraz ozwał się jęk bolesny, tak przerażający, iż wszystkich grozą napełnił, naraz wszystko ucichło. Nieznajomy zamknął pierścień, wdział go na palec, skłonił się i wyszedł. W osłupieniu spojądano po sobie, pobieżono ku oknom, lecz kareta znikła nagle sprzed domu; trwoga owiała wszystkich - szum i wicher trwał przez chwilę wielki, ale śpiew już skończył na zawsze.

Henryk Rzewuski

JA GORĘ

Po rozwiązaniu konfederacji barskiej 1, która pochłonęła była i tę szczupłą ojcowiznę, co spadła na mnie po moich antenatach 2, byłem w bardzo krytycznym położeniu. Zwycięzcy, nie mieliśmy czego dobrego się spodziewać od zwycięzców i przyszłoby mnie gdzieś szukać chleba po szlacheckich dworach, żeby nie pamiętał ksiązę biskup krakowski Kajetan 3, że mnie Sołtykówna rodzi.

k o n f e d e r a c j a b a r s k a - zbrojny związek szlachty utworzony w Barze (na Podolu) 29 II 1768; konfederacja przeciw dysydentom i panowaniu rosyjskiemu w Polsce oraz przeciw królowi i próbom reform ustroju. Inicjowana i kierowana przez konserwatywnych magnatów.

a n t e n a t - przodek (rodziny)

K a j e t a n S o ł t y k (1715-1788) - biskup krakowski od 1759 r.; przeciwnik Stanisława Augusta i reform

Ten nieśmiertelnej pamięci ksiązę rękę mi podał, przyjął mnie do swojego boku i dał mnie z swojej łaski wioskę w dożywocie, która dotąd mnie żywi i odziewa. Otóż że ksiązę Kajetan Sołtyk, nim postąpił na krakowskiego, był kijowskim biskupem i miał znaczne biskupie dobra na Ukrainie, a więc przenosząc się w swoje krakowskie województwo wywiózł z tamecznych stron niejakiego pana Pogorzelskiego

herbu Krzywda, szlachcica z Ukrainy, człowieka uczciwego i wielce biegłego w gospodarstwie, i powierzył mu w naszych stronach zarząd klucza samsonowskiego, jednego z najobszerniejszych, z jakich się dobra biskupie składały. A chociaż na Ukrainie, od Boga przyrodzoną

69

żywnością obdarzonej, gospodarstwo idzie tak dobrze jak bez pracy, wszakże on wkrótce obeznał się z naszym tak dalece, że mógł służyć za wzór wszystkim krakowskim gospodarzom i książę spomiędzy wszystkich swoich rządców najwięcej go cenił.

Wszyscyśmy bardzo lubili pana Pogorzelskiego, bo był mężem cnotliwym i światłym, a do tego wesołym, nadzwyczajnie grzecznym i uczynnym. Miał też swoje dziwactwa wedle opinii niektórych dworzaków, ale ja tej opinii nigdy nie podzielałem. Prawda, że dziwne rzeczy o sobie opowiadał; i tak klął się przed nami, że razu jednego, jadąc przez Polesie, zatrzymał się przed karczmą, żeby dać koniom wytchnąć, i nie zlął z wózka. Otóż jakiś Poleszok przybliżył się do niego z strzelbą i mówi: - Panie, niech pan kupi moją rusznicę, ona mu się przyda do polowania. - A wiele ty za nią chcesz? - Tynfów trzydzieści, ani szeląga z tej ceny spuścić nie mogę. - Czy ty oszalał? Wszakże każda sztuka tej strzelby z innego kramu, zamek sznurkiem przywiązany, rura zjedzona od rdzy, a kolba, pożałuj Boże, takie obszarpaństwo przyłożyć do twarzy! - To wszystko prawda, panie, ale za to cnotliwa. - I jakaż w niej cnota? - Jaka? Oto taka, że jak ją pan przyłożysz, wprzód ją nabijesz, jakiej zażadasz zwierzyny, o niej pomyśl, a wnet

ją na celu obaczysz, ale zaraz pal do niej, bo inaczej źle się stać może. -

Pokaż no tę fuzję, a czy nabita? - Nabita, panie, niech pan ją spróbuje, tylko przypominam panu, żebyś z niej wystrzelił, bo jak ją pan odstawisz nabita, w ręku pańskim się roztrzaska. - Otóż - dodał - moi pańowie, pokusa mnie wzięła spróbować strzelbę, przyłożyłem się do niej zamyśliwszy o niedźwiedziu, aż tu i widzę o kilkanaście kroków przed sobą Cygana prowadzącego niedźwiedzia na łańcuchu; dałem

70

ognia. Cygan i łańcuch znikły, a tylko duży niedźwiedź leży zabity.

Zapłaciłem Poleszukowi, co zacenił, i gdyby trzy razy tyle zażądał za strzelbę, anibym się wahał, choćbym miał ostatnią koszulę oddać. Jadę dalej ze strzelbą w ręku, a ciągle próbując naładowałem wózek różnaitą zwierzyną. Aż mi przychodzi na myśl: á czy nie złego ducha w tym sprawa? Zaczynam się modlić; po modlitwie uczułem jeszcze silniejsze przekonanie, że to jest dar czartowski. Wszystką zwierzynę wyrzuciłem z wózka i strzelbę także, aż obzieraam się za sobą, a widzę, że strzelba za mną bieży; kazałem się zatrzymać, wziąłem strzelbę i przywiązałem ją własną ręką do drzewa, jadę dalej, fuzja przy wózku biegnie. Przeląkłem się strasznie, ale że już było blisko Uszomierza, położyłem obok siebie strzelbę na wózku i kazałem siebie zawieźć prosto do klasztoru ojców karmelitów tamecznych; tam przeorowi całą rzecz opowiedziałem i wręczyłem mu strzelbę; on na dziedzińcu klasztornym kazał ją spalić w mojej przytomności. Otóż, moi państwo, taki smród siarki z tego ognia się rozległ, że nie można było wytrzymać na

dzieńcu, a co jeszcze dziwniejsze, kiedy ogień wygasł, nie tylko że oprawa się wypaliła, ale ani zamku, ani rury śladu nie pozostało, wszystko tak się spaliło jak słoma.

Innego razu opowiadał, że wyruszył był z chartami, aż oddalwszy się nieco z domu, baba zatrzymuje jego konie za cugle, prosząc o jałmużnę. - Ja do kieszeni - prawi - bo ubogiego nie godzi się opuszczać, azaliż nie znajdę jakiego miedziaka; był tylko półzłótek; wtedy jeszcze się zaczynały złotówki, półzłotki i srebrne grosze. Żal mi się zrobiło baby, ale i półzłotka, bo na naszej Ukrainie wszystkiego w bród, ale grosz drogi. Odzywam się sam do siebie, a głośno: - Na srebrny grosz bym się zdobył, ale półzłotka szkoda; żeby mnie zdała grosz srebrny, oddałbym jej to, co mam w kieszeni. - A ona do mnie: - Niechże pan mnie to odda, oto srebrny grosz. - Zamiana się zrobiła, a jej pieniądz schowałem do kieszeni. Cóż państwo powiecie? Nie mogłem się tego

71

srebrnego grosza pozbyć. Co komu go oddam, znowu jego znajduję w kieszeni. Nie mogłem pojąć, co to znaczy. Nie spotykałem ubogiego, żeby mu zaraz nie oddał, przecie zawsze wracał do mnie; aż jednego razu w ćwika puściłem się z przyjaciółmi i przez zapamiętanie wpadłszy w płatkę, między innymi pieniędzmi i mój srebrny grosz puściłem, potem opamiętałem się, ale myślę sobie: on wróci się; otóż nie wrócił się, wpadł jak w wodę, a ja zakląłem się, że odtąd karty nie dotknę, i jak państwo widzicie, dotrzymuję moje postanowienie.

Są to rzeczy niepodobne do wierzenia, i wszyscy tu mówili o nim,

że będąc Rusinem wyniósł z kraju swojego pochop do zabobonności i to plecie, co mu się zdaje, że doświadczył, chociaż rzeczywiście tego nie doświadczył. A co do mnie, znałem go tyle pocziwym, że m wierzył na jego słowo w to, co mówił, bo gdybyśmy odrzucali świadectwa ludzi niepodejrzanych ze zbioru wiadomości ludzkich, suma byłaby bardzo szczupłą. Kto innym zanadto wierzy, może często być oszukanym, zwłaszcza jeżeli z lada kim przestaje, ale kto swojemu tylko własnemu rozumowi wierzy, a świadectwem ludzi pocziwych pomiata, dlatego że jemu się zdaje, że ich rozum jest niższy od tego, którym go Bóg obdarzył, nigdy nie zostanie mężem światłym.

Trzeba wiedzieć, że samsonowska włość była kiedyś własnością książąt Zatorskich, którzy chociaż Polacy, należeli do Rzeszy Niemieckiej 1.

W rzeczywistości księstwo Zatorskie pozostawało do r. 1494 pod rządami czeskimi, następnie zostało włączone do Polski.

Jest podanie, że Wilibald, ostatni książę zatorski, miał tylko jedynaczkę córkę, którą był w dziesiątym roku jej życia zaręczył z siostrzeńcem cesarza rzymskiego, a to dla zachowania niepodległości swojego księstwa, które po wygaśnięciu linii męskiej jego domu miało być wedle prawa wcielone do Polski. Ten potężny i bezzależny książę

72

wystawił obronny zamek w Samsonowie, gdzie czasem przemieszkował. Był to człowiek zuchwały, okrutny, bez bojaźni Bożej i miłości dla ludzi. Owóż tedy jego jedynaczka w szesnastym roku życia swojego



pokochała się była z jednym młodym rycerzem polskim i dała się przez niego wykraść właśnie w tym dniu, kiedy siostrzan cesarza rzymskiego przybył do Zatoru, żeby ją pojąć za żonę. Łatwo można sobie wyobrazić gniew księcia i srom, jaki uczuł z zawodu uczynionemu potężnemu księciu, a tym sposobem zniszczenia wszelkich jego zamiarów. Opuścił Zator i osiadł, jak mówił, na zawsze w samsonowskim zamku. Tam oddawać się zdawał życiu pobożnemu, bo codziennie modlił się w swojej kaplicy i hojnie przyjmował pielgrzymów i zakonników, ale córce nie przebaczył i nikomu nie pozwalał o niej sobie mówić.

Tymczasem jego córce ciążyło przekleństwo ojca, udała się z mężem do biskupa krakowskiego, za którego indultem i wzięła ślub, prosząc go, by starał się jej wyjednać ojcowskie przebaczenie.

i n d u l t - w prawie kanonicznym zezwolenie władzy duchownej na odstąpienie od przepisu kościelnego w pewnych szczególnych wypadkach

Biskup udał się do Samsonowa i był przyjęty od księcia okazale i uprzejmie. Ośmielił się więc głosem pasterskim do niego przemówić, żeby dał się przebłagać w gniewie, co go czuje przeciwko córce. Książę dał się przekonać i oświadczył biskupowi, że jeżeli córka, zięć i proboszcz kielecki, który im dał ślub, przybędą razem do jego zamku, on ich przekona o uczuciach, jakie ma dla nich. Biskup ich sprowadził do Samsonowa, chcąc być świadkiem tego uroczystego pojednania się ojca z swoim dzieckiem. Wszystko się odbyło w jego przytomności, książę tak się pokazał dobrym, że biskup z sercem rozrzewnionym

pożegnał go kilkakrotnie powtarzając, że ten dzień poczytuje za najszczęśliwszy swojego pasterstwa.

Ale ledwo biskup wjechał w bór, który prowadzi do Samsonowa,

73

napadnięty został przez hufiec zbrojny, który nad jego pocztem zupełne zwycięstwo odniósł; wywleczono biskupa z kolasy, kilka cięć mu zadano i byłby rozsiekany, gdyby niespodziewanie Bóg dla jego ratunku nie był zesłał walecznego hrabi na Skałce, który z kilku rycerzami i służebnym orszakiem tędy właśnie udawał się do Tyńca na turnieje.

Hrabia wyrwał go z rąk oprawców, ich wszystkich zabrał, i biskupa, wpółumarłego, z uwięzionymi oprawcami przeprowadził do Krakowa.

Tam poznano, że ci nachodźcy należeli do dworu księcia Zatorskiego, i sami wyznali, że byli wyprawieni od niego, żeby zamordować biskupa i jego straż.

Biskup klątwę rzucił na księcia, a król kazał mu się stawić do Krakowa. Książę odpowiedział dumnie, że będąc udzielnym władcą innej jurysdykcji nie uznaje oprócz cesarza rzymskiego, że na żadne sądy królewskie ani biskupie nie stanie, że gotów jest gwałt gwałtem odeprzeć i że tuszy, że cesarz nie da zgnębić swojego wasala.

Byłby zapewne źle skończył książę, ile że śladu nie pozostało ani jego córki, ani jego zięcia, ani proboszcza kieleckiego, który był razem z nimi przyjechał. Domyślano się tylko, że ich wszystkich troje kazał zamordować. Jedno że wkrótce potem książę zmarł, zawsze w klątwie kościelnej, bez opatrzenia sakramentami, o które nawet nie prosił.

Mówiono, że umarł z bluźnierstwem w ustach i że jego ciało było czarne jak węgiel.

Po jego śmierci księstwo Zatorskie zostało przyłączone do Korony z częścią jego dóbr alodialnych<sup>1</sup>. Reszta była rozdana krewnym jego zięcia, którzy poszukali jego zabójstwa, nie mniej krewnym proboszcza kieleckiego. A włość samsonowską król dołączył do innych dóbr biskupstwa krakowskiego i całe to wydarzenie z czasem poszło w zapomnienie.

a l o d i a l n y - dziedziczny, rodowy, nieleenny

74

Podczas zarządzeń pana Pogorzelskiego księżę biskup objeżdżając swoje dobra zajechał do Samsonowa, gdzie kilka dni się zatrzymał, ja mu wraz z innymi dworzanami asystowałem. Księżę oświadczył chęć oglądania wewnątrz tego zamku, gdzie od kilku wieków noga ludzka nie postąpiła. Wieśniacy mówili, że w nocy coś tam straszy, że jakoby z wnętrza zamkowych dawały się słyszeć jęki, a czasem hałas nadzwyczajny. Pan Pogorzelski za pomocą kowaliw kazał pootwierać wszystkie drzwi zamku, a my do niego za księciem nazajutrz poszli.

Zamek, staroświeckim trybem murowany, wieki przetrwał w całości, ale w środku nietoperze, pajęczyny i proch tak wszystko były oszpecić, że wszystko zdawało się być w ruderach. Były jakieś ślady malowideł, jakieś sztukaterie w gładzie wryte, pająki wiszące, rozmaite sprzęty, ale wszystko w nim przerażało, my chodzili po ogromnych salach pogrążeni w jakimś niewypowiedzianym smutku; na księciu bi-

skupie to żadnego przykrego wrażenia nie zdawało się sprawiać, tak daleceż, że obszedłszy cały zamek powiedział panu Pogorzelskiemu: - Mości Panie, ten zamek jest piękny, z niego na całą okolicę widok się rozlega, trzeba go zrobić na nowo mieszkalnym. W Pan naprędce zajm jakies dla siebie pomieszkanie w tym zamku, żeby robota rychlej pod waści okiem się dopełniała, i jak najprędzej weź się do tego; w roku następnym, da Bóg doczekać, będziesz nas w nim przyjmował, bo ja kilka niedziel z moją czeladką w nim myślę przemieszkąć.

Zaraz po naszym wyjeździe pan Pogorzelski upatrzywszy po prawej części zamku pomieszkanie dość wygodne dla siebie i kancelarii ekonomicznej kazał ją oczyścić, piece poprzestawiać, szyby do okien wprawić i wkrótce tam się przeniósł, stosownie do rozkazów pańskich, i natychmiast wzięto się do restauracji całego zamku. Jeszcze to trzęsąc od piwnicy do strychu zamek znaleziono w suterrenach beczkę wina węgierskiego na obręczach żelaznych zawieszoną, ale wino nożem się krajało; tak że ledwo kilkanaście butelek czystego płynu otrzymano,

75

ale lagrem 1 książę całą piwnicę zaprawił.

lager (lagier) - osad tworzący się w beczce przy fermentacji wina

Pan Pogorzelski często bywał w Krakowie. Zawsześmy go znali rubasznym. Zauważyliśmy, że zaczął tetryczeć, aż na koniec wpadł w coś podobnego do czarnej melancholii. Przyszło do tego, że pojechał do księcia prosząc go o uwolnienie z obowiązków i o pozwolenie wrócenia do swojej Ukrainy. Zdziwiło to i zmartwiło księcia biskupa, który

miał anielskie serce i wielce się przywiązywał do swoich sług. - Cóż to, mój Pogorzelsiu - rzecze - czy masz u mnie krzywdę, że mnie chcesz opuścić? - Nie, Najjaśniejszy Książę, nigdzie mnie lepiej być nie może. Smaczny to chleb, łzami się zalewam opuszczając tak dobrego pana, ale nie mogę dłużej wytrzymać, tak jestem napastowany. - Od kogo, mój kochany? - Od kogo? a cóż, od złego ducha. - Opamiętaj się, Pogorzelsiu, co ci też do głowy przystąpiło? Musisz być chory. - Ja wiem, że za szalonego uchodzić będę, ale na rany Chrystusa się klnę, że tak jest i że odkąd zamieszkałem w tym utrapionym zamku, diabeł mnie pokoju nie daje. - I cóż on z tobą robi? - Co robi? Oto mnie ciągle powtarza, po każdej mojej czynności, te same słowa. I tak przebudzam się, zaczynam dzień od modlitwy, ledwo ja skończę, słyszę głośno wyrzeczone te wyrazy: - Panie Pogorzelski, WPan się modlisz, a ja gorę. - Ja się żegnam, a głos powtarza: - Panie Pogorzelski, WPan się żegnasz, a ja gorę; - każę zaprząć do wózka, a głos do mnie: - Panie Pogorzelski, WPan się wybierasz w pole, a ja gorę; - i tak, Książę Panie, cokolwiek bym robił, ciągle mi się diabeł odzywa: - Panie Pogorzelski, ja gorę. - A to wynieś się z zamku do swojego dawnego pomieszkania. - Ale! będę zaczepiwszy, niełatwo od niej się odczepisz. Ja z zamku, czy w pole, czy do Krakowa, a głos czarta za mną. Dziś jeszcze, kiedy kazałem się pakować do Krakowa, a stamtąd na Ukrainę, słyszę ten

sam głos: - Panie Pogorzelski, WPan się wybierasz na Ukrainę, żeby się mnie pozbyć, nie będzie nic z tego. WPan się pakujesz, a ja gorę. -

Powiedzże mnie, mój Pogorzelsiu, czy kto inny oprócz Waści ten głos usłyszał? - Otóż to kęs za twardy dla mnie, że inni go słyszeli, bo żeby ja tylko jeden go słyszał, miałbym siebie za chorego i na tym koniec, ale oto przed kilku dniami w nocy tak mnie głowa zaczęła boleć, że obudziłem służącego, jak ja Rusina, i kazałem mu podać sobie herbaty z szafranem; on poszedł, sprawił się dość prędko i podaje mi na tacy imbryk z kipiátkiem i filiżankę, ja rękę wyciągam do herbaty, aż tu głos odzywa się: - Panie Pogorzelski, WPan chcesz pić herbatę, a ja gorę; - mój Chwedko tacę z przyborem puścił z rąk na moje łóżko, że mnie oparzył, a sam uciekł gwałtu krzycząc.

Jak mnie tu państwo widzicie, byłem z innymi przytomny tej rozmowie.

- To jest rzecz nadzwyczajna - odezwał się książę - ale na nic ci się nie przyda mnie opuścić, bo sam mówisz, że głos za tobą rusza, powędruje on z tobą i do Ukrainy. - Mam nadzieję, że Najświętsza Panna Berdyczowska mnie od niego wybawi. - Mój Pogorzelsiu, Najświętsza Panna tak u nas, jak i w Berdyczowie króluje, wszakże i nam Chrystus Pan dał moc złe duchy odganiać. Jedźże nazad do Samsonowa, a ja jutro do Waści przybywam, *pontificaliter* i wystąpię ze mszą w zamku przy moim podróжным ołtarzu, wszystko mnie Waść przygotujesz z moim kapelanem.

p o n t i f i c a l i t e r (łac.) - pontyfikalnie;

m s z a p o n t y f i k a l n a - msza odprawiana przez biskupa w asyście kleru

Nazajutrz pojechaliśmy za księciem biskupem do Samsonowa.

Książę zajechał do dworku, bo zamek jeszcze nie był w pogotowiu, a tylko w nim mularze, stolarze i zduni pracowali. A pan Pogorzelski zawsze w swojej izbie rozprawiał się z głosem. Książę przemocowawszy, raniuteńko kazał siebie zawieść do zamku, gdzie my

77

wszyscy na niego już czekali. Naprędce wzniesiono ołtarz porządny w sali już oczyszczonej, gdzie niemało narodu już było się zebrało. My na progu za panem Pogorzelskim przyjmowali księcia. I kiedyśmy go przeprowadzali do sali, w której miał święte tajemnice odprawiać, przechodząc usłyszeliśmy wszyscy głos: - Panie Pogorzelski, WPan na mnie biskupa naprowadzasz, a ja gorę. - To trochę księcia biskupa zmieszało, wszakże kilka chwil tylko zatrzymawszy się poszedł dalej. Uważaliśmy, że długo się modlił przede mszą, widać, że chciał pobudzić w sobie intencję, i wtedy, że tak powiem, jego twarz zdawała się rozjaśniać jakimś dziwnym blaskiem świętobliwości; po czym *pontificaliter* miał mszę śpiewaną, a kler z nim przybyły, dworzanie i lud samsonowski odpowiadali. Pan Pogorzelski krzyżem leżąc mszy świętej słuchał. Po mszy książę biskup, zawsze przy ołtarzu, oparł się na pastorałe, a wzięwszy krzyż w rękę, odezwał się na cały głos: - Wszelki duch Boga chwali! - I my go chwalimy - odezwali się wszyscy. Wtem, nie wiedzieć skąd, pojedynczy głos daje się słyszeć: - Panie Pogorzelski, wy go chwalicie, a ja gorę.

Miarkujcie, moi państwo, jak my się wszyscy postraszyli, chociaż to nie była noc, ale najwidniejszy poranek.

Książę biskup wziął się do egzorcyzmów. Jeszcze dziś żyją w Samsonowie wieśniacy, którzy to pamiętają, można ich zapytać, czy to, co mówię, jest kłamstwem. Książę po skończonym egzorcyzmie odezwał się: - Duchu stworzony od Boga, w imię tego Boga, który się wcielił w łonie Dziewicy, a od którego otrzymałem pasterstwo tej trzody, przykazuję tobie, żebyś powiedział, kim jesteś i jaki mogę ci dać ratunek. - Na to przeraźliwy głos dał się słyszeć: - Dla mnie już nie ma ratunku, byłem księciem na Zatorzu i stałem się sprawcą śmierci córki, zięcia i kapłana, który im ślub dał; odkąd noga ludzka weszła do tego zamku, pokoju nie dam temu, co tym zamkiem zarządzać będzie, póki ciała

78

moich ofiar nie pogrzebią na świętym miejscu. - Gdzież są te ciała? -

W tym zamku, sprowadź architekta swojego, on je wynajdzie.

Sprowadzono z Krakowa natychmiast Bojanowskiego, nadwornego architekta księcia. Ten jak zaczął rozmierzać zamek, natrafił na podwójną ścianę, ją kazał wyłamać, rzeczywiście wąska izdebka się pokazała, w niej znaleziono trzy samokosty, dwa męskie, jeden niewieści. Widać, że książę kazał ich żywcem zamurować i że z głodu musieli umrzeć.

Książę biskup sprawił im pyszny pogrzeb, ufundował kaplicę piękną strukturą, którą dotąd widzieć możecie w Samsonowie, i zostawił fundusz na kapelana, który odmawia po trzy msze na tydzień za spoczynek dusz ich trojga. I od czasu tego pogrzebu już pan Pogorzelski przestał być nagabywany od głosu.



Josef Korzeniowski

# NARAZNA KAMIENICA

---

Było to przy końcu października 185... r. Zmęczony próżnym myśleniem i szukaniem bajki, która przyjść nie chciała, wyszedłem raz wieczorem na ulicę. Już było ciemno, deszczyk drobny prószył z wolna i przez jakąś mgłę wilgotną przebijały się światła rewerberów 1, które tylko co pozapalano.

r e w e r b e r - lusterko przy lampie, zwykle metalowe, odbijające światło; latarnia uliczna z takim lusterkiem

W wielu oknach było jeszcze ciemno; gdzieniegdzie tylko pierwsze pownoszono świece, a tu i ówdzie widać było cienie malujące się na szybach, które wraz ze światłem, przenoszonym z pokoju do pokoju, znikwały. Na ulicy niewiele było ludzi, a kto szedł, szedł szybko, uciekając przed deszczem i ochraniając kapelusz parasolem, o który nieraz potrafiłem głową, gdyż zwyczajem warszawskim nikt go nie podnosił spotykając się z tymi, co mieli równe prawo do trotuaru. Tak przeszedłem przez Krakowskie Przedmieście, przez ulicę Miodową i Długą, i zwróciwszy się ku Bielańskiej, wracałem do domu, nie znalazłszy naturalnie, czegom szukał, próżno bowiem męczyć głowę, kiedy ona produkować nie chce i odpoczynku potrzebuje. W ciągu tego spaceru nic mnie nie uderzyło, co by warto było zanotować. W jednej tylko narożnej

kamienicy widziałem wszystkie okna oświecone. Na dole był pełny sklep ludzi, z drugiej strony szynk, skąd wychodziły śpiewy i krzyki. Pierwsze piętro jaśniało od ognia lamp i kinkietów, a w oknach migotały postrojone główki pańienek i fryzowane głowy aplikantów; na drugim piętrze także było jasno, ale przy oknie stała jakaś postać niewieścia w czarnym, ile dojrzeć mogłem, ubraniu, trzymająca chustkę przy oczach, zapewne płaczących. W okienkach znowu wyglądających z dachu, a także jasnych, widziałem kobiece głowy nachylone i ręce ich podnoszące się regularnie, zapewne z igłą, która je żywiła. Postąłem tam chwilę, popatrzyłem, pomyślałem, że tak wszędzie układa się życie warstwami: tu zabiegi, tam bezmyślne trwonienie czasu, dalej radość, dalej smutek i płacz, a nade wszystkim górująca praca i troska o chleb powszedni. Wszakże myśli te znikły prędko z mej głowy, gdym się oddalił od domu, który je nasunął; a gdym wrócił do swego mieszkania, zyskałem tylko od troskliwej o zdrowie mojej rodziny połajanie za niepotrzebne wieczorne włóczęgi i wskutek wilgoci i deszczu silny paroksyzm kaszlu, który mnie z półtorej godziny przemęczył.

Nie mogąc niczym złagodzić cierpienia, na które medycyna nie umie wynaleźć środka i dlatego nie nazywa go chorobą, jak tonący, który się chwyta brzytwy, zażyłem kilka kropel laudanum 1, które znalazło się pod ręką.

# **I a u d a n u m - o p i u m**

Środek ten ujmował nieraz moje paroksyzmy; ale że ten ostatni był silniejszy od innych, że mi się ręka trzęsła i oczy zachodziły cieniem od gwałtownego wstrząśnienia. musiałem przesadzić dozę i zażyć trochę więcej, niż należało. I teraz wprawdzie paroksyzm ustąpił, ale głowa ciężać zaczęła i oczy skłaniały się niby do snu, niby do jakiegoś marzenia, które nie było przykrością. Usiadłem więc w fotelu, oparłem głowę na poduszce, a przymknąwszy oczy i nie mogąc kierować

81

myślami, które się tłumnie i bez porządku naciskały, pozwoliłem im bujać samopas.

Marzyłem więc i w tym stanie pół snu, pół czuwania zdało mi się, że szedł ulicą jakąś szeroką i długą, niby w Warszawie, niby gdzie indziej, bo miasto zdało mi się jakieś większe, domy wyższe i ludzie ja- cyś nie tacy, jak u nas. Choć tłum był wielki, mgła gęsta i deszczyk padał, przechodziłem szybko i łatwo, nie znajdując żadnej zawady.

Kobiety były nie takie szerokie i nie kaleczyły mi nóg żelazami swych spódnic, młodzi ustępowali z drogi kobietom i ludziom starszym od siebie wiekiem, każdy podnosił parasol nad głowę tego, z którym się spotykał, żołnierze nie dawali w bok szturchańców przechodzącym, a studenci nie szli wzięwszy się pod rękę we trzech lub we czterech i nie spychali w rynsztoki ludzi sędziwych i poważnych. Tak przeszedłszy jedną ulicę i drugą znalazłem się na jakimś wielkim placu, niepodobnym do żadnego, jakie tu mamy w Warsza-

wie, a jednak przypominającym wszystkie, jak gdyby z każde-  
go z nich wzięta była jakaś część, jakiś dom, jakiś pomnik, jakaś latar-  
nia i wszystko to zestawione było razem. Tam postrzegłem przed  
jedną narożną kamienicą znaczną gromadkę ludzi zbitych w kupkę i  
gapiących się na jej okna, które wszystkie były oświetlone. Za-  
trzymałem się więc i ja i podniosłem oczy na przedmiot, na któ-  
ry wszyscy patrzyli. Kamienica była o kilku piętrach, a okna jej, wy-  
chodzące na plac i na ulicę, która z niego ciągnęła się głęboko, tak że  
końca jej nie można było dojrzeć, coraz inne przedstawiały sceny.  
Widać, że to, co mnie na chwilę zastanowiło w prawdziwym moim  
wieczornym spacerze, przypomniało się i w marzeniu i splątało się  
dziwacznie z innymi obrazami, których wtedy nie widziałem. Zdało  
mi się więc, że na dole rozwijano i składano w sklepie oświeco-  
nym jakieś materiały, że do tego sklepu cisnęły się postrojone pa-  
nie, a mężczyźni jacyś zdesperowani i z dziurami na łokciach, za-  
pewne mężowie tych pań, ciągnęli je za poły, ale odciągnąć nie mogli;

82

że w winiarni, która była obok, znajdowało się kilkunastu młodych  
ludzi trzymających w jednej ręce to nuty, to smyczek, to pędzel, to  
pióro, a w drugiej pełny puchar, który podnosili w górę wykrzykując  
jakieś hymny pochwalne jeden drugiemu, których zrozumieć nie mo-  
głem; że z okien pierwszego piętra biła muzyka, a w jednych jaśniały  
postrojone głowy i rumiane twarze panien uśmiechające się do kawa-  
lerów trzymających w ręku jakieś ozdoby błyszczące jak brylanty, w

innych zaś widać było starców z wyraźnym piętnem orientalnym lub ozdobionych gwiazdami, do których cisnęły się starsze już, a równie piękne kobiety i nęciły ich wejrzeniem i uśmiechem; na wyższym piętrze taka sama kobieta w żałobie, jaką widziałem naprawdę w przechadzce mojej, stała w oknie, ale nie płakała, tylko szeptała coś ze stojącym obok niej młodzieńcem, który z uśmiechem ukazywał na kilku mężczyzn stojących w drugim oknie, naradzających się z sobą, i między którymi zdawało się widzieć twarz znajomego mi lekarza; na ostatnim piętrze postrzegłem w jednym oknie jakiegoś młodzieńca z najeżoną czupryną, który trzymał w ręku pistolet, a w innym mdlejącą dziewczynę, którą inne widać ratowały; w trzecim zaś jakąś piękną główkę nachyloną nad robotą i rękę podnoszącą się z igłą.

Gdym się przypatrywał tym scenom codziennego życia i nawet w marzeniu przypominał sobie, że już to wszystko gdzieś widział, potrącił mnie z lekka łokciem jakiś stojący obok mnie mężczyzna. Dotknięcie to, chociaż nie mocne, tak mnie jednak uderzyło, jak uderza silny prąd galwaniczny<sup>1</sup>, że się wstrząsł cały i podniósł głowę na tego, który mi taki ból sprawił. Był to słuszny jakiś elegant w kapeluszu nasuniętym na oczy tak, że widać tylko było połyskujące okulary. Twarz jego powyżej nosa zasłaniała podniesiona poła czarnego obszernego płaszcza, którą trzymał chudą ręką w żółtych rękawiczkach, p r ą d g a l w a n i c z n y - dawna nazwa prądu elektrycznego

którą można było widzieć, jak to: kapelusz, rękawiczki, płaszcz i buty, była nowiuteńka, czysta, jaśniała materią i odznaczała się elegancją formy.

Widząc, że okulary jego zwrócone ku mnie, ale mnie nie przeprosza za to, że mnie trącił, rzekłem:

- Czego pan żądasz?

- Chcesz pan obaczyć bliżej to wszystko, co nas uderza z daleka, to chodź za mną - odpowiedział jakimś dziwnym głosem, na który zadrżałem, i nie czekając odpowiedzi poszedł naprzód. Nie mogłem sobie zdać sprawy, dlaczego mnie głos ten tak przeniknął, i nie mogłem oprzeć się jakiejś tajemnej sile, która mnie za nim popchnęła. Postąpiłem więc i razem weszliśmy do magazynu, który był przed nami. Zajęcie tam było wielkie. Kobiety targowały się, perswadowały, prosiły niemal ze łzami w oczach. Kupczyki widząc, że im się bardzo chce, nie ustępowali, a duch pokusy siedział na kantorze i śmiał się z tych pań, które by były wówczas poświęciły wszystko, byle otrzymać cel. swego zachcenia. Myśmy stali niedaleko ode drzwi i nikt na nas nie zwracał uwagi. W parę minut po naszym wejściu jedna z tych pań, która okazywała największy zapał do jakiejś modnej materii i roiła sobie za pewne, jak w niej będzie wyglądać, spojrzawszy może przypadkiem ku nam, chwyciła się za głowę, potem położyła rękę na sercu i krzyknawszy: - słabo mi! - usiadła na krześle, które obok niej stało.

- Chodźmy - rzekł wówczas do mnie mój towarzysz. A gdym nie zaraz go usłuchał, wziął mnie za rękę chudymi i twardymi jak szczypce

palcami. Ja wtedy uczułem znowu takie samo bolesne wstrząśnienie i nie mogąc być nieposłusznym jego woli, pomknąłem się za nim.

Towarzysz mój dotknął drzwi winiarni, które się cicho otwarły. Weszliśmy i gdy nikt nie dostrzegł nas, może dla zajęcia, jakie wszystkich ogarnęło, stanęliśmy spokojnie i patrzyli z boku. Młodzi ci ludzie,

84

którzy napełniali pokój, a zdawali się być pełni siły i zdolności, byli już wszyscy pijani. Nuty, smyczki, pędzle, farby, papiery, pióra, rękopisma i książki leżały na stole między butelkami i kuflami. Oni siedzieli wokoło z najeżonymi włosami, bez chustek na szyi, w pomiętym i polanym winem odzieniu, z zapalonym okiem i płonąca twarzą. Gwar był wielki, każdy gadał i wykrzykiwał, każdy trzymał w ręku pełen kufel i potraçał się nim z drugim. Wśród tej wrzawy i śmiechów, i brzęku szklanek rozróżnić tylko można było te wyrazy: - Za twoje zdrowie, Meyerbeerze, do ciebie, Paganini, *vivat* Vernet! pij, Caíame, niech żyje Goethe! - Niech żyje! - powtórzyli wszyscy, - Kiep, kto nie wypije za zdrowie wieszczą wieszczów! - I wszyscy oprócz jednego wychylili kufle, które usługne dziewczęta napełniały znowu. - Czemu nam wieszcz nasz nie dziękuje? - wołało kilku. - Kto tu jest wieszcz nad wieszczami? - krzyknęli wszyscy. - Wtedy wstał jeden młody człowiek, blady, z rozrzuconym włosom, w dziurawym i wytartym surduciku, i ukłoniwszy się, rzekł: - Dziękuję wam, bracia w Apollinie! pieszczochy chwały! dzieci sztuk i poezji! Ten którego wywołujecie, jestem ja. Wyznaniu waszemu odpowiem. Przed blaskiem chwały, jaką się okryję,

zbledną wszystkie reputacje. Na stu tomach wypiszę moje imię  
wprzód, nim połysieje moje czoło, nim posiwieją włosy. - *Vivat Ge-*  
*nius*, niech żyje! - wołali wszyscy wychylając kufle, a Geniusz pod-  
niósł go także do ust, wychylił, ale wychylając, spojrzał ku nam i za-  
trzymał się. Postrzegłem wtedy, że okulary mojego towarzysza wyte-  
żone były na twarz młodego człowieka, który jeszcze gorzej pobladł i  
który wkrótce postawił nie dopity kufel, patrzył ku nam obłąkaną źre-  
nicą, a wyciągając ręce i zawołał: - Widzę cię, widzę, za wcześnieś  
przyszła, precz, potworo! - upadł na krzesło. Gdy się pochylił i za-  
mknął oczy, a piana z ust jego wystąpiła, śmiech ogólny powstał w  
całej kompanii. - Spił się Geniusz - wołano - wieszcz nad wieszczami

85

nie dotrzymał placu!

Zadrzałem na ten widok, wstręt i żal przejmował mnie na tę myśl,  
że się tu marnuje tyle sił i zdolności. Wtedy towarzysz mój zawołał:

- Chodź pan dalej.

W tonie jego było coś tak rozkazującego, żem się w ten moment  
odwrócił od tej sceny, co mnie tak mocno zaboląła, i wyszedł za nim.  
Poszliśmy na pierwsze piętro. Tam służba się uwijała, ale nikt nas nie  
zatrzymał. Drzwi od salonów były otwarte. Weszliśmy więc, gdzie  
grzmiała muzyka, gdzie strojne pary uwijały się wokoło, gdzie gwar  
rozmów i śmiech nagradzający koncepta dowcipnisiów, którzy bawili  
grupy pań siedzących na kanapach i gromadki mężczyzn, którzy  
wzrokiem ciekawym ścigali najpiękniejsze kobiety, coraz bardziej się



wzmagał. Zastanowiło mnie to niezmiernie, że nikt na nas nie zważał, że nikogo to nie uderzyło, że towarzysz mój był w płaszczu i w kapeluszu, którego nie zdjął. Stanęliśmy w głównym salonie. Obok nas było dwóch młodych mężczyzn. Jeden z nich, z okiem zaiskrzonym od gniewu, chwycił kolegę za rękę i rzekł do niego:

- Patrz, patrz, jak ona go słucha, jak słodko na niego patrzy. Przed miesiącem mówiła mi, że bogactwa i honory są dla niej szychem, którego blask jej nie zwodzi. Myślałem, że mnie kocha, marzyłem raj na ziemi z tą cudną istotą, której każdy ruch jest wdziękiem, każde słowo muzyką. Tymczasem zdarzył się starzec z tytułem i milionem i odwróciła się ode mnie, który mam tylko serce i głowę. I patrz, ona mu podaje rękę, twarz jej jaśnieje tymi nadziejami przepychu, znaczenia, zbytków, strojów i uczt, gdzie będzie mogła jaśnieć obsypana brylantami i nazywana księżną. Ona mu przyrzeka! - zawołał ściskając mocno rękę kolegi.

Słyszając to, zwróciłem oczy ku tej parze, o której młody człowiek mówił. W rzeczy samej, zdawało się, że to było oświadczenie nie-młodego już mężczyzny, na którego głowie jaśniały siwe włosy, a na

86

piersiach gwiazda, pannie prześlicznej, która słuchała go z zajęciem, z uśmiechem i której twarz piękniała jak kwiat pod rosą, co go ożywia.

Kiwnęła mu wreszcie główką i podała rękę; a gdy stary przycisnął dłoń jej do serca, ona - zawstydzona niby - odwróciła się. Może w tej chwili oko jej szukało młodego człowieka, który stał obok nas, ale padło na

mojego towarzysza. I nagle zbladła jej twarz rumiana, opuściły się ręce i owa istota pełna nadziei i życia, rojąca długi szereg powodzeń i szczęścia, pochyliła się jak lilia podcięta i skłoniła się na ręce tych, co obok niej stali. I znowu w tej samej chwili usłyszałem głos tak mi dobrze znany i tak przemożny:

- Chodź pan dalej.

A chociaż chciałbym był zostać, by dowiedzieć się, co się stanie, lekając się jednak być nieposłusznym, szybko tylko spojrzałem na zwieszoną główkę panny i unosząc w uszach przeraźliwy krzyk młodego człowieka, który mimo jej zdrady przeraził się jej upadkiem, wyszedłem za moim towarzyszem, który już był w sieni i zwrócił się ku schodom na drugie piętro.

Tam było cicho. W kącie tylko blisko drzwi wchodowych stały dwie służki i płakały.

- Taki dobry pan - mówiła jedna.

- Co będzie z dziećmi - dodała druga - ona pewnie za mąż pójdzie, bo jej tylko umizgi w głowie. A pan Walery już tam jest i oboje czekają tylko, aż stary zamknie oczy.

Drzwi przed nami otwarły się same; weszliśmy, zbliżyli się do tego pokoju, gdzie leżał chory, a nikt na to nie zwrócił uwagi, jak gdyby nas nie widziano. Stanęliśmy tak, że mogłem słyszeć rozmowę pani stojącej przy jednym oknie z młodzieńcem, który w rzeczy samej wyglądał śmierci jej męża. Przy drugim oknie było dwóch lekarzy naradzających się, a trzeci stał przy łóżku, jedną ręką trzymał za puls chorego,

a w drugiej miał zegarek, na którym liczył jego uderzenia.

87

- Bóg ulitował się nade mną i zesłał na niego tę chorobę - rzekł

młody człowiek ściskając nieznacznie jej rękę.

- Nie mów tak - odpowiedziała żona wzdrygnąwszy się na te słowa

i patrząc w oczy młodziana - i bo to myśl grzeszna. Ja drżę cała i sama

nie wiem, czego życzyć, czego pragnąć.

- Chyba że mnie nie kochasz, jak mówiłaś - rzekł młodzian nachy-

lając twarz swoją do jej twarzy. - Ale nie bój się, oni go nie wyleczą i

będziesz wreszcie moją.

W tej samej chwili lekarz, który stał przy łóżku, zawołał głośniejszym do

kolegów:

- Puls się podnosi, ręka się ogrzewa.

- Dobry znak - odpowiedzieli obaj i ruszyli się z miejsca, aby się

zbliżyć do łóżka. Pani także, uderzona tymi słowami, odwróciła się od

młodego człowieka. Ale oczy jej trafiły na okulary mojego towarzysza.

Wrażenie było stanowcze i straszne. Jęknęła głęboko, chwyciła się

obiema rękami za głowę i zawołała:

- Ach! to ja umrę! - upadła przy nogach kochanka.

Jeden z lekarzy przystąpił do niej, wziął ją za puls i odwracając się

do kolegów, rzekł:

- Umarła.

Poruszyli się lekarze, odstąpili chorego, a mój dziwny towarzysz,

przysunąwszy się do mnie, zawołał:

- Chodź pan.

Wtedy ja drżąc cały, przerażony tym, com dotąd widział i słyszał, wybiegłem do sieni i zacząłem uciekać. Ale nim zbiegłem z drugiego piętra, już ten człowiek, którego sam widok zaczął mnie przejmować strachem, a którego dotknięcia bałem się jak uderzenia piorunu, był przy mnie.

- Nie chcesz pan iść dalej - rzekł zastępując mi drogę.

- Nie chcę - odrzekłem cofając się - i nie pójdę. Nie wiem, kto pan jesteś, ale zbliżenie pana boli mnie.

88

- Nie bój się pan jeszcze - odpowiedział śmiejąc się tak jakoś dziwnie, że krew we mnie zakrzepła - zresztą widziałeś dosyć, możemy wrócić.

Tak mówiąc przyszedliśmy na pierwsze piętro. Tam już było pusto i ciemno. Ani śladu gości i balu. A gdy się otwarły drzwi tak hucznych przed chwilą salonów, a z nich wyszedł ksiądz i lekarz, rzekł pierwszy do drugiego:

- Przyszedłem już za późno. Atak nie trwał, jak kilka minut i już było po niej.

Kapłan pokiwał głową, a my poszliśmy dalej. W winiarni paliła się tylko jedna świeca. Z owych bujnych i wesołych gości, którzy ją niedawno napełniali okrzykami wiwatów, nie było żadnego. Tylko wieszcz nad wieszczami, co miał sto tomów napisać, leżał bez życia na ziemi, a przy nim stał lekarz i urzędnik policyjny, którego zaraz widać

wezwał zatrwożony gospodarz. W sklepie także pustym, gdzie jedna tylko lampa dogorywała, dojrzałem tylko ową panią z przewieszoną przez poręcz krzesła głową, z bladą twarzą i zakrzepłym ciałem, a przy niej klęczał jakiś jegomość z dziurami na łokciach, całował jej zimne ręce i płakał. Wszystko to dało mi taki zawrót głowy, że sam nie wiedział, gdzie jestem. Chwiejąc się wyszedłem na plac; tam nie było już żywej duszy, mgła tylko gęściej przylegała do ziemi, deszczyk drobny siał makiem, a rewerber, który stał obok, połyskiwał jakimś mdlejącym światelkiem, jak gdyby wkrótce miał zgasnąć. Gdym się obejrzał wokoło zatrwożony, myśląc, którędy trafić do domu, obaczyłem znowu przy sobie mego towarzysza. Okulary jego przerażały mnie, a on, odchylając cokolwiek płaszcz, rzekł:

- Idź pan teraz spać; do pana przyjdę później.

- Któż pan jesteś? - zawołałem z drzeniem.

- Czyż pan tego nie widzisz - odpowiedział szyderczo - że jestem metr tańca, do którego zapraszam ludzi wtedy, kiedy sobie tego najmniej życzą i kiedy o mnie najmniej myślą. Nie rób pan tak jak oni, a przyjdę wtedy, jak będziesz gotów. Dobranoc panu!

89

I odrzucił płaszcz, i przesłał mi ręką w żółtej rękawiczce pocałowanie od ust, a raczej od zębów wyszczerzonych i dziwacznie śmiejących się. Wówczas rewerber błysnął mocniej, a ja postrzegłem, że postać ta bez ciała miała tylko kości odziane eleganckim, ale obwisłym odzieniem, a pod kapeluszem była trupia głowa w okularach, przez

które przeraźliwe migąło światełko.

Wtedy ocknąłem się cały drżący i zimnym potem oblany; a przyszedłszy cokolwiek do siebie i widząc obok stojącą żonę, która mnie nakłaniała, żebym się położył, usłuchałem jej milcząc i zmówiwszy pacierz myślałem długo nad tym, co by mogło znaczyć to osobliwe widzenie. Ale nie mogąc z niego wydobyć żadnego sensu, dałem pokój i zasnąłem. Nazajutrz już to mnie nie zajmowało wcale. Wszakże gdy wyszedłem na spacer i obaczył dom tak położony jak ten, który widziałem w marzeniu, przyszedł mi na myśl przestraszony, jakiegom wówczas doznał. Wrażenie to powtarzało się wielokrotnie i tak się we mnie ugruntowało, że odtąd wiele razy widzę narożną kamienicę, przypominam sobie owego metra w okularach i żółtych rękawiczkach i badam siebie, czy już gotów do tańca, do którego mnie lada dzień wezwać może.

*Józef Dzieńkowski*

**LEKARZ MAGNETYCZNY**

---

Byłem młodym, starym i teraz nie jestem, jeżeli wierzyć metryce i twarzy; ale sercem stary, doświadczony, zgrzybiały. Burzą przeleciały wszystkie pory życia mego; ni kwiatów letnich, ni owoców jesieni; jednym skokiem z wiosny do zimy przeskoczyłem. Pączki mej wiosny, nadzieje mej młodości, burzą poparzone, przedwczesnym szronem

ścięte, opadły pączkami!... Wtenczas byłem młody! a młody to poeta!... bo jego myśli są poezją; marzenia to są śpiewy góralskie tęskne, poezje przecucia!... żądze to gorące barkarole płomieniem Wezuwiusza tchnące! pierwsza miłość to śpiew gitary hiszpańskiej, pieszczony i płomienisty!... a chęci szerokie jak świat, za krańce ziemi lecące, w niebo wskakujące, to pienia Luizjady<sup>1</sup>, oceanowe pieśni Kolumba, szumiące po przedpotopowych borach!... a życie młode to wielki dramat odegrany przez wszystkie uczucia i namiętności.

L u i z j a d y - wyspy w pobliżu Nowej Gwinei

Byłem młody i po raz pierwszy wyjechałem wolny z miasta, gdzie się chowałem od dzieciństwa przy surowym opiekunie; jechałem zaś o mil kilkadziesiąt do matki, którą małym dzieckiem opuściłem. Byłem wtenczas szczęśliwy, wolną piersią oddychałem po szerokich Wołynia polach; zachwycały mnie okolice, jakkolwiek jednostajne, ale zaczarowane tchnieniem wiosny, ubarwione pędzlem młodej wyobraźni; łzami tkliwej radości zwilżane oczy wytężałem, by prędzej

91

ujrzeć miejsce mego urodzenia, miejsca zabaw dziecinnych; i w myśli mojej zatańcowały czarodziejskim ruchem wszystkie minione obrazki.

Już się zbliżałem, poznałem okolice poważne i posępne; stepy leśne, Polesie! już mnie mila jedna tylko dzieliła, już ostatni lasek przejeżdżałem; niewymowne uczucia tłoczyły się do serca, łzą i westchnieniem ulatywały w pogodne niebo!... Witałem was, dęby rozłożyste,

sosny niebotyczne, brzozy wysmukłe, jak braci, jak towarzyszków dziecinnych. Już się las rozrzedził, a krzaczki, dzieci, które ja, dziecko, żegnałem przed laty, dorosłymi drzewami witają wracającego młodzieńca; pierwsza to odmiana, pierwsze zadziwienia, pierwsza myśl cięższa!... O, drzewka młode mojej ziemi rodzinnej, wy o męskiej sile, szerokimi konary witać będziecie przyszłe pokolenia!... a jaż, latorośl waszej ziemi, nigdy już do was nie powrócę?...

Minąłem lasek; już widzę wioskę, z dala dom się bieli, krzyż rodzinnej kaplicy błyszczy; rzucam okiem wkoło, szukam, truchleję... i nie znalazłem!...

Kiedy małym jeszcze byłem, dzieckiem, jedynak, sierota po ojcu, ulubieniec matki, jako błagalne za mnie wotum wzniesiono na tej samej drodze, która miała być drogą w świat dla mnie, drewniany krzyż z Panem Jezusem. Choć byłem małym chłopcem, pamiętam, jakby to dzisiaj było: niesiony na rękę, wśród procesji chłopków ze wsi, przy brzmieniu dzwonów cerkiewnych i pobożnego śpiewu księży, widziałem, jak kilkudziesięciu rękami pociągniony wzniosł się pomału krzyż pomalowany jaskrawo z bladą twarzą Zbawiciela; wesołym okrzykiem powitano stojącą już figurę; ze łzami w oczach patrzyła matka na te pobożne wotum miłości macierzyńskiej; rozplakałem się płaczem dziecka! Starszy nieco, chodziłem tam z matką, sadiłem kwiaty i

krzewy, modliłem się, nauk matki słuchałem. Matka poszła za męża; nowy mąż, nowe dzieci, nowe obowiązki... wywieziono mnie na wy-



chowanie do bogatego i mądrego stryja... długo, długo modliłem się wówczas przy figurze; przecuciową żalnością przejęty, zegnałem się z tym przyjacielem dziecinny, z krzyżem, który nieruchomymi ramionami zdawał się wskazywać miejsce, skąd wyjeżdżałem, i miejsce, dokąd jechałem...

Gdzie figura moja?... darmo szukam, pole tylko zorane świeżym zieleni się zbożem; ledwie poznał miejsce po bujniejszym zbożu. Zatrzymałem się na tym miejscu; rozmaite myśli przebiegały przez głowę, to w dziecinne wracałem lata i dziecinnymi płakałem łzami za figurą, zakładem szczęścia mego; to znowu z suchym okiem marzyłem o przyszłości, choć pierwszy smutek zabołał w sercu. Była to pierwsza proza w poezji życia mego, pierwszy akord fałszywy w harmonii uczuć moich, pierwsza chmura na wiośniwym niebie. Wstałem starszy o jedno doświadczenie, którym zapełniłem przestrzeń między obrazem wystawionej figury dla ulubionego jedynaka a terażniejszością tak różną... syn dawno zapomnianego męża, niemiły współdziedzic lubych dzieciaków dzisiejszych, gdzieś daleko wychowany, chronologicznym lat porządkiem byłem od serca matki oddalony.

Bogatszy o jeden »smutek, uboższy o jedną wiarę, przestąpiłem święte progi rodzinne. Uczucie wielkie, jedyne!... raz cię tylko doznałem, bom raz był młody, raz czułem się po młodemu; przestępywałem starszy te same drzwi; drzwiami mi już tylko były, a pierwej bramą świątyni. O, czemuż tak łatwo niktą młode uczucia, tępieje serce? Lata moje, myśli, uczucia i marzenia, gdzie jesteście?... Próżny żal!... Teraz zimny

czytam, sylabizuję własne dzieje, sercem starym ledwie zrozumieć  
mogę młode serce; stępałym okiem ledwo doścignąć potrafię nadpo-  
wietrzne szlaki lata młodego; a jeżeli kiedy nuta młoda, harmonijna  
przedrze się echem do zdziwionego ucha, zadrzę jakby na odgłos mu-  
zyki pogrzebowej, zapłaczę jakby nad trumną.

93

Przywitałem, obiegłem wszystkie kąty, wesoły, bo młody; co dzień  
jednakże wracałem na miejsce mojej figury, która burzą zwałona  
dawno z płomieniem i dymem uleciała. Żalem przejęty stałem między  
figurą, którą przeżyłem, a owymi drzewkami, które mnie kiedyś prze-  
żyją. Szczere to wyobrażenie człowieka, który zawsze stoi między  
cmentarzem swojego rówieśniczego pokolenia a kolebką pokoleń  
przyszłych. Tam na pustym miejscu nauczyłem się marzyć bez celu.

II

W pogodny wieczór czerwcowy, cichy i spokojny, schodziłem pie-  
chotą ze sporej dosyć góry; powóz czekał na mnie w dole. Jechałem  
dotąd okolicą górzystą i leśną, gdzie mnie góry, jakby głowy olbrzymie  
włosami lasów porośłe, jednostajnością swych rysów znudziły; czasem  
tylko błękitne zwierciadło stawku lub zielona wstążka strumyka roz-  
weselały to piętno surowości i smutku, jaki oznacza zawsze okolice  
górzyste lasami zamknięte...

Stanałem zdziwiony!... Droga, którą stapałem, z wolna szła krętym  
i spadzistym wąwozem, który dzielił dwie ciemne góry bliźnięce; nagle  
na zakręcie z ciasnego wąwozu gardła postrzegłem jak przez rurkę

perspektywy okolicę płaską, jakby ogród angielski, klombami gajów i wiosek zasadzony, przerźnięty szeroką rzeką, której fale tchem wieczora połuszczone z jednej strony zachodzące słońce czerwieniło, a z drugiej wschodzące srebrzyły gwiazdy. Konające życie dnia dochodziło uszów moich niewyraźnym szmerem, a połączone z cichym szeptem drzew, z mrużeniem rzeki przemawiało harmonijnym głosem młodej wiosny do młodego życia. Uspokojony całą tą poezją natury długo stałem zadumany, długo bez celu błądziłem okiem, długo bez celu wolną

94

bujałem myślą, aż nareszcie okiem i myślą zatrzymałem się na większym domku, który spomiędzy zielonych topoli srebrnym szyb okiem patrzył się na mnie, zdawał mrugać wesoło, witać i przemawiać. Do tego właśnie domu jechałem i nie wiem, czy ta chwila uroczysta, czy młoda myśl moja dziwnym i ciekawym zagadały do mnie przecuciem.

Zeszedłem z góry i wnet szybkim lotem koni minąłem mostek, wioskę, rząd topoli; stanąłem przed domem. Przyjazd mój był spodziewany i przed gankiem wśród drzew i kwiatów przywitała mnie młoda dziewczyna, dziecinnego niegdyś wieku towarzysza. Piękną była, piękną ją znalazłem; ona dziś jeszcze, kiedym już wiekiem i cierpieniem od tej chwili daleki, najpiękniejszą mi się wydaje; a wtenczas, wśród całego uroczego otoczenia, wydała mi się równie piękną jak ta wiosna, co mnie otaczała; jak ta wiosna, co była we mnie. Rysy, oczy, włosy i dziś jeszcze odmaluję; ale któż mi odczaruje oczy moje młode, kto

wskrzesi dawne uczucia moje? Poznaliśmy się od razu; zaczęliśmy się ściskać - dawne dzieci, a kończyli rumienić - młodzi, pełni życia i ognia wiosnianego; ta chwila była stanowcza; pierwsza miłość na zegarze naszego życia. .Wzięła mnie za rękę i powiodła do domu, do swojej matki.

Była to ciotka moja, której serce nie zrozumiane od pierwszych lat zameścia zaciemniło całe życie smutkiem. Długo jeździła po zagranicy, cudowne zwiedzała wody, ale choroba jej była nieuleczoną; całe życie spaczone, uczucia powiędłe, nadzieje poniszczone; to były cierpienia, które tylko jej serce rozumiało i Bóg znał; a ludzie nie rozumieli, gorzkimi lekarstwami i gorzką litością leczyli śmiertelną słabość.

Mąż, a później syn były to regularne zegarki, by oznaczać chwilę zażycia lekarstwa, a nie rozumiejąc i nie mogąc jej zrozumieć płacili jej zimnym obowiązkiem, czego ona gorącą miłością dla gorącego żądała

95

serca. Później dopiero córka, gdy dorosła, pierwsza nieszczęśliwą matkę zrozumiała, a nie odstępując jej na chwilę, była dla niej najmocniejszym lekarstwem, bo jedynym węzłem życia, ostatnią nadzieją, a razem pamiątką lat dziecinnych w rodzicielskim domu przepędzonych. Przez czas jej podróży dla zdrowia młoda Maria chowała się przez lat kilka w domu matki mojej: stąd mocne, prawie macierzyńskie przywiązanie ciotki do mnie.

- Poczekaj! tylko co lekarstwo zażyła; kwadrans przynajmniej spo-

czywać powinna; to także bieda, trzeba jej jak małe dziecko pilnować.

Jak się masz. wyrosłeś mocno! - powiedział pan wujaszek, czerstwy, choć stary.

- Poczekaj! teraz matce spokój potrzebny, a zobaczywszy ciebie zaraz zaczniesz płakać, spazmować; oj! te uczucia niepotrzebne niemało zdrowia jej zabrały i gdyby nie nasza staranność... Ale jakżeś utył! czy na długo do nas? - powiedział pan cioteczny brat, młody, ale mniej czerstwy od ojca, bo zółty, nalany, skrzywiony. Snadź brak uczuć nie zawsze dodaje zdrowia.

- Jego widok mamie nie zaszkodzi; mama go tak kochała, zawsze o nim wspomina i widzieć go pragnie... Chodź ze mną! - powiedziała Maria i weszliśmy.

Czułe było powitanie; pamiętam jakby dzisiaj, i dzisiaj łączy mi się ciśnień do oczu na to wspomnienie, jak wtenczas przy przywitaniu, ale i łączy dzisiejsze jak różne od tamtych. Jak mnie ścisnęła, witała słowami, spojrzeniem i łzami; ile pytań czułych, ile prośb do Marii, by mi na niczym nie zbywało. O, ja bardzo kochałem ciotkę biedną; matkę kochającą wraz z szatą dziecinną zostawiłem za sobą, ojca nie znałem, stryj był mi tylko nauczycielem. Jedyne epizody czułości, pieśczęt, co tak miłe są sercu, przeżyłem w domu dobrej ciotki; krótki to był epizod; jedna oaza zielona na stepach życia mego!...

O, gdybym mógł wszystkie chwile te jedne po drugich wskrzesić,

perły życia mego, ja bym pisał cudowne poezje, bo moje dzieje były poematem, godziny i chwile przechodziły jak piosnki, jak dumki; myśli moje były dobre i wielkie, chęci wyniosłe, uczucia szczytne, a marzenia latały tak wysoko, że ja nędzny karzeł drzę na wspomnienie olbrzymich gmachów, w których memu życiu było za ciasno; bom był dobry, był młody, bom kochał, i jak kochałem! Najgorętsze mi dziś zostały łzy; gdybym tymi nawet był zdolny pisać, pisałbym nędzną prozę. I byłem kochany!... nasze serca zrozumiały się prędzej niżeli słowa, niżeli oczy nawet!... Zimne słowa dzisiejsze, wyście pędzłem, by kształt ciała odmalować, wyście cyrklem, by geometryczny zrobić rozbiór; ale nie wam na jaw wydać duszę, poezję, młodość i miłość!...

Rysy twarzy zmieniają się i ścierają w pamięci, choćby to była twarz przyjaciela lub kochanki; któż jest w stanie oddać wszystkie odcienie stanowiące fizjonomię mocnego uczucia, odcienie, które są pół światłem, pół cieniem, falą na wodzie, obłokiem na niebie!... dosyć że kochałem i byłem kochany. Chwila po chwili, dzień po dniu mijały spokojnie, jak wiersz po wierszu z wielkiego poematu, którego byliśmy twórcami i przedmiotem razem. A choć czasem dotknęła nas proza ojca lub brata, były to jakby godziny, bijące na domowym zegarze, którego pamięć niknie wraz z głosem! nie kochali mnie i nieraz uważałem, że krzywo patrzali na naszą miłość widoczną, ale życie ich było tak odrębne od naszego i chociaż ledwie pokojem oddzielone, przecie dalekie było o całą różnicę Grenlandii i Włoch, że mało zważaliśmy na nich. Prócz tego pokój chorej matki był naszą świątynią, dla nich było

to nudne, niezrozumiałe; widzieli przy tym dobrze, że matka, we wszystkim uległa, była nieugiętą, gdy szło o los i szczęście jedynej przyjaciółki i córki. Maria, zupełnie w tym podobna do matki, silna jej przywiązaniem, miała moc duszy, której niezłomnego hartu nieraz już poznali w mniejszych rzeczach, a zatem z cicha pomrukując

97

zdobywali nas swoim chodem zegarkowym.

Matka zaś nie była dla nas prozą; jej życie chorowite, twarz blada, cierpienia nerwowe, głos ledwie dosłyszalny były poezją smutku. Miłość dla niej i jej pobożne modlitwy naszą były wiarą!... I całe swe serce czułe, całą moc przywiązania przez tyle lat cierpienia i samotności zebraną dzieliła równo między nas, tak jak my dzieliliśmy wszystkie około niej starania na równe części. Dobrze ona rozumiała uczucia nasze i chociaż nie rozmawiała z nami o tym, z wyraźną pociechą patrzyła na nas. I cóż dziwnego! miłość nasza była dla niej ostatnim uśmiechem uciekającego życia!...

Zresztą byliśmy zupełnie wolni; osobliwe wieczory!... boskie wieczory! ileż ja od tego czasu przepędziłem wieczorów!... hucznych wieczorów wiejskich pełnych biesiad, kobiet, świateł, tańców, ubiorów, zapachów; wieczorów wiejskich, w ogrodzie pod drzewem, przy świetle księżyca, przy pieniu słowika, na wodzie, wśród szumu fali rozkosznej łódki ukołysanej ruchem; garści lat moich rzucałem za rozkoszniejsze wieczorne, garści marzeń rzucałem w ogród, w wody, w niebo, w księżyc, w pienia słowicze, a przecież wszystkie wieczory moje oddałem

bym za jeden, jakich tam przeżyłem tyle. Była wielka ulica lipowa,  
przeszłych pokoleń powiernica; była nią równie dla nas, jak będzie dla  
pokoleń przyszłych. Tam spędzaliśmy zwykle wieczory nasze; ile tam  
zostało słów naszych, ile uczuć i marzeń!... Nieraz do północy chodzi-  
liśmy po ciemnej ulicy, rozmawiali słowy, milczeniem i wes-  
tchnieniami!... ile planów na przyszłość, gmachów sztuką wyobraźni  
wzniesionych!... Odwieczne lipy! nieme świadki naszych rozmów i  
uniesień, wy stoicie nieruchome, a nasze gmachy w proch ruoęły! wy  
stoicie, tym samym szeptając głosem do starszego pokolenia na ich  
codzienne, obojętne troski, jakim odpowiadaliście na poetyczne unie-  
sienia młodych kochanków!... Chodząc po ulicy modliła się; ja cicho

98

szedłem koło niej i byłem pobożny wiarą w jej czystą złożoną duszę; a  
potem co dzień jedno, co dzień nowe pożegnanie; i jeszcze raz wraca-  
liśmy, żegnali drzewa, żegnali siebie do jutra; odprowadzałem ją do  
domu, rękę uściśnąłem, uściśnięty nawzajem, i wracałem sam nazad  
do ulicy lipowej, by rozpamiętywać każde słowo, każde wejrzenie...  
Skąpy bogacz, rachowałem po tysiąc razy skarb mój; bo miłość Marii i  
szczęście z nią rojone były mi najdroższym skarbem.

III

- Nie wierzę, aby ci ten zachwalony nowy doktor mógł co pomóc;  
wszakże jeździliśmy od doktora do doktora, od miasta do miasta... cóż  
to pomogło, natracilem, panie dobrodzieju, pieniędzy niemało i na  
tym skończyło się - mówił pan wujaszek.



- Ten pan Szmitian wydaje się być szarlatanem, jakiś magnetyzer!... przyznam się szczerze, że nie wierzę w magnetyzm,, bo nie widzę logiki, a zatem boję się, aby raczej nie zaszkodził matce - dodał pan cioteczny brat.

- Już mi podobno nic nie pomoże - cichym głosem odezwała się ciotka.

- Ja także nie rozumiem magnetyzmu, tak jak wielu innych rzeczy nie rozumiemy, ale dlatego czyż już koniecznie potępiać potrzeba? kiedy zwyczajne lekarstwa mamie nie pomagają, dlaczegóż nie udać się do tego lekarza, o którego cudownych prawie kuracjach co dzień tyle słyszymy?

- Mnie się nawet zdaje, że właśnie na cierpienia ciotki najwięcej pomoże magnetyzm, który sposoby niewidzialnymi nowe życie wlewa w nerwy... Ja wierzę zupełnie w magnetyzm - dodałem po chwili, patrząc na Marię.

99

Długo walczyliśmy z uporem ojca i brata, których długa i kosztowna choroba żony i matki najmocniej znudziła; przemogliśmy nareszcie, posłano po pana Szmitiana, który od niedawnego czasu był się pojawił w pobliskim miasteczku. Ratunek ten tym był konieczniejszy, bo ciotka co dzień była słabsza, co dzień opadała na siłach, osobliwie trapiły ją bezsenne noce i choć nieraz, kiedy długo czytałem jej głośno, rozweseliła się na chwilę i z widocznym upodobaniem patrzyła na nas, wnet przychodząc do poważniejszych myśli mówiła do nas z choro-

bliwą tkliwością o życiu przyszłym, jakby już niedługo miała mieszkać między nami. Z rozrzewnieniem słuchaliśmy czułych jej wyrazów, nie śmiejąc jednakże zaprzeczyć temu, o czym sami w głębi serca przekonani byliśmy.

Przyjechał pan Szmitian. Tak dziwnej i brzydkiej twarzy nie widziałem nigdy; głowa gęstymi włosami rudymi pokryta była nadzwyczajnej wielkości; czoło wypukłe i wyniosłe zdawało się oznaczać umysł głęboki, ale była na nim wklęsłość tak nie należąca do niego, iż mu nadawała jakiś wyraz niezwykajny i przykry; twarz chuda, trójkątna prawie, wielkimi sterczała kośćmi i nosem przełamanym przez środek, z jakim malują Sokratesa; usta szerokie i zapadłe kurczył i rozciągał nad miarę uśmiech wiecznie szyderczy, a oczy siwe barwą chmury siwej, wyrazem nieodgadnione; długo się w nie wpatrywałem i po długiej znajomości zostały mi zagadką; w stanie obojętnym wydawały się szklane prawie, ale według uczuć tyle nabierały rozmaitych wyrazów, iż je ledwie schwytać można było; przemagało jeno szyderstwo tak przenikliwe, że każdy mimowolnie oczy spuszczać musiał, by wzrok ten nie odkrył najgłębszej tajemnicy i nie śmiał się z niej potem. Czterdziestoletnie dzieje życia burzliwego i namiętnego malowały się przedwczesnymi zmarszczkami na twarzy jego, ale i te były tak ruchome jak wyraz oczu. Na pierwsze spojrzenie cała twarz zdawała się być środkiem między głową trupa i głową małpy i cała ta

że by go rzeźbiarz zarówno mógł użyć za wzór do Herkulesa, jak i do Apollina. Był to paszkwil szatana na tworze boskim.

Dziś jeszcze żywo wyobraża mi się pierwsze mocne wrażenie, jakie zrobił na mnie, gdy wszedł do pokoju, który poprzedzał pokój chorej; obojętny rzuciwszy wzrok na wszystkich, na mnie najdłużej zatrzymał spojrzenie ostre i ciężkie razem, a potem zwrócił je na Marię; uśmiech szydery rozciągnął usta i zdawało mi się w tej chwili, jak gdyby pytanie, które zawierał wzrok jego rzucony na mnie, rozwiązało się na twarzy Marii w pewność i w ten uśmiech, który prawdziwie szatańskim mi się wydał, odstraszał mnie bowiem, a razem przyciągał tajemniczością swoją.

- Gdzie jest chora? - zapytał mnie głosem pełnym i dźwięcznym, prawdziwie śpiewnym.

Weszliśmy do pokoju chorej. Zobojętniała twarz jego; dobre pół godziny przypatrywał się chorej, brał za puls, dotykał piersi, potem zerwał się z krzesła, stojące na stoliku i szafce liczne buteleczki lekarstw wziął i wszystkie powyrzucił przez otwarte drzwi szklane do ogrodu.

- Będzie zdrowa! - wyrzekł tym samym głosem dźwięcznym, który w tej chwili anielskim mi się wydał. - Gdzie mój pokój? - dodał i odszedł. Przez resztę dnia, zamknięty u siebie, nie wychodził.

Zwyczajem naszym zeszliśmy się wieczorem w ulicy lipowej i oboje zapytali razem o nowego gościa. Twarz przybyłego podobne zrobiła wrażenie na Marii jak i na mnie; długo rozmawialiśmy o nim i w koń-

cu zgodzili się na to, że jest dla nas zagadką, z tą tylko różnicą, że dla Marii był zagadką nieciekawą czy za trudną do odgadnienia, czy niewartą pracy odgadywania; dla mnie zaś była to zagadka tak ciekawa i zajmująca, że mi się jej rozwiązanie jakby przeczucie jakie snuło po głowie. Chciałem nieraz zwrócić rozmowę, ale mimowolnie wracałem do niego; aż w końcu Maria wpół z uśmiechem, a wpół z żalem

101

zrobiła uwagę, że nic o niej, nic o naszej nie mówię miłości. Byliśmy smutni, jak gdyby coś niezrozumiałego stanęło między nami. Wracaliśmy pomału w milczeniu ulicą lipową ku domowi, gdy raptem z końca ulicy zaświeciły, jakby kocie, oczy pana Szmitiana stojącego z założonymi na krzyż rękoma. Mimowolny dreszcz przebiegł mnie, a po drżącej ręce Marii poznałem, że się przestraszyła mocniej ode mnie. Zatrzymaliśmy się... spojrział na nas i zmierzył oboje lodowatym wzrokiem.

- Przerwałem rozmowę zajmującą zapewne? - wyrzekł i zatrzymał się, jakby czekał odpowiedzi. - Wieczór wiosenny - ciągnął dalej po chwili milczenia - ma wielki powab, nawet pod zimnym słońcem polskim; ale kto chce doznać prawdziwych przyjemności wieczornych, niech jedzie do Włoch; w Neapolu nad morzem, kiedy wokoło cicho, ale tak cicho, iż się własny słyszy oddech, ledwie czasem fala pluśnie o brzeg, łódka zaszumi na wodzie, daleka nuta lazaronów i tęskna i dzika przerwie uroczystą ciszę; a gwiazdy złote brylantami odbite w morzu, a powietrze upajające wonią... w taki wieczór pod takim niebem

marzyć, kochać i modlić się... kto jeszcze wierzy w miłość i Boga! -  
przerwał i roześmiał się jednym z tych uśmiechów wątpliwych, które  
więcej przyrzekają, niż posiadają. - Ale ja przeszkadzam, a czas ulatu-  
je, szkoda jednego wieczora, jednej rozmowy... Dobranoc!...

I a z a r o n - żebrak, włóczęga uliczny we Włoszech, zwłaszcza w Neapolu

Odszedł i z dala usłyszeliśmy śpiew; jeżeli gadał dźwięcznie, śpie-  
wał niezrównanie, nic podobnego nie słyszałem; głos wolny, czysty i  
giętki zadziwił nas i oczarował, nuta była dziwna, z szalonej wesołości  
wpadała w ponurą żalność. Słuchaliśmy zachwyceni, bośmy, młodzi,  
nie wiedzieli jeszcze, ile metoda włoska dodaje wdzięku głosowi  
męskiemu.

Pan Szmitian zaczął leczyć; wszystko, co było zabronione, chorej  
pozwolił, magnetyzował ją co dzień po godzinie, czasami dawał

102

lekarstwa przez siebie sporządzone i co dzień zdrowszą była ciotka;  
sen zaczął wracać, siły przychodziły do tego stopnia, że choć pierwiej  
kilka kroków zrobić nie mogła, teraz zaczęła się przechadzać po poko-  
ju, a nawet i po ogrodzie: ledwie czternaście dni minęło, zaczęła już  
wyjeżdżać na przechadzkę. Radość nasza była niewymowna, twarz  
nawet lekarza wypiękniała w oczach naszych, pełen wdzięczności za-  
cząłem się więcej zbliżać do niego i on też nawzajem, choć dla wszyst-  
kich obojętny i milczący, ze mną chętnie rozmawiał.

Gdyby mi było do śmiechu, musiałby mnie rozweselić jego dzi-  
waczny stosunek do ojca i syna; wprowadzał ich zwykle w rozmowa-

nia tak zuchwałe, iż oni nie chcąc się dać wyprzedzić gonili za nim, robiąc prawdziwie pocieszne i rozpaczliwe skoki po mgłach filozoficznych, kędy ich wodził, a potem niemiłosiernie spuszczał na ziemię i wyśmiewał bez litości. Mimo twarzy odrażającej, mimo spojrzenia najczęściej badawczego zacząłem się przyzwyczajać do niego, kiedy razu jednego zdawało mi się postrzegać, że wzrok jego dłużej spoczywał na Marii. Przykro mi było, nie była to zazdrość, bo wzrok nic nie miał czułego, ale gniewał mnie ten uśmiech szyderczy, którym zdawał się przemawiać, że odgadł naszą miłość i że mu się śmieszną wydaje. Kto kochał prawdziwie, łatwo zrozumie, jak przykrym jest dla kochanków to natrętne zdzieranie zasłony tajemniczej, którą się okrywać tak lubią młodzi kochankowie. Chciałem się usunąć od niego, lecz daremne były chęci moje i usiłowania; wszędzie go zdybywałem, wszędzie mnie ścigał ten jego wzrok pilnujący; nieraz nagle zbudzonemu ze snów niespokojnych zdało mi się widzieć oczy jego w ciemności błyszczące nieruchomo nade mną. Wieczory nawet nasze straciły swój zwykły powab, bo zawsze, gdyśmy się najmniej spodziewali, pojawił się nam, i nieraz niemy świadek naszej rozmowy, krok w krok za nami chodził z wiecznie jednym przenikającym spojrzeniem i z niezmiennym uśmiechem szyderczym.

103

Był to prawdziwie nasz zły duch; a przez wzgląd na ciotkę nie śmiałem mu nic powiedzieć, a nawet, choć wstydziłem się przyznać, mimowolnie bałem się go i szanowałem. Rzadsze były zatem rozmowy

moje z Marią i chociaż miłość nasza była ta sama, zawsze silna i niezmienna, zdawało się, jakby coś cudzego, ziębiącego stawało między nią a mną: ja łamałem sobie głowę nad pierwszą zagadką, którą zdymałem. Maria zaś pojąć nie mogła, co mnie robi tak roztrzepanym.

Lekarz zaś widocznie odgadywał każdą myśl naszą i nieraz oczu podnieść nie śmiałem, pewien, że wyczytam już w jego wzroku myśl ledwie poczętą w głębi mej duszy i poznam tryumf wyższego ducha nad słabszym.

#### IV

W pogodny wieczór czerwcowy chodziliśmy smutni z Marią po naszej ulicy; był to ostatni wieczór, któryśmy tam przepędzić mieli, wyjeżdżaliśmy bowiem wszyscy oprócz wuja o mil dwadzieścia do dziada naszego. Ciotka, czując się co dzień zdrowszą, chciała odwiedzić ojca, a zarazem zawieźć lekarza tak dobrego do starca, który od lat kilku niemocą był tknięty. Cieszyliśmy się ze zdrowia naszej matki, pewni, że i tam będziemy razem, ale nie wiem dlaczego, z smutnym przeczuciem zegnałem to miejsce naszymi schadzkami uświęcone; na próżno powtarzałem Marii czułe słowa miłosne, na próżno zapewniałem ją i siebie, że każde miejsce obojętne dla nas, nic w losie naszym zmienić nie może, wyrazy wychodziły zimne i bez przekonania; wewnętrzny głos mi mówił, że te chwile szczęścia już nie wrócą, że szczęście nasze zostawiamy w ulicy lipowej. Wierzyłem zawsze w przeczucie, które tym jest dla duszy człowieka, czym oko dla ciała; jeżeli bystrzejszym okiem tam zajrzysz, gdzie drugi nie dosięgnie, dlaczegóż wzrok

duszy nie może być tak ostry, by się aż w przeczucie zamienił? Po długiej rozmowie, pożegnaniach i przysięgach wracaliśmy żalem przejęci; na końcu ulicy stał jak zwykle lekarz; błyskawicą wzroku zmierzył nas i obojętnym wyrzekł głosem:

- Szkoda, że tej pięknej ulicy z sobą wziąć nie możemy, choć zapewne wszędzie są drzewa, ulice ogrodowe, wszędzie wieczór letni jest piękny... póki wiatr jesienny liści nie pozrywa, zamieć zimowa ulic nie zawieje!... tak, bo lato trwać zawsze nie może, wszystko się zmienia, i zima mroźna i żałobna przyjść musi.

Po pierwszych słowach Maria lekko skłoniwszy się lekarzowi ścisnęła mnie za rękę i poszła ku domowi; pan Szmitian nie zważając na to mówił dalej:

- Dziwne ludzi urojenia! budują gmachy, przyszłość ubierają w dowolne szaty terażniejszości, jak gdyby nic się zmienić nie miało, a czas postępuje, jedna chwila niepodobna do drugiej, liść do liścia, kropla wody różni się od drugiej. Cóż stałego, coś stałego, coś niezmiennego na tym świecie?...

- Są przecie uczucia!... - odpowiedziałem.

- Uczucia, cacko młodości, woń wiosenna!... cacko się zepsuje lub znudzi, kwiat inaczej pachnie z rana, inaczej w południe, inaczej wieczorem; uczucia inne na czczo, inne po obiedzie; uczucie jest to wrażenie teatralne od sali, od aktorów, od orkiestry zawisłe!...

- Ja wierzę w przyjaźń! - odpowiedziałem.



- Tak - przerwał - w przyjaźń i w miłość, dwa wielkie słowa, dwa wielkie nic; o religii już nie mówisz, bo już pomału przestajesz wierzyć, że wszystko najmądrzej i najlepiej stworzone; pomału doświadczysz, że przyjaźń jest tylko potrzebą samolubnej pomocy, miłość potrzebą cielesną!...

Wzdrygnąłem się na teorię tak obrzydliwą, lecz mi nie dał przyjść do słowa, porwał mnie za rękę, utkwiał we mnie błyszczące oczy i dźwięcznym głosem zaczął czarować.

105

- Doświadczysz i ty, jak ja doświadczyłem... I ja byłem młody, zapalczywy!... Ty nie znasz Grecji, tego nieba pogodnego, a czy rozumiesz, jaki powab w tym słowie: jestem w Grecji, w kolebce bogów i bohaterów, stąпам po klasycznym prochu wielkich ludzi i wielkich wieków; nie pojmujesz kobiety greckiej, z oczami, w których mitologiczne namiętności palą się ogniem tajemniczym, z twarzą jakby na wzór Apellesa, z kibicią niby rzeźba Fidiasza, Olimpu słońcem ożywiona, z ustami śpiewającymi pieśni Homerowe... Ja znam, bo ja tam żyłem młody, pełen wiary, ja tam pod niebem greckim kochałem Greczynkę; marzyłem chodząc z nią po gruzach dawnych świątyń; młodego życia wyobraźnię prostowałem połamane kolumny marmurowe, śpiewałem z nią miłosne żale Safony... Była tam także ulica z odwiecznych platanów, po niej chodziliśmy W wieczory letnie greckie, gdzie gwiazdy, księżyc i niebo są poezją; powietrze, szmer liści i woń kwiatów miłością tchną; chodziliśmy tam co dzień... Przyszła zima z

wiatrem i deszczem; ja zawsze chodziłem do mojej ulicy, ale już samotny!... Nie wiedziałem, że w pysznej łaźni marmurowej młodego Greka, którego ja sam, własną krwią zlany, spomiędzy rozjuszonych wyciągnąłem muzułmanów... Nie wiedziałem, że dobrze przemarzyć lato z marzącym Niemcem, ale w zimie lepiej przy alabastrowej lampie wśród wschodnich woni używać z pięknym, choć rzeczywistym Grekiem... Dowiedziałem się, przekonałem się i...

Tu zaiskrzyły się oczy lekarza płomieniem tak szatańskim, iż zgrozą przejęty zawołałem: - I cóż?...

- I cóż?... znasz ty jedno uczucie całe, pełne i silne, co warto uczuciem nazwać, uczucie, co ci całą pierś zaleje, wszystkie siły natęży, krew rozgrzeje?... znasz ty zemstę?... Zostawiłem za sobą gruzy, a sam pojechałem do stolicy meczetów 2 S t a m b u ł (Konstantynopol) - stolica cesarstwa bizantyjskiego, potem Turcji do 1923 r. i tam na miękkim dywanie spałem, piłem kawę, jakiej ty nie znasz,

106

sorbet, jakiegoś nie pił, kurzyłem tytoń, jakiegoś nie palił, ścisnąłem kobiety, jakich nie widziałeś w zimnej Polsce; używałem opium i marzyłem... Po zemście nie znam silniejszego uczucia nad marzenie przez opium sprawione; to mozaika myśli, uczuć i rozkoszy, kolorytem wyobraźni ubarwiona; arabeski fantastycznych okolic i ludzi; a obrazy przesuwają się jeden po drugim, miękkie, ulotne i mgliste; dziewice hurysy i oczy gwiazdy, usta korale, pierś alabaster żyjący; a ogrody rajskie, niebo turkusowe, słońce brylantowe, drzewa szmarag-

dowe!... I wszystkie te obrazy czerwcowe drżą w powietrzu, które jak zasłona przezroczysta w codziennych kołysze się zwrotach, marszczy się i ciemnieje... Ale zbudziłem się...

h u r y s a - wg *Koranu* wiecznie piękna i młoda dziewczica z rajy mahometańskiego; przen. młoda i piękna dziewczyna

Niewymowne ciekawości i zgrozy uczucie tajemniczym przeszło mnie drżeniem; zdawało mi się, że stoję przed zakrytym prawdy posągami w Sais 2, której zasłona drży w ręku lekarza; pierwsze powątpiewanie zabolalo w sercu, pierwsza ciekawość zaciężyla na mej głowie; głosy świata nowego dla mnie, nowych przedmiotów, nowego życia zagrzmiały całą orkiestrą, tony dzikimi i zachwycającymi, pełnymi przecuć i żądzy; ledwie z dala dochodził mnie głos prosty, czysty głos wiary... flet pastuszy!...

Sais - miasto w starożytnym Egipcie położone w środkowej Delcie, główny ośrodek kultu bogini Neit

- Nie chcę wierzyć i nie wierzę; są myśli wielkie, myśli, co wieki przetrwały, a przez mnogie przechodząc pokolenia wzrosły w olbrzymów, w bohaterów, w czyny... Są uczucia, które nowym potopem całe wieki i całe ludy przerobiły.

- Rozumiem cię!... szukałem tego uczucia; wymysły żaków, bańki po historycznym kronik morzu pływające, marzenia heraldyczne, śpiewki minstrelów, dumania zakonne, wynalazki słabej głowy lub słabej wątroby. Szukałem i, młody, żem znalazł, uwierzyłem myśli

wiekowej, uczucia wiekowego szukałem w wiekowym z bogów zrodzonym narodzie; walczyłem między Grekami. Mnie, z Getyngi uciekłem, śniły się Termopile, Salaminy, Miltiadesy i Solony; miasto tego ujrzałem zdradę krwią kupioną, krew pieniędzmi płaconą; widziałem noże rozbójnicze z maratońskich oręży wykute, karły w ruinach olbrzymów... ale dajmy temu pokój... Szukałem tej myśli i tego uczucia od południa na północ, widziałem niskie zdolności, a wielkie żądze, cedry, w grządkę sadzone... Szczęśliwy, kto umarł jak Byron śmiercią fizyczną; ja omal nie umarłem śmiercią moralną!... Jedna myśl istotna jest grób!... gniazdo nowego, rzetelnego życia; szerokie kraje nogą mą zmierzyłem i znalazłem je w gnieździe świata; grób obok kolebki, w Egipcie, w grobowych piramidach.

- Czyż być może?... a przecież jako lekarz poświęcasz się ludzkości, którą zdajesz się pogardzać...

- Co mi tam do ludzkości!... ja ludzi nie kocham, nienawidzić nie warto; ja się z nich śmieję i jako rzemieślnik teorię z grobów dobytą stosuję i doświadczam.

Odszedł lekarz ciała, choroba dla mojej duszy, choroba, co robakiem wgryzła się w moje młode życie. Ledwie chwil kilka uleciało, a każda przecuciem, smutkiem, ciekawością rozciągnięta, godziną, miesiącem, rokiem zaciążyła na mej głowie, ołowiem przycisnęła serce.

V

Zastaliśmy dziada naszego mocno chorego; pan Szmitian wziął się

do leczenia, w chwili zaś wolnej, zamknięty u siebie, nigdzie nie wychodził; uważałem, że od ostatniej rozmowy jeszcze więcej milczał, zdawał się mnie nawet unikać. Mniej na to zważałem, bo młody i pełen miłości, zapomniałem pomału wszystkie myśli, które był lekarz wywołał; czasami jeszcze słowa jego jak widma tajemnicze mąciły

108

spokojność moją, ale jedno Marii słowo, jedno uściśnienie ręki, spojrzenie czułe rozweselało myśli moje. Żyjąc z dnia na dzień, bez trosk, marząc o przyszłości piękniejszej, byłem szczęśliwy z dnia, który minał, cieszyłem się dniem jutrzejszym. Ciotka, która zdawała się przychodzić zupełnie do zdrowia, wyrazy pełnymi miłości macierzyńskiej wzbudzała słodką nadzieję, że kiedyś połączony będę z Marią; były zaiste trudności: byliśmy młodszy bardzo, zezwolenie ojca było niepewne; niepokoiły nas wprawdzie te myśli, ale wierzyłem w stałość charakteru Marii, w sobie czułem dosyć siły do przełamania wszelkich trudności, a zresztą ubogi w doświadczenie, które starszych rozczarowuje, byłem bogaty w ufność prawdziwie młodzieńczą.

Ale przelotne były zawsze dla mnie chwile szczęścia; niedługo trwała spokojność moja; zagłuszone tylko, nie zniszczone były w sercu moim wyobrażenia nowe wywołane słowami lekarza; najmocniej utkwilo w pamięci opowiadanie jego o Greczynce i utajone w sercu moim nowe uczucie dobywało się gwałtownie z łona mego. Zazdrość była w moim charakterze i dotąd mimo wszelkie rozumowania nie wierzę w miłość bez zazdrości. Nie rozumiem ja przez zazdrość brak ufności w

kochanej osobie, czuję to tylko, że ja dla kochanki powinienem być wszystkim - kochankiem, rodzeństwem, przyjacielem, światem całym; każde słowo grzecznie powiedziane, uśmiech uprzejmy, choć obojętny, spojrzenie na kogo innego częściej zwracane było wedle mego przekonania świętokradztwem przeciw mnie popełnionym. W miłości czy przyjaźni żądam zawsze uczucia odrębnego, które by się nie dzieliło na tysiączne związki, pokrewieństwa, grzeczności i uprzejmości; w uczuciach podziału nie rozumiem. Kochankę, przyjaciela chciałbym moim niebem otoczyć, moim widnokręgiem jak ramionami mymi okolić!... Jest to wiele żądać od ludzi i życia, więcej daleko, niżeli oddać jest w stanie rzeczywistość, która uczucia z płomienia zwykła spłacać monetą z lodu.

109

W domu dziada mego same okoliczności sprzysięgały się na mnie; mnogie sąsiedztwa zajeżdżały dom ciągle; młoda, ładna i majątna dziewczyna sprowadzała w dom roje obojętnych wielbicieli, motylów z rzemiosła. Maria, jako, wnuczka gospodarza domu, musiała wszystkich grzecznie przyjmować, żartować z nimi i chociaż poznała słabość moją, bo któraż kobieta, jeżeli sama szczerze kocha, nie pozna swego kochanka wszystkie złe i dobre strony, jednakże mimo najszczerzych chęci nie mogła zawsze unikać położeń sprawiających mi nieraz najnieznośniejsze katusze.

A tańce!... te przekłete tańce!... ja lubiłem tańcować, ale tylko z Marią, ona zaś namiętnie lubiąc tańce chętnie ze wszystkimi skakała;

osobliwie walca znieść nie mogłem; widzieć pierś o pierś przyciśniętą, dłoń w dłoni, usta tak blisko siebie, że się oddech łączy z oddechem, a krew, która ogniem płynie po żyłach; świat kręci się w koło i znika, wszystkie mieszają się przedmioty, w szalonym nikną zawrocie... to były męczarnie dla mnie!... W takich chwilach nieraz przysięgałem sobie, że żona i moja córka tańczyć walca nie będą; żona chyba ze mną, córka chyba z narzeczoną. Brzydziłem się tańcem zawsze, widząc w nim coś bezwstydnego; cóż się ze mną dziać musiało, kiedy Maria, którą chciałem z objęcia matki w moje porwać objęcia na zawsze, lotem ptaka kręciła się szalonym wirem pociągnięta, uściśniona ręką płaskiego eleganta. Unikała zapewne walca przez wzgląd na mnie, ale nie zawsze się jej to udawało; ja nie śmiałem wyraźnie zabronić, a tak często obwinałem ją; często zazdrość podawała mi tę przykrą myśl, że ją pociągam tylko za sobą na wysokość mych uczuć nie pojętych dobrze przez prozaiczną dziewczynę.

Szmilian, który po dniach kilkunastu milczenia znowu się do mnie zbliżył, przypatrywał się najczęściej tańcom robiąc zimne -uwagi, którymi, znając moją nienawiść do tańców, zdawał się umyślnie pobudzać zazdrość moją. Raz późno już w nocy zagrano walca; Maria przyrzekła mi, że tego wieczora już tańczyć nie będzie, kiedy raptem

110

milczący świadek tańców, lekarz, porywa ją, krzyczy na muzykę, by prędzej grała, i walcować zaczyna. Kręcił się zaś tak prędko, że ich ledwie dostrzec mogłem; było coś nadzwyczajnego w tym tańcu; wszy-

scy stali zadziwieni, ja ledwie wytrzymać mogłem. I - coraz prędzej! -  
woła, coraz prędzej kręci się; oczy zaiskrzyły mu się światłem ja-  
śniejszym od świec, które zdawały się być bledsze. Umysł mój niespo-  
kojny ścigając ich ciągle, porwany w szalone zawroty walcowe zakręcił  
się z nimi, tak. mi wszystko z oczu ponikło, czasem tylko dostrzegałem  
ich niewyraźnie, jak przez mgłę snu! Brzydka twarz lekarza zaczer-  
wieniła się rumieńcem przeraźliwie żywym, a Maria zbladła jak trup;  
chciałem krzyknąć, cetnarowy ciężar cisnął piersi moje, oczy tylko  
moje latały szalenie za szalonym tańcem; w tej chwili twarz jego  
ciemnopąsowa, jakby krwią zbryzgana, wyobrażała mi upiора ssącego  
krew z białych śmiertelnie ust Marii. Bałem się, by co chwila ta para  
ulatająca nad posadzką, jak widmo, jak mara nocna nie znikła... W  
największym pędzie stanął raptem, wpółomdlałą posadził na krzesło,  
sam zaś nie zmęczony porwał za kieliszek wina. mnie drugi nalał, ude-  
rzył w niego i z zwyczajnym rzekł uśmiechem:

- Podziękuj mi, nieprędko walca tańczyć będzie!

Tak byłem odurzony, że nic odpowiedzieć nie mogłem, a może i nie  
śmiałem, gdyż, prawdę wyznać, miał on nade mną władzę niepojętą;  
znał najskrytsze tajniki serca mego i bez żadnego z mej strony zwie-  
rzenia się zgadywał prawie myśli moje, a czarem rozmowy swojej tak  
mnie obalamował, że byłem całkiem w mocy jego; sercem i umysłem  
moim władał jak woskiem giętkim; gwałtem porywał mnie za popę-  
dem magnetycznym swej woli... Uczuć moich wytłumaczyć sobie nie  
mogłem, ale nieraz słuchając jego mowy śpiewnej, patrząc w jego



wzrok przenikliwy wierzyłem w głos syreny, w oczy bazyliuszka... Był on zawsze dla mnie zagadką, ale już pomału niewinna niewiadomość moja zaczęła opadać ze mnie i pełną piersią połykałem obrazy

111

fantastyczne, które w czarownych słowach wylatywały z ust jego.

Rozmowy jego ze mną były zajmujące i częste. Zwiedził wiele krajów i dobrze zwiedził, a lepiej jeszcze opowiadał o nich, słowami żywiej od pędzla malował... Słuchając jego, nieraz zdawało mi się, że widzę ciemno-błękitne niebo włoskie, dumam w Koloseum, marzę pomiędzy gruzami i pałacami miasta, pani świata, z którego cesarów i papieżów głosy grzmiały orężem i krzyżem po całym szerokim świecie!... Widzę miasto-syrenę w morzu kąpiącą się!... przy tęsknej gondolierów muzyce w miękkiej kołyszę się gondoli, słyszę szelest jedwabnego domina kryjącego miłość lub zemstę! lwy Marka dożów ryczą na mnie głosem; sławny most napowietrzny westchnieniami wieków i cierpień przemawia do mnie... To znowu jaskrawy brzask Wezuwiusza oświeca marmury Neapolu i fale spokojnego morza; leje się lawa płomienistym potokiem, brzęczy wkoło pieszczona nuta włoskich pieśni, których każdy ton miłością dźwięczy, rozkoszą wzdycha, i miłosną rozkoszą pachnie powietrze - oddech włoskiej ziemi...

Wtenczas myślą gonię kunsztownym pędzlem skreślone obrazy, z chęcią rzucam się w ten świat ciekawy, tęsknię poza mgłą przed sobą, żądzą sięgam poza obłoki!... błędzę bez celu i tu, i tam!... I wnet zakończy gorące obrazy zimną uwagą, łamie ołowianą prozą świeżo wy-

rosłe skrzydła... i młody zapał z głębi duszy wydobyty niknie w próżnym westchnieniu, w łzie bezowocnej...

To znowu klasyczną ziemię Grecji przebiega; żelaznym rylcem żelazne dzieje ryje; i zdało mi się nieraz, że mimo chęci sam się unosił, gdy opisywał dzieje Suliotów, górali, a wśród nich ród Botzarisów.

Garstka ludzi pozostała z mnogiego pokolenia; i z skały na skałę przechodząc bronią każdego kamienia ostatniej góry-fortecy, która jedna została im z szerokiego kraju; a każda skała czerwieni się krwią, czerni się stosami trupów tureckich, a każda skała dźwiga jednego Botzarisisa.

I już mała garstka na samym szczycie góry; poginęli jeden Suliota po

112

drugim; popadali jeden Botzaris po drugim, a na samym wierzchołku, wśród obłoków prawie, kilku tylko otoczony Suliotami stoi ostatni

Marko Botzaris; siedmiu synów stracił jednego po drugim; stoi nieru-

chomy, suchym okiem patrzy na okalający go kraj, gruzami, trupami

zasłany, widzi konanie swego narodu i sam jeden, w szatę obłoków

owinięty, wznosi się ponad ziemią bohaterów... a wokoło wieniec zło-

tych półksiężyców i spojrzeń srogich; a wokoło rozlega się dzikie,

przeraźliwe: Allah!... i wolnymi echemi rozniesione od skały do skały

niknie w pustej krainie... Ostatni z narodu Suliotów, ostatni Botzaris

zanucił pieśń rodu swego bohaterską, na wolę puszcza łabędzi głos

pożegnania; śpiewa słowa starogreckie rytmem dawnych pieśni olim-

pijskich... Słucham zadumany śpiewu lekarza!... ten głos pełen wdzię-

ku i wyrazu niesie do uszu moich słowa dziwnie harmonijne, śpiewne

hieroglify przebrzmiałych wieków sławy i sztuki, i z piersi moich gwałtownie dobywa się wszystko, co jest szczytnym i dobrym... I znowu fantastyczną karykaturą kończy cudowny obraz... i znowu w próżnym westchnieniu wyższy niknie zapał...

Albo prowadzi mnie do kolebki świata, szerokiego Nilu, prowadzi brzegiem, tajemnicze słowa, hieroglify sylabizuje; w kilkunastowiekowe wprowadza piramidy, groby królów; podziemnym prowadzi korytarzem, labiryntem między bramą życia a śmierci; ukryte czarodziejstwa starych kapłanów z łona wiecznej nocy wywołuje, dobywa tajemnice grobu z ciemnych twarzy mumii, a tajemniczą zasłonę w fantastyczne zwijając odcienie to starym bóstwem zaświeci, to starym cza rem zaciemni!... Olbrzymie sztuki i umiejętności w olbrzymich grobach karłowatych królów zagrzebane z pyłu wieków oczyszcza, na jaw dobywa; z łona śmierci sztuczne duchów życie mocą namysłu wykradzione w istotne wprowadza życie...

To była jego najmiłsza rozmowa, i jakkolwiek, zimniej sądząc dzisiaj, cały ten epizod życia mego śmiesznym mi się wydaje, wyznać

113

muszę, że wówczas mocą szatańskiej wymowy swojej porwał mnie w ciemne, kabalistyczne tajnie świata duchów. A choć ogólnymi tylko słowy mówił o cudownych arkanach kapłanów egipskich w sztuce leczenia, obrazy jego były jak żywe, słowa tak wymowne, pozór tajemniczy taką wzbudzał ciekawość, że mimo lepszego przekonania mego co dzień byłem słabszy, co dzień więcej wiary przykładałem do jego słów;

niemało przykładały się do tego jego cudowne leki, które własnymi oglądałem oczyma, a którymi cała grzmiała okolica. Przy tym całe życie jego było tajemnicze; pokój jego osobny zawsze był zamknięty, nawet okiennice mocno zaparte; dniem i nocą paliło się światło, które czerwoną łuną wymykało się przez szczeliny drzwi i okiennic. Były znowu czasy, w których zdawał się go trapić jakiś czarny smutek; wtenczas twarz jego była okropna, oczy miały wyraz grobowy; wtenczas po całych nocach błądził samotny po ogrodzie i nieraz w nocy później budził mnie jego śpiew nadzwyczaj żałobny. Jednym słowem, całe jego życie odrębne robiło na mnie wielkie wrażenie; życie moje przestało być spokojne; zagadka stanęła mi olbrzymem w drodze żywota mego i mimo gwałtownej miłości mojej do Marii niemało już chwil spędzałem na samotnych rozpamiętywaniach, marzeniach obszernych jak świat albo ciasnych jak powicie egipskiej mumii.

## VI

Ciotka wydawała się zdrową, chociaż z przykrością uważałem, że głębszy coraz smutek osiadał na bladych licach. W częstych ze mną rozmowach nie tajiła myśli głęboko wkorzenionej, że niedługo trwać będzie ten stan zdrowia, że niedługo z nami bawić będzie. W tych to chwilach malowała słowami pełnymi czułości obrazy młodości swojej;

114

wtenczas to lepiej ją poznałem, lepiej pojąłem to życie nie zrozumianej kobiety, pełne ofiar bezowocnych, poświęceń nie poznanych; życie ciężkie i nudne, w którym ogień wewnętrzny sam w sobie pali się i

pożera, a jeżeli kiedy wybuchła, to zimnymi słowami, bo słowa uczuć byłyby nie zrozumiane, jeżeli nie pogardzone; życie pełne rezygnacji i walki nieustającej między poezją serca a prozą życia. Ile mi ona nauk dawała pełnych głębokiego doświadczenia, bo choć jej życie niewiele na zewnątrz się objawiło, ale za to wewnątrz ile prze-marzyła, przeczuła i odgadła. Patrząc na mnie jak na przyszłego zięcia widziała we mnie szczęście lub nieszczęście córki, a poznawszy moją dążność do życia marzeń, z własnego losu biorąc przykłady, nauczała i przestrzegała!

Pocziwa ciotko, przywiązanie twoje i nauki zostaną na zawsze w sercu moim i wiecznie brzmieć będą głosem lepszego życia; choć już dawno wyrzekłem się nadziei, pamiątki karmię własnym życiem!...

Biedna ciotko! ty już nie żyjesz, wszystko wkoło mnie się zmieniło, a dziś pamiętam jeszcze każde prawie słowo, każdy ton twojej mowy. I z Marią miewałem rozmowy poważniejsze, o naszej przyszłości zawsze pięknej, ale już ocienionej ciemniejszymi myślami moimi, które coraz bujniej wyrastały z nasienia rzucanego przez pana Szmitiana, który jak zły duch ciągnął mnie słowami swymi poza obręb życia zwyczajnego. Chwile szczęścia, które już z woli losu skąpo mi porachowane były, sam sobie bruździłem!...

Tak przebiegło parę miesięcy; już wiatr jesienny szumiał suchym liściem po ogrodzie; rzadsze już były dni pogodne, rzadsze nasze przechadzki wieczorne, czas nieubłagany uleciał z tym, co miał najlepszego dla mnie. Smutny byłem i mimowolnie na widok pożółkłych drzew

przychodziła mi myśl zimy, a z nią dzwoniły w uszach słowa lekarza, który uśmiechem jeszcze więcej szyderczym zdawał się żegnać każdy listek żółkły z drzewa urwany, pędem wiatru niesiony. Jego brak

115

wiary we wszystko coraz się więcej odbijał w mowie jego, której barwa tajemnicza doskonale odpowiadała myślom moim i porze jesiennej.

Maria była duchem moim opiekuńczym; ona bowiem, czy przez chęć bycia ze mną, czy przecuciem powodowana, odrywała mnie ciągle od niebezpiecznych rozmów z lekarzem.

Kiedy raptem w końcu prawie września, w mglisty, zimny poranek zajechał powóz; wybiegłem i zadziwiony stałem naprzeciwko ojca Marii. Zupełnie był niespodziewany; nagły jego przyjazd zadziwił mnie niepomą, a przy smutnym usposobieniu moim ciemne przecucie jakiegoś ścisnęło mi serce. Przywitanie moje przyjął bardzo zimno i zdało mi się widzieć w oczach jego jakiś wyraz złośliwy, wyraz starca cieszącego się z przykrości młodszych od siebie. Wszedł do pokoju i gdy za nim pójść chciałem, porwał mnie Szmitian za rękę, pociągnął za sobą do ogrodu i wprowadził w nieskończenie długą rozmowę o magnetyzmie. Słuchałem go z roztargnieniem; wymowniejszy niż zwykle, tłumaczył mi cuda mocą magnetyzmu działane.

- Dziś magnetyzm wskrzeszony - dodał w końcu - ale słabszy od dawniejszego; pierwiej mędrzec, prorok, lekarz potrafił za pomocą magnetyzmu stare przywrócić życie, dzisiaj zaś siła magnetyczna może dać tylko sztuczne, chwilowe życie, którego nie zawsze można być

pewnym. My, lekarze, mamy tym sposobem większą „nawet władzę, bo sami własne nadajemy życie; my panami, chorzy - niewolnikami naszymi, wpływów naszej woli, która magnetyczną siłą swoją i za krańcami grobu władać niewolnikiem nie przestaje; na skinienie nasze grobowe nawet upaść muszą zapory.

Wyrwałem się przecie i wbiegłem do domu; wchodzę, pokoje ciotki puste; mówią mi, że z mężem i córką już od godziny są u dziada; nowe przecucie, nowa boleść przeszły serce moje. Pełen niecierpliwości biegam po pokoju; tysiączne myśli krzyżują się po głowie mojej. Wyszli nareszcie; osłupiałem; Maria była jak śmierć blada, oczy od łez

116

czerwone zwróciła na mnie z rozdzierającym spojrzeniem. Ciotka była nadzwyczaj czerwona, widać było jakieś poruszenie niezwykle; pan wuj zespecił sobie jeszcze twarz starą jakimś tryumfującym spojrzeniem. Nim zdołałem przemówić słowo, już weszli do swoich pokojów i słyszałem zamknięcie drzwi; tuż koło mnie stał Szmitian ze swoim wiecznym uśmiechem i po chwili rzekł do mnie zacierając ręce:

- Tak tu chłodno; znać zbliżanie się zimy.

Wstrząsnąłem się, jak gdybym gadzinę zobaczył; pobiegłem do ogrodu, przez resztę dnia nie widziałem ani ciotki, ani Marii; przy obiedzie siedziałem jak na szpilkach między tryumfującą twarzą wuja a szyderyczym uśmiechem nad swój zwyczaj wesołego lekarza. Noc całą przepędziłem bez snu; smutne myśli jak mary nocne snuły mi się po głowie; zgadywałem, że rzecz szła o mnie, ale na próżno łamałem oso-

bie głowę nad tym, co się stało. Nad rankiem zasnąłem snem niespokojnym, ale myśli moje przekształcone w widma dziwaczne krzywiły się przede mną w obrazach fantastycznych. Nagle, dotknięciem ręki zbudzony, zrywam się i widzę przed sobą lekarza ze wzrokiem we mnie wlepionym.

- Co się stało? - pytam przestraszony.

- Za dni pięć ciotka twoja umrze! - odrzekł, uśmiechnął się i odszedł.

Ubieram się, lecę jak szalony, wszędzie cicho jeszcze; pytam służącą: - Jak się pani ma?

- Nie wiem, jak się ma dzisiaj, bo jeszcze drzemie.

- To jeszcze nie słaba?

Zdziwiona zmierzyła mnie służąca.

- A panna Maria? - pytam dalej.

- Panna śpi także, długo w noc pakowała się...

- Jak to?

- Ma jechać dzisiaj po obiedzie z panem albo jutro rano, do ciotki podobno...

Jakby piorunem rażony, od zmysłów prawie odszedłem; myśli moich skleić nie mogłem; tyle ciosów spadło na mnie razem, że zupełnie

117

odurzony błądziłem po ogrodzie. Wyjazd Marii tak nagły był dla mnie niezrozumiały; ona by miała opuścić matkę w takim stanie, matkę, która bez niej żyć nie może... tu przez chwilę zapomniana myśl no-



wym bólem ścisnęła serce moje. Miałżeby Szmitian żartować ze mnie?... o, nie!... to nie był żart; oczy jego, gdy gadał ze mną, nie żartowały!... Wracam pędem do domu.

- Czy był tu dzisiaj pan Szmitian?...

- Od wczorajszego wieczora nie był jeszcze... ale teraz posłano po niego, bo pani skarży się na mocniejszy ból piersi...

- Na miłość Boga, prosz pannie do mnie!

- Ach, biedna panienka, tak rzewnie płacze, aż serce boli, nie chce odjeżdżać od matki...

Przeszedł w tej chwili lekarz koło mnie; - O, nie ma już nadziei - pomyślałem spojrzawszy w twarz jego.

Co ja się nacierpiałem, wyrazić trudno. Siedziałem znowu koło ciotki, której stan na oko zdawał się nie być zatrważającym. Z początku ucieszyłem się, bo dla słabości matki Maria uparła się zostać i przemogła. Siedziała koło mnie z zapłakanymi oczyma, ale nie śmiałem ją o nic pytać, okropna bowiem pewność, że ciotka umrzeć musi, której w głowie nie mogłem sobie wyrozumować, zatrzymywała wszystkie słowa; patrzałem tylko na nią ze wzrokiem pełnym rozpacz. Okropna pewność! mieć ją w głowie i w sercu, a kłamać usta przed córką, słyszeć słowa pełne nadziei samej chorej i otaczających, a wśród tego zimna postawa lekarza rozdającego rozkazy obojętnym głosem. Darmo szukałem pociechy w szklanym oku jego; czytałem w nim wyrok niecofniony!... darmo szukałem nadziei w bladej twarzy ciotki; i z niej wyszczerzała się śmierć bolesna, z liców zapadłych, z

gasnących oczu, z tych ciemnych obwóddek, które coraz szerszym kołębem otaczały wółprzymknięte oczy.

Nie odstępowaleń przez cztery dni i noce łóża boleści, w którym widocznie przed okiem moim konała jedyna przyjaciółka moja, niła

118

ostatnia nadzieja szczęścia. Widziałem, jak jedna po drugiej odstępowwały ją siły żywotne, widziałem, jak oznaki śmierci jedna po drugiej rozciągały się po bladej twarzy, wyciągały rysy, kurczyły usta... A wkoło zimne domniemywania obojętnych, wyrazy Marii nacechowane nadzieją sztyletami raniły serce moje. Maria, która dawniej co dzień się bała śmierci matki, teraz przez dziwne zaślepienie nie wierzyła w nią i widziałem nawet w jej oczach ukryty zarzut mnie czyniony, że ja żadnym słowem nie potwierdzam jej nadziei; ale ja nie śmiałem ani słowa pociechy powiedzieć, cały zajęty stratą, jaka nas czeka, na sieroctwo tak bliskie mojej kochanej Marii... Godziny tylko rachowałem z uczuciem niepodobnym do opisanía.

Piąty dzień jesienny i mglisty zaświtał. Ciotki drzemiące oczy otworzyły się na krótką chwilę; spojrzala nimi wokoło siebie: Maria drzemała, lekarz w kącie czytał książkę, ja. siedziałem zatopiony w myślach. Ledwie dostrzeżonym ruchem ręki dała mi znak; zbliżyłem się.

- Wnet się wszystko skończy! - cichym przemówiła głosem - żałuję ciebie, bo jeszcze była nadzieja w mojej woli i stałości Marii, ale teraz wszystko już przepadło... Po mnie sierota, ojca słuchać powinna... nie odwodź jej od tego świętego obowiązku; zapomnij, jeżeli możesz, i

bądź zawsze jej przyjacielem.

Zniżyłem głowę, by ucałować jej rękę; włożyła je na głowę moją i wybladłe jej usta zaszeptały niewyraźne błogosławieństwo. Kiedy podniosłem głowę, oczy jej były zamknięte, a po cichym i spokojnym oddechu zdawało się, że drzemie.

Cały dzień drzemała chora i z całej twarzy palcem śmierci naznaczonej łatwo poznawałem, że z tego ostatniego snu życia przejdzie w wieczny sen grobu. Świeca żałobne rzucała światło fantastycznym migając cieniem po bladej twarzy; Maria i ja w uroczystym siedzieliśmy milczeniu; lekarz zaś stał zamyślony.

119

Spojrzał na zegar, była godzina ósma, a milczenie lak głębokie panowało, że słyszałem chód zegara powolny, i każde jego kołatanie, które porywało uciekające jej życie, odbijało się boleśnie w sercu moim. Zadrzałem; tuż nad uchem usłyszałem głos lekarza:

- Chcesz widzieć skutki siły magnetycznej, która na chwilę władzę samej śmierci zwalczyć może?... patrz!...

Zbliżył się, podniósł wielką i silną rękę i pociągnął żywą dłońią nad martwym już ciałem; chwil kilka pociągał ręką od góry na dół, a oczy swoje silnym ogniem ożywione wlepił w żółte chorej policzki!... zdało mi się, że za chwilę usłyszę jakąś dziwną formułę zaklęcia wychodzącą z niemych ust lekarza. Niewymowne uczucie zadrgało w sercu moim, a światło cieniujące na twarzy palce olbrzymie lekarza zdało mi się żywotną siłą z zdrowej ręki do słabego ciała wchodzącą... I sine już

usta różowym ożywiły się rąbkiem, rysy twarzy śmiercią przeciągnięte zaokrągląły się pomału, ledwie dojrzany rumieniec rozchodził się powoli po bladych licach, powieki ciężkim ruchem podniosły się do góry, oczy szklane i nieruchome nabierały barwy, światła, ruchu i życia... I pociągnął raz jeszcze szeroką dłońią, i wzniosł ją w jednej trzymając mierze, jak gdyby mocą tej silnej dłoni utrzymywał śmierć ulatującą nad łóżkiem; w tej chwili uwierzyłem w sztuczne życie, o którym mi wczoraj mówił. Chora powolnym ruchem obróciła oczy wkoło siebie i snadź wszystkich poznała, bo głosem chociaż cichym, ale swoim zwyczajnym prawie, przemówiła do lekarza:

- Panie Szmitian, czy nie masz już żadnego sposobu ratowania mnie?

Zamilkła, spojrzała na Marię, która drżąca obok stała, wzniosła oczy do góry, ustami lekko poruszyła, ale bez wyraźnego głosu i tym samym porządkiem życie sztuczne siłą cudowną wywołane ustępowało powoli; spadły powieki, zbladłe przeciągnęły się rysy twarzy, zsiniały usta i zmęczona ręka lekarza opadła, i znowu ten stan nieczułości

120

wrócił, środkujący między życiem a śmiercią.

Wyszedł lekarz; długo stałem bez ruchu, tylko bieg zegara kołatał także po sercu, po żyłach i krwi; nie mogłem wytrzymać tego stanu; prosiłem Marię, by się na spoczynek udała, ale gdy odmówiła, wybiegłem trochę na świeże powietrze, by ochłodzić wzburzoną krew. Siadłem na ganku i owinąłem się w płaszcz; zmęczone bezsennością skle-

ily się powieki. Sen był męczący; obrady gorączką skreślone krzywiły się ciągle przed oczyma w różnych dziwnych zmianach: moje przeszłe życie bez trosk, życie młodości i spokoju przesuwało się przed duszą, potem znowu widma tajemnicze skakały z twarzy lekarza, wykrzywiały się i śmiały, i znowu blade ciotki ciało, i Maria kręcąca się z lekarzem w szatańskim walcu, a nad tym wszystkim olbrzymia ręka przez całe niebo rozciągnięta, której ogromne palce w dziwne znaki pogięte wydawały się jakby litery, hieroglify jakieś, na których wyczytanie umysł boleśnie natężałem. Sen mój był mocny; nagle konwulsyjne drzenie przebiegło przez wszystkie żyły; zbudziłem się: serce mi chodem zegarka klekotało po piersi.

Wróciłem do pokoju chorej, zbliżyłem się do łóżka. Maria położyła głowę na koniec matczynej poduszki i znużona zadrzemała; ze strachem spoglądam na twarz chorej!... Już było po wszystkim. Piętno śmierci wyraźnie wypisane spojrzało na mnie. Musiała w tej chwili skończyć, bo zdało mi się, że ostatnim oddechem podniesiona warga zapadła w oczach moich; przyłożyłem drżące ręce do oczu i zakryłem twarz bojąc się, by się Maria nie obudziła... Spojrzałem na zegar!... sama dwunasta; skończył się piąty dzień, dotrzymała śmierć słowa lekarza. Maria drzemała spokojnie; jakiś wdzięczny sen kołysał się uśmiechem na pięknej twarzy spokojnie złożonej na poduszce, a na tejże samej poduszce o jedną piędź dalej leży martwa głowa matki; sen spokojny córki i sen wieczny matki tak razem: sen życia igrający i swawolny i sen uroczysty śmierci tak blisko siebie!...

Co cierpiałem wtenczas, dziś próżnymi nie wydam słowy; to tylko pamiętam, że najwięcej bałem się, by Maria obudziwszy się raptem o okropnej nie przekonała rzeczywistości. Głęboką boleść zamknąłem w sercu, była to pierwsza nasza boleść, co kirem zaciemniała wiosnę moja, był to chrzest cierpienia!... Schowałem świecę, obudziłem Marię powoli i nie wiem, skąd dobyłem mocy, skąd słów dobyłem, by ją namówić do wyjścia z tego pokoju; uwierzyła wreszcie, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo, i wyszła do swojego pokoju. Spokojniejszy, gdy ją odprowadziłem, chciałem się wypłakać, ale żadnej łzy dobrać nie mogłem; sucha rozpacz gorączką piekła zmęczone oczy. Na ganku z otwartymi oczyma prześniłem całą noc, przemarzyłem, przeczuciem odgadłem całą przyszłość moją, już ustaloną i smutną!...

## VII

Nowy ranek zaświtał, nowa epoka dla mnie! com przecierpiał i sam, i dzieląc z Marią słuszny żal, przemilczeć wolę, bo nie wydam zimnymi słowy tych scen okropnych rozpaczy, łez i pogrzebu. Widok Marii dawał mi dosyć siły do znoszenia własnych cierpień, pocieszając ją nie próżnymi, słowy, ale serdecznym współczuciem. Odbył się nareszcie pogrzeb i nazajutrz rano równo ze świtem miała wyjechać Maria z ojcem. Rozmowa, jaką miałem z nim, przekonała mnie dostatecznie, że razem z śmiercią ciotki wszystko dla mnie umarło, że uczucia moje i nadzieje powinienem w sercu zagrzebać; nieugięty starzec, zimny na śmierć żony, na rozpacz córki; zastawiał się młodością moją,

widokami moimi na przyszłość, którą by mogło za wcześnie zburzyć ożenienie; jednym słowem, ja gadałem do niego sercem, on odpowiadał głową, ja przemawiałem uczuciem, on odpowiadał rozumem.

122

Przyrzekałem czekać, czekać długie lata, byłem miał nadzieję; nic mi przyrzec nie chciał, dodał tylko w końcu, że sam najlepszym sędzią szczęścia córki, a tego nie widzi w zamęściu ze mną.

- Tobie potrzeba świata, a jej ustronia; wasze drogi rozchodzą się i nigdy by się nie były zdybały, gdyby uważniejszą była żona moja - zresztą zasłaniał się wolą dziada, który się także związkowi temu sprzeciwiał...

Pobiegłem do dziada, ledwie mnie zrozumiał, przeżywszy kochaną córkę przeżył sam siebie; skurczony lodem wieku słuchał z zimną twarzą, okiem zadziwionym, nie rozumiejącym moich uniesień zapalczywych; w, końcu wziął książkę, zaczął modlić się za duszę córki i mnie kazał modlić się. Za daleko stały nasze wieki, nasze uczucia, abyśmy się zrozumieć mogli, on kończył życie długie; daleko za sobą zostawił wszystkie lat młodych omamienia; ja zaczynałem życie urojeń i nadziei. Na dwóch końcach życia stojąc, nie mogliśmy się zrozumieć.

Odszedłem; z Marią od przyjazdu ojca nic nie mówiłem, w czasie słabości matki nie myślałem o tym, a teraz ledwie chwil kilka sami byliśmy, a żalem przejści myśleliśmy tylko o świeżej stracie, miałem jednakże tyle czasu, że wymogłem na niej przyrzeczenie, iż się zejdziemy wieczorem w kaplicy rodzinnej, w którą z rana złożono zwłoki

zmarłej. Chcieliśmy razem połączyć ostatnie pożegnanie nasze i pożegnać miejsce, w którym na zawsze zostawialiśmy matkę naszą, ale pomimo woli snuła mi się nadzieja, że może znajdziemy sposób ratowania, się.

Tysiączne myśli burzą latały mi po głowie!... Chciałem przemóc siłą mej woli wszystkie trudności, chciałem porwać Marię... i znowu mallowały mi się obrazy mego wywyższenia; wojowałem, w radzie zasiadałem i wawrzynem uwieńczony wracałem dopominać się o szczęście moje, o rękę Marii... i z nią wchodziłem w progi domowe, pędziłem w ojczystej zagrodzie, w wiejskim ustroniu życie spokojne, wspólne życie

123

raju, dobry ojciec dla swych dzieci, dobry pan dla włościan, pożyteczny ziomek dla rodaków... to znowu zbudzony rzeczywistością łamałem ledwie co poklejone obrazy, by nowe skreślić chimerycznym wyobrażeni pędzlem; marzyłem i budziłem się na przemiany.

Już się wieczór zbliżał; ja, ciągle zadumany, biegałem po pustych ogrodu ulicach nie zważając na jesienny wiatr, który jęcząc po suchych liściach z drzew opadłych, mroził mnie swoim powiewem jak dreszczyk przenikliwy, który mnie na wskroś przechodził, kiedy raptem na zakręcie ulicy zdybuję lekarza; od śmierci ciotki nie widziałem go prawie, albowiem siedział ciągle u siebie. Zbliżył się do mnie jak zwyczajnie, ale wyraz twarzy, ust i oczu był różny, ciemne światło oczu, jakby odbrzask uczuć posepnych, cieniowało się na całej twarzy, oświecało uśmiech złośliwy ust i nadawało całemu wyrazowi cechę



jakąś tajemniczą i ciekawą.

- Próżny żal! - zagadał - niegodny żal!., traciłem i ja wiele w życiu, ale zimny patrzyłem na te zdarzenia, jak na zwyczajne życia koleje; burzom czoła nie ugiąłem; ja traciłem, ale większe i częstsze były razy; przetrwałem i teraz śmieję się, a ty, młody, silny, za pierwszym podmuchem burzy kurczysz się jak robak, zginasz jak trzcina, drżysz jak kobieta...

- Nie znasz położenia mego - przerwałem.

- Ja go nie znam! i cóż jest, czego ja nie znam? - odpowiedział i podniósł dumne oczy - dawno tajemnica twoja dziecinna przestała być tajemnicą dla mnie!... Wielka, dziwna tajemnica! kochałeś!... bo to się już skończyło; miałeś wiosnę, miałeś lato, używałeś, powinieneś być używać; teraz jesień, zapomnij, ucz się, by cię zima gołego, nie porośłego w pierze nie zastała. Miłość to cacko chwil kilku, żądza używania, burzenie się krwi młodej; serce to drzenie nerwów nie zahartowanych... to nie życie! to nie istota rzeczy!... to próżna przedmowa, obrazek, tytuł!... Tu! - dodał z ręką na czole - tu życie! tu świat! świat nauki, która węzłem silnym łączy byt z nicością, wieczność z pyłem,

124

tu nieśmiertelność, tu najwyższe bóstwo!... rozum!... a szkoła!... nie gwiazdy, niebo, ziemia! próżna to deklaracja, szkoła grób!... bądź cierpliwy i ucz się!... Płacz i uczucie zostaw bawełnianym duszom; dusze z żelaza, dusze męskie hartują się w ogniu, nie i pękając w burzy!...

I zamilkł, ale okiem we mnie utkwionym kończył zaczęłą mowę;  
zdawało się, że jak owej nocy z ręki jego wylatywały cząstki życia  
sztucznego, tak teraz z oczu jego strzelają we mnie błyskawice nowych  
myśli i nowych tajemnic; magnetyczną siłą wzroku swego zaczarował  
mnie. Nie mówiłem nic, bo mi dawne słowa przestraszone uciekły, a  
nowe pomału wywijają się z łona głowy. Po chwili uroczystego milcze-  
nia ścisnął mnie za rękę i głosem jak zawsze wymownym dodał:  
- Kochałeś tę ciotkę!... będziesz ją raz jeszcze widział. - Odwrócił  
się i szybkim znikł krokiem.

Biegałem jak szalony po ogrodzie; nowe myśli wolą lekarza wywo-  
łane, labiryntem powikłane, skakały po mej głowie, a ostatnie jego  
słowa dzwoniły mi tajemniczym głosem w uchu. W każdym drzewie  
obnażonym zdawało mi się widzieć duchy jakieś dziwne, olbrzymimi  
okalające mnie ramionami; z każdej ulicy świeciły mi oczy trupie ciot-  
ki; strach nieznany zimnym dreszczem latał po żyłach.

Bez przytomności prawie, nieświadomy siebie zaszedłem do mego  
pokoju i rzuciłem się ubrany na łóżko. Nie wiem, czy spałem, czy ma-  
rzyłem; to tylko pamiętam, że krew gorączką rozpalona tańczyła w  
fantastycznych obrazach po mózgu. Barwy obrazów dawnych i no-  
wych, pomieszane w dziwną mozaikę, to się iskrzyły, to znowu za-  
ciemniały i mglistą pokrywały się powłoką...

I w tej chwili!... czy snu zjawienie, czy widmo gorączki, czy mara  
wyobraźni, czy duch z grobu wywołany, spostrzegłem tuż koło siebie  
postać schorowaną i bladą zmarłej ciotki!... Widziałem ją wyraźnie z

tą samą bladą twarzą, tymiż oczyma wpołożywionymi siłą magnetyczną

125

lekarza, i nawet zdało mi się, i? widzę nad tą postacią ulotną wznoszącą się olbrzymią rękę lekarza, jak wtenczas nad łóżkiem śmiertelnym... Tak byłem zmęczony, że bez wrażenia prawie, bez żadnego zdziwienia patrzałem na to zjawisko.

Ocknąłem się i przetarłem oczy; wszystko znikło, tylko w półotwartych, drzwiach stał lekarz z zimnym spojrzeniem, okiem wytężonym i tą samą rękę, jakem pierwiej widział, trzymał wyciągniętą, z wyprężonymi żyłami... i wyrzekł głosem czy pewności, czy zapytania:

- Widziałeś!... - i wyszedł.

Już wtenczas pewnie nie spałem; całej tej sceny uroczystością jakby elektrycznym uderzeniem wskroś przejęty, stałem na środku pokoju i chronologicznym porządkiem przechodziłem w myśli wszystkie zdarzenia, które się w przeciągu kilku dni tak tłumnie przesunęły. Nie umiałem nic sobie wytłumaczyć, ale w tej chwili we wszystko uwierzyłem i gdyby wtenczas zaraz był przyszedł lekarz, byłby mnie zastał zupełnie przygotowanym, byłby ślepo mnie za sobą pociągnął w ciemne i tajemnicze państwo duchów, które mnie już od dawna w jego przytomności dreszczem przechodziło, z oczu błyskało, z brzydkiej wyzierało twarzy, dźwięczną mową namawiało i czarowało.

On nie przyszedł; krew ostygła pomału; z pamięcią wróciło do myśli przyrzeczenie widzenia się z Marią; wolnym krokiem poszedłem do kaplicy. Ożywiony ostrym wiatrem, który wilczym wyciem szumiał

nad domem, ogrodem i całą okolicą, postanowiłem milczeć o tym całym zdarzeniu, osobliwie przed Marią; na jej wspomnienie prawdziwa miłość młodzięcza rozlała się dobroczynnym gorącem po piersi mojej. Wszedłem do kaplicy.

Kaplica była odziana kirem od rana; wiatr wbiegał przez szczeliny, drzwi i okien, szeleścił żałobnym pokryciem, ruszał światłem lampy, które, kołysząc się za jego powiewem, olbrzymie rzucało cienie na kolosalny krzyż biały na środku zawieszony, barwą kościotrupa od czarnego

126

sukna odbijający się po białych pomnikach, po złotych napisach i trupich głowach. Po obu stronach wystawały z dna czarnego dwie głowy ludzkie; po jednej stronie siwa i łysa, palcem wieku odznaczona, na której bladych i przeciągłych licach światło lampy i uczucia ostatnie, z głębi lat i zdarzeń wydobyte, w różne cieniujące się kształty, zdawały się być walką życia i śmierci; po drugiej stronie głowa młoda niewieścia, której rysy pełnym życiem zaokrąglone żal głęboki nieruchomością posągu powłókł; oczy z jednej strony wpółumarłe, porcelanowe, świeciły się tylko światłem lampy; po drugiej stronie oczy młode świeciły się łzami jasnymi. Był to dziad i wnuczka, modlili się nad grobem córki i matki; dwa pokolenia przeciwległe nad pokoleniem środkującym... ostatnia pamiątka i ostatnia nadzieja zmarłej stojąca nad jej zwłokami. Ponure było milczenie, ledwie czasem przerwane stłumionym wyciem wiatru, szeptem niewyraźnym modlącego się starca i gorącym westchnieniem młodej dziewczyny mgłą ulatu-

jącym po zimnym powietrzu; a nieruchomy i surowy wyraz boleści ukrzyżowanego Zbawiciela spoglądał z góry na tę scenę żalobną, oderwaną z obszernego dramatu życia ludzkiego. Wszystkie moje myśli wzburzone, myśli lotne, myśli ciemne, uczucia płomieniste i żalobne wzdęły pierś moją i gorącą łzą rozrzewnienia ściekały na zimną twarz, a z nią ulatywały pomału wszystkie czarne mary, kruki szarpiące, tajemniczym zaklęciem lekarza wywołane. Długo stałem nieporuszony i nie postrzeżony; długie chwile biciem mego serca rachowane przebiegły w uroczystym milczeniu. Powstał starzec zsiniały od zimna, powlókł zgasłym okiem, spojrzeniem zgrzybiałego dzieciństwa wokoło siebie, postrzegł nas i drżącym rzekł głosem, przykładając palec do ust:

- Cicho, dzieci!... moja Antosia śpi.

Biedny starzec ze spleśniałego skarbu swoich pamiątek wydobył może obraz córki śpiącej snem niewinności. Biedny starcze! oby się poplątana pamięć twoja nie rozwinęła, okropne byłoby obudzenie po

127

tak pięknym śnie.

- Cicho! - szepnął raz jeszcze; jakiś zapomniany, wiekiem zaklęty uśmiech wydobył się na zwiędłe usta, obłąkaniem odbił się na twarzy, i wlekącym się krokiem wyszedł z kaplicy.

Zbliżyłem się do Marii, ukląknęliśmy razem z nią na kamiennej posadzce, pod którą złote nasze spoczywały nadzieje, grobowym wiekiem na zawsze zamknięte, i długo w milczeniu modliliśmy się modli-

twą i marzeniem. Byłem tak odurzony, że słówka jedno wyrzec nie mogłem; pierwsza podniosła się Maria, otarła oczy i wzięwszy mnie za rękę drugą podniosła do góry.

- Nasza matka słyszy nas! - rzekła do mnie - za jej pozwoleniem wieczną ci miłość przyrzekłam i przyrzeczenia mego święcie dochowam. Ojcu posłuszną być powinnam, ale ręki mej nie oddam, tylko tobie, chybaś sam tego żądał ode mnie; jestem odtąd twoją, przysięgam ci na pamięć matki naszej: jesteśmy młodzi, miejmy w Bogu ufność, wiarę w siebie!... A teraz, mój kochany, próżnym nie męczmy się żalem, pożegnajmy się na grobie naszej matki i rozejdźmy się w nasze drogi; miłość nam będzie przewodniczyć, a może kiedyś weseli i szczęśliwi witać się będziemy na tym samym grobie.

Piękna jej twarz zajaśniała natchnieniem; słowa pełne wyższego zapалу niewypowiedzianą harmonią tręcały o wszystkie serca mego struny: w tej chwili kochałem tylko, wierzyłem, ufałem, świętą przysięgą stwierdziłem przyrzeczenie wiecznej miłości... i wyszliśmy.

Idąc pomału do domu dowiedziałem się od Marii, jak jej ojciec cudem prawie uwiadomiony o planie matki przerobienia dziada na naszą stronę, planie, który powoli byłby się prawie udał, raptem przyjechawszy zaraz mu rzecz całą inaczej wystawił; jak dziad na wszystkie prośby córki i wnuczki odpowiadał widokami mymi na przyszłość moją, młodością moją, z której się miał wywinąć kiedyś mąż wielki; a na

koniec, pobudzony przez zięcia, wyrzekł niecofnione słowa: - Tak chcę

i tak być musi! - Starcze, nie chciałbyś, by ci córka umarła, a przecież nie stało się gwoli twojej; chciałeś rozerwać dwa młode serca i stało się, jak chciałeś!... Dziwne zrządzenie losu!...

Długo żegnaliśmy się słowy, płaczem, ściśnięciem ręki; my, cośmy się w wiosnie naszego życia, w wiosnie roku witali i pokochali, żegnaliśmy się teraz, skołatani burzą losu, otoczeni burzą jesieni!

## VIII

Chodząc u siebie po pokoju czekałem dnia, bo spać nie mogłem.

Przeżyłem w samotnym marzeniu całe już raz przeżyte życie, przeczułem w samotnym dumaniu całą przyszłość swoją; a wszystkie myśli i uczucia kręciły się około miłości, która z całą władzą serce moje opadowała; w ciasne ramy chwil kilku mieściłem wszystkie obrazy, stanowiska, pomysły, domniemywania i plany. Nagle iskierką zatliła w głębi duszy myśl nowa, płomieniem ogarnęła mnie w mgnieniu oka...

Od dziada wszystko zależy!... lekarz, którego moralnej władzy doznałem nieraz, leczy go, ma wielki wpływ... tak... on może wszystko zrobić, jeśli zechce, a zechce na pewno, bo mi wyraźnie sprzyja, mnie jednemu z całego domu dawał ciągle dowody swojej przychylności, przyjaźni nawet; i cóż mu to może szkodzić pomóc mi!... Nadzieja zatętniała mocniejszym biciem serca!... O! ta nadzieja jest to fałszywy ognik, co się wędrowcowi pokazuje; przy ostatnim nawet pomazaniu wisi jeszcze nad umierającym!... Mało jeszcze uczony w szkole doświadczenia, nie byłem się pozbył jeszcze tej poetycznej błyskotki; polecałem do lekarza.

Po raz pierwszy szedłem do jego pomieszczenia, a taką tajemnicą otoczone było życie jego, że nie bez dreszczu szedłem. Niespodziewanie

129

zastałem drzwi wpółotwarte. Wszedłem; pierwszy wzrok poświęcony był dawno tłumionej ciekawości. Na stole zarzuconym papierami stały obok siebie alabastrowa lampa rzadkiego kształtu i trupia głowa niepospolitej wielkości; przy łóżku mnóstwo broni różnego rodzaju, różnych wieków i kilkanaście buteleczek bardzo drobnych, pełnych płynu różnobarwnego; w jednym kącie stało mnóstwo ksiąg, w drugim narzędzia do przyrządzeń chemicznych służące. Sam pan Szmitian stał obrócony twarzą do okna; zatrzymałem się na chwilę i nigdy tak piękna nie wydała mi się ta postać jak teraz, kiedy twarzy brzydkiej nie widziałem. Zbliżyłem się; twarzą spoglądał w okno, jakby się przypatrywał burzy huczącej na dworze; a uśmiech jego jak zawsze szyderski zdawał się być naigrawaniem spokojnego człowieka ze wzburzonej natury. Obrócił się do mnie bez żadnego zadziwienia i nieruchome utkwiał we mnie oczy.

- Czekałem cię! - powiedział i zamilkł.

Przyzwyczajony, że zawsze prawie najskrytsze myśli moje zgadywał, ośmieliłem się na to powiedzenie i słowa wymownymi nadzieją i miłością przedstawiłem mu prośbę moją...

Milczał ciągle, ciężkim tylko wzrokiem swoim cisnął głowę i serce moje, uśmiech złośliwie szatański przeleciał błyskawicą przez twarz; oczy załśniły i jak pochodnie, jak strzały paliły i raniły mnie; zakrzy-



czał nareszcie do mnie głosem donośnym; prawdziwie zakrzyczał, bo każde słowo, każda zgłoska pełnym głosem wylana dzwoniła po całym pokoju, a głos, chociaż zawsze harmonijny, był tak różny od zwyczajnego, jak huk fal wzburzonych od mrużenia strumyka, a każde słowo piorunem mnie raziło, a każda pauza była długa i okropna, ciężąca nade mną jak suchy wiatr puszczy wpośród burzy.

- Ja? ja mam być sprężyną twoich intryg miłosnych, i czyżeś mnie dotąd nie poznał?... Ja, który dawne życie ciała, życie pyłu rzuciłem za siebie; ja, który w piersi zagrzebałem, lawą zalałem, popiołem zasypałem

130

wszystko, co było ziemskim i ludzkim; ja mam być teatralnym powiernikiem, węzłem pięcioaktowej farsy?... I ty, który boisz się mego oka, boisz rudych włosów, boisz twarzy życiem przepalonej, tchnieniem grobu zbrzydzonej, ty śmiałeś przestąpić progi moje, żebraku miłosny!... Jaz bym niszczył własne dzieło?... chciałem rozerwać ten węzeł śmieszny, pasek dziecinny i zerwałem, moją wolą sprowadzony ten głupi starzec! Co chciałem, to zrobiłem, boś ty był mój, ty byłeś moją własnością; koło życia twego weszło w karby moich działań, bo ja chciałem wykuć zdroj ze skały, iskrę z krzemienia!... krzesałem miękkie drzewo!... Chciałem z niemowlęcych pieluch ciała ducha ożywić, wskrzesić!... Jam cię elektryzował widokiem nowego świata i nowych obrazów; jam cuda całego świata w galwaniczne układał kolumny, by cię poruszyć; jam ciebie magnetyzował okiem moim, nauką moją, tajemnicą moją, bo chciałem młode życie wcielić w lata moje,

aby to, co może kiedyś światu wiecznotrwałym słońcem z łona grobów  
zaświecić, nie zastygło w starej krwi, w pół drogi nie urwało się!... Tyś  
był moim, bo ci natura dała życie robaka; jam cię przetwarzał na życie  
ducha. Odrzucasz!... idź więc i pełzaj! jedno złudzenie więcej na dro-  
dze żywota mego!... Dąb silny, wiekowy burz świadek, nie zegnę się  
łatwo!... Idź, trzcino! przeniosłeś kobietę, jabłko zgniłego morza! jedz  
więc popiół!... poznasz kobiety! zdradzony, zdradzać będziesz!... Bez  
siły, bez sternika, bez nauki wyższej, bez kompasu, burzą namiętności  
z żagłów odarty statek, pływać będziesz po morzu mierności!... ani  
słońcem w dzień, ani gwiazdą w nocy nie zaświecisz! ani aniołem w  
niebie, ani szatanem w piekle! A karą twoją będą wielkie żądze przy  
małych zdolnościach; okiem tęsknym rzucać będziesz w świat daleki,  
piękny i czarujący, ale nogą ciężką nie zmierzysz tych przestrzeni nie-  
zmierzonych!... Niski, pełzający, znudzony, przemarzysz i przetęsk-  
nisz życie, przedumasz myśl samobójstwa; duch nijaki, przebłądzisz

131

cały wiek nad granicznym piekła potokiem!... ale śmierć, piorun nie  
dotknie ciebie, bo piorun wyższe łamie głowy, robaki giną naturalnym  
rozbiorem części chemicznych... Idź!... skrzyżowały się drogi nasze i  
bodaj się nigdy nie zdybały; a jeżeli! jeżeli się zdybią!... ty wroga zdy-  
biesz!...

Długo szumiały mi w uszach słowa lekarza, głos jego grzmiał w po-  
wietrzu, oczy jego paliły mnie, chociaż dawno już siedziałem u siebie  
cierpiąc ból głowy nieznośny i trawiony palącą gorączką... Młody, wy-

trzymałem!... i w godzin kilka za murowaną bramą dworu dwoma ulicami przeciwnymi oddalały się dwa powozy!...

## IX

Wróciłem do stołecznego miasta, do poważnego domu surowego stryja. Długo jeszcze bladłem nad starymi książkami; ale próżne były usiłowania moje; nie tak łatwo przebrzmiewały słowa lekarza, jego rozmowy i obrazy wyczarowane z łona mego; miłość zaś dc Marii przeżyła i nauki, i pierwszą życia wiosnę. Z cichych nauk w szalone rzuciłem się zabawy, ale czy w samotności, czy w ruchu nie mogłem przegiąć skrzydeł moich w jeden kierunek zagięty... ciągle kochałem, marzyłem i żądałem...

Zgadł lekarz!... we dwa lata po tych zdarzeniach przychodzi do mnie przystojny człowiek i przynosi list!... List to był od Marii, pierwszy, chociaż ja tomy całe pisałem; ściskam go, całuję, otwieram...

Mnóstwo słów, rzeczy mało; ojciec żąda i nakazuje, aby wyszła za mąż; pamiętna na przysięgę, prosi mnie o radę i dlatego posyła list ten przez swego narzeczonego. Piękna miłość, piękna logika!... Siadłem, odpisałem i pozwoliłem!... Zmieniła się, bo wszystko się zmienia, chwila do chwili niepodobna, liść do liścia niepodobny, dobrze mówił

132

lekarz; a, mówił to w ulicy lipowej!... Tak się skończył mój epizod miłosny! Żem kochał, do śmierci kochał, byłoby śmiesznością powiedzieć; bo kto zna serce ludzkie, łatwo uwierzy, że ten epizod wpłynął na całe życie moje. Myśli moje wielkie przemarzyłem bez skutku;

uczucia moje ponikły iskrami bez płomienia! Lekarz zgadł, a dziad  
pocziwy omylił się!... Widoki spełzły na niczym; a ja mimo nauk i  
talentów próżnymi żądzami wylatuję w świat, tęsknię za tym, co tam  
gdzieś daleko, za mgłą marzeń moich!...

Przeżyłem i przetrwałem; a przecież bez rozrzewnienia nie mogę  
przypomnieć sobie scen mojej wiosny!... Ciotka pocziwa i kochana;  
ulica moja lipowa i Maria nie rzeczywistości, ale Maria wyobraźni mo-  
jej; pamiątki drogie!... wy gwiazdy mojego zarania!... rozczulonym  
was zawsze śledzę okiem po zasepionym niebie życia mego!... i choć  
chmury czarne okoliły mnie, widzę was sercem i duszą!...

1844

*Aleksander Groza*

**BIAŁA RÓŻA PINETTIĘGO**

---

I

Na jednym z przedmieść Moskwy stał dom drewniany o piętrze -  
właścicielem jego był Niemiec Fuchs, wysłużony urzędnik dworu J. C.  
M. Z galerii drugiego piętra odkrywał się piękny widok, z jednej stro-  
ny na miasto, z drugiej na zielone pola, piaszczyste wzgórza i gaje.  
Słońce miało się ku zachodowi, dzień był letni i ciepły; na galerii  
stał mężczyzna już niemłody, postaci wzniosłej, twarzy brunatnej,  
suchej, ale bardzo przyjemnej; oczu czarnych, żywych, czoła szerokie-

go, które krucze, ale już nieco siwizną przyprószone włosy ociemniały.

Ubrany był skromnie, ale pięknie, chociaż tylko dwa kolory, biały i czarny, wchodziły do jego ubioru.

Obok niego stała dziewczica około dwudziestu lat mająca; słuszną, wysmukłą, twarzy białej, rysów najszlachetniejszych, którą lekki rumieniec ożywiał; oczu jak niebo błękitnych, pełnych głębokiego uczucia; włosów jasnoblond, puklami spływających na jej alabastrowy gors i szyję. Ubrana w draperie białej, lekkiej sukni, z bukietem niezabudek u piersi, z gałązką jemioli we włosach, przepasana różową szarfą, dwoma końcami spadającą ku ziemi, była dziwnie piękną i smutną zarazem; a wstęgą różowa, niezabudka, jemiola to trzy emblematy

134

wyrażające obecny stan jej duszy.

Mężczyzna, trzymając w swym ręku rękę dziewczicy, mówił:

- O, moja Amelio! o jakżeś ty piękna! gonię za tobą z Hamburga do Berlina, z Berlina do Lipska, z Lipska do Drezna, z Drezna do Wiednia, z Wiednia uciekłaś mi do Moskwy, i tu ciebie dogoniłem, a kiedy ja się starzeję, ty coraz jesteś piękniejszą; zabrałaś się na północ myśląc, że tu ciebie nie znajdę.

- Znalazłeś - odpowiedziała dziewczica - abyś znowu pożegnał, porzucił, jak to było już tyle razy. Niedobry Pinetti, powiadasz, że ja od ciebie uciekam, to ty mnie bez litości opuszczasz! Ty, co tyle masz magicznych środków zatrzymania mnie przy sobie, czemuż nie zatrzymasz, czemu nie zamienisz mnie w ptaszka, w kwiatek i nie uwieziesz

z sobą? Niekiedy jak meteor błysniesz przed moimi oczyma, rozjaśniesz noc ciemną, aby potem stała się dla mnie jeszcze ciemniejszą. Jako artystce, przynoszono mi w Niemczech i wieńce, i złoto; ale bez ciebie na co mi to wszystko się przydało; uciekłam na północ, zakopałam się w tej pustyni.

- Nie znajdziesz takiej pustyni, nie zakopiesz się w niej tak, abym nie zobaczył ciebie, nie pomówił z tobą... i znowu sam w świat.

- Dlaczegoż sam, czyż nie mówiłam ci po stokroć, że ciebie kocham, że jeśli twoją nie będę, niczyją nie będę! Przypomnij sobie w Hamburgu ową dziewczynkę, którą tak zachwyciły twe sztuki, że zapomniała o swej matce i stanęła przy twym stoliku, tyś jej dał śliczną białą różę i kazał ją w rękę trzymać, po chwili zapytałeś o różę; dziewczynka ujrzała tylko pierścionek na swym serdecznym palcu, a róży nie stało. Gdzie się róża podziała, nie wie dotąd biedna dziewczynka, a pierścionek jakby wrósł w ciało, że go zdjąć nie może i nie chce, i nie zdejmie aż do śmierci.

Pinetti z rozrzewnieniem wpatrując się w Amelię rzekł wzruszonym głosem:

135

- O, moja ty różo biała! patrz, oto twa siostra, a może ty sama! patrz, jak blisko mego serca. - I dobył z zanadrza piękną, świeżą, białą różę. - Póki tej róży - mówił dalej - poty mego życia; twój pierścionek u ciebie na palcu, a moja róża przy moim sercu, na cóż nam więcej?...

Ty taka piękna, utalentowana, młoda, a ja/ ubogi tułacz, stary jak

kruk, kuglarz całemu światu znany z kuglarstwa. Ty żyj, króluj, używaj rzeczywistego szczęścia, a mnie zostaw złudzenia; póki mi wolno patrzeć na ciebie, przybiegnę, popatrzę; każesz rozpiłować mój mały pierścionek dla wygodniejszego, piękniejszego małżeńskiego pierścienia... ja wpatrując się w moją różę, jak ów rycerz Togenburg w okno kochanki, zamknę łzawe powieki.

- Co ty mówisz, Pinetti? ja niczyją nie będę, jeśli twoją nie będę, mówiłam ci to sto razy i jeszcze tylekroć powtórzę; ja ukochałam w tobie umysł wyższy, rozum bystrzejszy, a który ty przed oczyma świata zakrywasz łachmanami kuglarstwa. Ty skinieniem twej magicznej laseczki wprawiasz tłumy w podziwienie; ale słowa przez ciebie wyrzeczone są magiczniejsze; jam posłuchała i rozumiałam ciebie, Pinetti; dlaczegóż to lud tak wszędzie ciebie zna i uwielbia?

Pinetti, jakby nie słysząc tych słów, stał zamyślony, milczący, z wzrokiem zwróconym ku zachodzącemu słońcu, przy którym coraz zbierały się i przeciągały, rosły, to znowu, jakby dymem rozwiane, rozpraszaly się obłoki.

- O! zawołał Pinetti - jakże Bóg wszędzie w swojej naturze cudowny! spójrz no! spójrz, Amelio!

I wskazał na obłoki, które w białych, srebrnych i złotych falach przelewały się po niebie; razem w jedną masę zebrane urosły w czarne, olbrzymie góry, zakryły słońce; rozpękała się czarna góra w sto kraterów; buchnęły kłęby i słupy dymów i ognista lawa pół nieba zalała; chwila - i spopieliał wulkan, rozwiały się wysokie słupy dymów, znów

tylko srebrne i złote łuski fal cicho płyną po lazurowej przestrzeni.

336

I rzekł Pinetti:

- Gdybyśmy mogli dolecieć do tych powietrznych dziwów, obejrzeć je jak kąty naszego domu, o, jakże wrócilibyśmy rozczarowani! Owe kształty fantastyczne, owe barwy cudowne za zbliżeniem się ku nim pokazałyby się tylko zgęszczoną parą, dymnymi chmurami, które, różnie oświetlone promieniami słońca, różne kształty i kolory przybierają. Biedni my! czego się tylko dotkniemy, wszystko musi zaraz zwietrzeć, wypłowieć, zmaleć; tyle dla nas uroku i szczęścia, co w złudzeniu. I ten świat dlatego wydaje się nam taki wielki, dziwny i piękny, że sami jesteśmy zbyt mali, ograniczeni, słabi. Zostając ciągle jak we śnie, tym szczęśliwiej się czujemy, im z tego snu rzadziej się przebudzamy. To niebo, będące dla prostego człowieka niezmiernym błękitnym sklepieniem, czymże jest, jeśli nie próżnią bez granic? Te piękne, świetne gwiazdy to takie ziemie jak nasza, złożone z piasku, błota i kamieni! A owe ziemskie wielkości, owi ludzie pół, bogi poty są wielkimi, póki się do nich nie zbliżymy, póki się nie zżyjemy z nimi. a wtedy się przekonamy, że to tacy jak i my ludzie, tylko mający od nas więcej przebiegłości. A i my sami, moja droga, poty jesteśmy czymś dla siebie, póki się lepiej nie poznamy na sobie. O, moja Amelio! jeśli chcesz, abyśmy na zawsze tym byli dla siebie, czym dzisiaj jesteśmy, niechże nas bliższe ogniwa nie łączą. Spotykajmy się od czasu do czasu, jak w Dreźnie, Lipsku, Berlinie, Wiedniu; ja wyjadę z teatru za-



chwycony twym głosem, oczarowany twoją pięknnością i gracją; ty się naśmiejesz z moich kuglarskich conceptów i będziemy dla siebie zaw-  
sze nowi, pożądani, drodzy.

- Chcesz tego - odpowiedziała Amelia – niech tak będzie; ale na  
przyszłą wiosnę nie przyjeżdżaj do Moskwy, darń grobowa nie podno-  
si się na zaklęcia nawet miłości.

I łzy polały się z oczu Amelii, twarz jej śmiertelnie zbladła.

137

- O, moja droga Amelio! - rzekł ocierając swe łzy Pinetti. - Róża  
prosi zeschłego bodiaka aby żył z nią w parze. Biedny bodiak żałując  
ślicznej róży nastrzępia swe suche kolce, chcąc ją odstraszyć od siebie.  
O Amelio! zapłacz nad śliczną różą i zeschłym bodiakiem, bo fatalny  
los zbliżył ich ku sobie.

Amelia silniej ścisnęła rękę Pinettiego, a on jękając się ciągnął da-  
lej:

- Jeśli mi zostawisz zupełną swobodę rozporządzania mym czasem  
według chęci mojej, a nade wszystko, jeśli nie będziesz zgłębiać mych  
tajemnic, to jeszcze dziś możemy stanąć u ołtarza. Rozkryte moje ta-  
jemnice zabijają wiarę twoją w moje serce, rozum, a może i sumienie...  
przed czasem uschnie śliczna biała róża, a mnie śmierć bez niej.

Umilkł drżący Pinetti, Amelia rzuciła mu się w objęcia. Do tygodnia  
żoną jego została.

II

Pinetti znalazł w Amelii żonę tak uważną, wyrozumiałą, delikatną,

jaką tylko na tym padole płaczu znaleźć było można między córkami matki Ewy. Przywiązana bez granic do męża, do dzieci (bo Pan Bóg trojgiem pobłogosławił), nie myślała, tylko o ich zdrowiu, szczęściu, życiu; z owej artystki goniącej za sławą robiła się cicha, skrzętna gospodyni domu, co pragnie tylko, aby w każdym kącie był porządek, dostatek, aby wszystkie ją twarze otaczające były spokojne i wesołe. Dała słowo mężowi nie śledzić jego czynności, nie przenikać tajemnic i przez lat dziesięć nawet powszedniego w tym względzie nie dopuściła się grzechu.

Wszystko, czym nas Bosko zadziwiał, czym Herman dziś zadziwia,

138

posiadał i Pinetti z dodatkiem wesołego humoru i dowcipu, który mu dostarczał konceptu do różnych niespodzianek, krotoczwil, umięających w najwyższym stopniu zaostrzyć ciekawość publiczności.

Nim gdzie przyjechał, już o nim krążyły jakieś wieści nadzwyczajną drogą w obieg puszczone, a które przechodząc z ust do ust, olbrzymiały. I tak w r. 1807 pod wiosnę zagadano o Pinettim na Wołyniu, Ukrainie i Podolu. W Petersburgu jakoby lud niezmiernymi tłumami zbierał się na widowiska sztuk jego i ostatni grosz na nie wydawał. Policja kazała mu opuścić miasto - i opuścił je wyjeżdżając o godzinie dwunastej z rana od razu wszystkimi bramami.

W Wiedniu zaszedłszy Pinetti do najpierwszego magazynu sukien zapotrzebował granatowego sukna. Rozstąp się, ziemio, ani jednego granatowego postawu! Idzie do drugiego magazynu - toż samo, do

trzeciego - toż samo. Co to jest, całe miasto w podziwieniu, gdzie granatowe sukna się podziały? Ktoś poznał Pinettiego, a więc nie czyja, tylko jego sztuka. Zaczęto go prosić, a wszystkie sukna granatowe znalazły się na swych miejscach.

Raz zajechał na nocleg do pewnej austerii, konie udało się jakoś pomieścić, a stancji ani jednej wolnej, wszystkie zajęli bogaci kupcy jadący do Lipska na jarmark; na próżno tu i ówdzie się wpraszał, wszędzie mu dobitnie odpowiedziano, że miejsca nie ma, wreszcie wymodlił sobie kąteczek, ale tak ciasny i mały, że chyba by stojąc przenocował. - Nie trzeba mi więcej miejsca - odpowiedział i kazał swemu służącemu w ścianę wbijać kruki żelazne. Na ten stuk wszyscy lokatorowie się zbiegli; popróbował Pinetti kruków, czy mocno osadzone, potem kazał służącemu, aby mu jedną rękę odkręcił: służący zaraz rękę odkręcił, wziął ją na sznurek i zawiesił na haku; toż samo zrobił z drugą; potem z prawą nogą; nim z lewą operacja się skończyła, już ni jednego kupca nie było. I w izbie zupełnie wolnej Pinetti wybrał sobie co najlepsze łóżko i rozlokował się w nim wygodnie.

139

W Dubnie na ulicy spotkał chłopca roznoszącego pierożki. Kupił jednego, rozłamał go i wyjął z niego dukata; kupił drugiego i znów znalazł dukata; trzeciego - toż samo. Chłopiec to widząc w płacz i zacznie wołać:

- Moja matka miesząc ciasto rozsypała te dukaty, niech pan mi je odda.

- O nie, mój kochanku - odpowiedział Pinetti - nic z tego nie będzie, sprzedałeś mi pierożki, dukaty moje. Daj no mi ich więcej.

- Nie chcę! - krzyczy chłopiec i bieży za pierwszy węgiel domu, i dawaj łamać pierożki; wszystkie przełamał i nie znalazł ani jednego dukata, więc znowu w płacz i do Pinettiego: - Matka moja będzie mnie biła z łaski pańskiej. Na co mi pan pokazywałeś te dukaty? a znalazłeś - to trzeba je było sobie schować.

Pinetti nabawiwszy się do woli zapłacił chłopcu za wszystkie pierożki.

Zawierucha zmusiła Pinettiego na Polesiu do zajechania do pierwszej karczmy. Jedyne suche i ciepłe miejsce było tylko za piecem; ale tam już się rozlokował jakiś chłop, widno, że bogaty, bo w dobrym kożuchu i ogromnych aż do kolan butach. Pinetti przeziębły prosi, aby mu pozwolił choć chwilkę ogrzać się. Chłop ani chce słyszeć. Pinetti rozgniewany powiada swoje nazwisko i że mu robi taką sztukę, że cały wiek go pamiętać będzie. Chłop drwiąc odpowie: - To ty s z t u k a r, a czemuż nie wysztukujesz tak, aby tobie ciepło było? - Otóż wysztukuję, ale mnie popamiętasz. - Zobaczymy, zobaczymy. - I tu zaczęła się w karczmie woda wzbierać, przewracać kłębami: nie upłynęło pięć minut, już sięga przypiecka; jeszcze pięć, a już pieca dochodzi. - A co - woła Pinetti - strach! - Nie bardzo - chłop odpowiada. - Zaleję cię wodą. - Nie zalejesz, bo ja pływać umie - i rzucił się w mniemaną wodę, i rozbił sobie nos o ziemię, aż krew pociekła. Żyd arendarz ze swymi bachorami w śmiech. Pinetti wskoczył za piec, a chłop krew ocierając

rękawem wyszedł z chaty przeklinając s z t u k a r a .

Przed samą Wielkanocą tegoż roku, pierwszych dni kwietnia, przyjechał Pinetti z żoną i dziećmi do Berdyczowa w zamiarze przebawienia tu do Onufryjskiego jarmarku. Zajął dom na ulicy Białopolskiej, niedaleko fary; nazajutrz z rana kazał sobie przywołać cyrulika, aby go ogolił. Przychodzi Żydek i żwawo się do dzieła bierze; ogolił prawą pół twarzy i brody, zaczyna lewą golić, wtem rzuci okiem: Co u licha? prawa strona nie ogolona; nie wierzy sobie, mydli powtórnie i goli; ogolił, patrzy - aż lewa nie ogolona. Pinetti krzyczy: - Czemu nie golisz? - Żyd załęczniony odpowiada: - Coś jegomości strasznie prędko broda odrasta. - Pinetti pociągnął ręką po twarzy i mówi: - A prawda, ogoliłeś, dziękuję ci. - Żyd przypatruje się i widzi, że twarz ogolona, jak należy. - Teraz - mówi Pinetti - ogol mi całą głowę. - Żydek pociąga brzytwę na pasku i przybiera się do dzieła, aż nie ma głowy, siedzi tylko tułów; więc w gwałt i w nogi na ulicę. Pinetti za nim: - Stój, Żydku - woła - czekaj, niech ci zapłacę. - Żyd nie obzierając się krzyczy: - gwałtu! - policja go zatrzymuje, Pinetti zachodzi mu w oczy i pyta, czego i gdzie uciekał?

Z tego zdarzenia dowiedział się Berdyczów o przybyciu Pinettiego, z tego zdarzenia dowiedział się o nim i ówczesny dziedzic Berdyczowa, książę Mateusz Radziwiłł, i zaprosił go z rodziną na wielkanocne święta do siebie. Pierwszego dnia Wielkiejnocy nikt nie śmiał Pinettiego zaczepić, ale nazajutrz po śniadaniu zaczęły go damy prosić, aby po-

kazał jakąś sztukę. Tłumaczył się, że nie jest przygotowany, wtem podano mu kielich ze zdrowiem dam; przyjął go, ale w miejsce podniesienia do ust, bryznął nim na damy; krzyknęły z przestachu i ujrzały się okryte najpiękniejszymi kwiatami.

Nowe poszły zdrowia i nowa kolej kielicha, i ksiązę koniecznie domagał się jeszcze jakiejś sztuki. Pinetti po długich prośbach

141

powiedział: - Mógłbym jedną pokazać, ale będzie trochę niegrzeczna, możesz się, ksiązę, obrazić. - Broń Boże, byle tylko była zabawna. - Ej, ksiązę! - Ależ nie rób ceremonii i dawaj sztukę. - I wtem stojąc ksiązę na środku salonu poczuł, że z niego dolne opada odzienie, więc w krzyk, damy w nogi, mężczyźni w śmiech, Pinetti bieży za damami prosząc, aby się zatrzymały, aby się obejrzały - i cóż? ksiązę, jak stał, tak najprzystojniej stoi na środku salonu sam sobie się dziwując, dlaczego tyle wrzawy narobił.

Te i tym podobne powieści roznosili po dworach pańskich i dworach szlacheckich posyłani do Berdyczowa w różnych interesach arendarze, oficjaliści, rezydenci, a każdy ze swym przydatkiem. Na jarmark Onufryjski zaczęła się wybierać szlachta całymi domami.

I Pinetti na Św. Onufry nie żartem się przygotowywał; duży dom, który najął, po swojemu przerobił i urządził; w jednej połowie z rodziną się mieścił, druga była szczelnie zamknięta, okna pozabijane. Lud w dzień poglądał z ciekawością na ten przybytek niepojętego człowieka; w nocy lękał się doń zbliżyć, a nawet spojrzeć, bo pewny był, że

tam zły duch przebywa; oskarżał księży, że sami farmazoni, kiedy cierpią, aby taki człowiek w środku miasta żył sobie spokojnie. Tak było wieczorem i w nocy, ale w dzień znowu zaczęto do domu się przybliżać, zaglądać i różne sobie zabawne historyjki o Pinettim opowiadać, a jeśli on sam się pokazał, radzi byli z nim choć kilka słów pomówić.

### III

Już tylko dwie niedziele do Onufryjskiego jarmarku, Pinetti cały dzień prócz domowych nikomu nie widziany; w nocy się zamyka w swym gabinecie i wówczas nie tylko nikt z „domowych, ale nawet

142

ani żona, ani dzieci nie mają doń wstępu. Co on tam robi? któż odgadnie?

Dzień był pochmurny, wietrzny, chwilami deszcz padał, pod wieczór tym bardziej sposepniało, deszcz i wiatr gwałtowniejszy. Dzieci się pospały, żona Pinettiego także usnęła; jedna tylko dziewczka Daria coś nie mogła usnąć, jakiś strach ją brał. Służyła ona za młodu u czer- nic w Moskwie i wyuczyła się nieprzemówionych pacierzy; usiadłszy sobie na łóżku przy najmłodszej Pinettiego córeczce, cichutko modliła się. Daria była poddanką jakiegoś pomieszczyka, który zgrawszy się w karty, przegrał ją za dwieście rubli asygnatami według ówczesnego obyczaju pierwszemu, co się nadarzył; tym pierwszym była to Amelia, tylko co zamieszkała w Moskwie, a potrzebująca sługi. Amelia była łagodna, szlachetna, a Daria miała serce poczciwe, wierne, przystały

więc do siebie. Dzieci Amelii były Darii dziećmi, wzrastały one na jej rękę, kochały J3 prawie tyle co matkę. Amelia umiała po rusku, rozmawiała zawsze z Darią w jej ojczystym języku. Pinetti zaś nie znając tego języka rzadko się kiedy do niej odzywał. Daria względem swego pana była prawie obcą, nie rozumiała go i nie lubiła, a i on ją cierpiał tylko przez wzgląd na żonę i dzieci. Daria nazywała Pinettiego niemym Niemcem, a on ją drabem, straszidłem na wróble nazywał.

Pinetti nie spostrzegł, że zamknął kota w swym gabinecie; koło północy kot zaczął miauczeć. Pinetti otworzył drzwi, aby sobie kot wyszedł, ale on skrył się pod szafę, trzeba było zostawić mu wolną wolę i drzwi otwarte.

Daria długo się modląc posłyszała jakieś szastanie się i rozmowy w gabinecie Pinettiego; przeżegnawszy się, cichutko ku drzwiom się zbliżyła i przez szparę, co też tam się dzieje, patrzała. Pinetti siedział w swym fotelu, a przy nim stała młoda, dziwnie piękna kobieta; Pinetti trzymał ją za rękę, a ona skłoniwszy głowę ku ziemi coś półgłosem mówiła.

143

Daria zakipiała gniewem: Jak to? ten stary Niemiec mając żonę tak śliczną i młodą, co go tak bardzo kocha, co mu przyniosła takich trzech aniołków, i on śmie wdawać się z drugą kobietą! Więc co tchu zwróciła się ku Amelii, rozbudziła ją wzywając, by co żywo szła do męża. Amelia ze snu zbudzona porwała się z pościeli, a przez szczelinę ujrzawszy męża rozmawiającego z jakąś kobietą, trąciła drzwi i wpa-



dła do gabinetu.

Rozległo się głębokie westchnienie; Amelia stanęła przed mężem, który siedząc w swym fotelu trzymał w ręku różę białą, a przed nim na stoliku stał piękny jego i żony portret malowany w dniu ich ślubu.

Amelia, pomieszana, drżąca, chwytając Pinettiego za rękę pytała: -

Gdzie ona? gdzie... ona?... Pinetti! była tu?... byliście oboje tu - i upadła z płaczem na piersi męża.

- Moja Amelio - odpowiedział czule Pinetti - ona przy moich piersiach, przy moim sercu, obejrzyj się, wszak to nasz portret... a to zwierciadło dobrze ci znane... Duszo moja! po co tyle niepokoju, po coś tutaj o tej porze?

Amelia zsunęła się Pinettiemu do nóg, on ją podjął i uspokajając, żartując z niej odprowadził do sypialni.

Daria żegnając się i szeptając długo stała na środku gabinetu, wreszcie odeszła do swego kąta.

Amelia zasnąć nie mogła. Pinetti zasnął, ale sen jego był bardzo niespokojny; wzdychał, płakał i przez sen gadał: - Zasłona zerwana, pasmo życia nadcięte... Duszo moja, po coś o tej porze?... siedem dni tylko... ani godziny, ani minuty więcej, i przez siedem dni gorzeć w ogniu, aż spali mnie na węgiel... Czy wyżywisz pisklęta moje, Panie, czy wyrzucisz je jak śmiecie niepotrzebne w domu Twoim? Ty znasz, Panie, serce moje, ty znasz, Panie, rękę moją, z ciebie brałem i dawałem w imię Twoje. Ach! ulituj się nad moimi dziećmi, o Panie!

- Co ci, mój mężu? - zawołała Amelia budząc Pinettiego.

- Nic, moja droga - odpowiedział - miałem sen ciężki. - I ucałował krzyż z relikwiami, który zawsze na swych piersiach nosił, i znów usnął.

Pinetti wstał rano i był wesoły czy udawał wesołego; usiadł sobie na galerii przed domem i rozmawiał z przechodzącymi. Szewc przyniósł mu buty, wzuł jednego na prawą nogę i rzekł: - Coś ciasny, gniecie mnie na podbiciu, rozbij go. - Szewc ściągał. - Ach, prawda, że ciasny, ściągnąć się nie daje. - Ciągnij mocniej - rzecze Pinetti - jeszcze mocniej. - Pociągnął szewc z całej siły i upadł, z butem? gdzie tam! z odebraną nogą! Z przestachu Żyd schwytuje się, ucieka, Pinetti za nim bieże i woła: - Żydku, stój! czego ty uciekasz? - Żydek się obejrzy, a oto Pinetti, a nogi jego zdrowe i obute.

Całe miasto znów zagadało, tłumy ludu podchodziły do mieszkania Pinettiego, aby go zobaczyć, aby się dowiedzieć o dniu przedstawień jego sztuk. Wszedł on do swego gabinetu i ujrzał zwiędłą białą swą różę leżącą na podłodze; jakby śmiertelnie raniony, jęknął żałośnie i w tejże chwili uczuł ból w prawej nodze i zaraz zmuszony był w łóżku się położyć. Do wieczora ból się zwiększył, wezwanych czterech z miasta najlepszych lekarzy ani przeniknąć, co by to było, ani przynieść najmniejszej ulgi mu nie mogli.

Przeszła noc w męczarniach, nazajutrz zdecydowało konsylium medyków, że gangrena nastąpić może.

Pinetti chcąc żonę uspokoić pokonywał boleści potęgą swej silnej

woli i o ile mógł. panował nad nimi.

Amelia przeczuła, co mąż cierpi, przypomniała sobie, co przez sen mówił, przypomniała swoją przysięgę, że jego tajemnic zgłębiać nie będzie, i uczuła miecze przenikające jej serce; cóż, kiedy okazały się wyraźne znaki gangreny, załamała ręce, upadła, do nóg mężowi i sko-  
nała.

Któż wypowie męczarnie nieszczęśliwego Pinettiego, zwłaszcza

145

kiedy usłyszał płacz dzieci „gdzie mama?” wołających!

Trupa Amelii wyniesiono naprzeciw do przygotowanego nie na to teatru. Dzieci litościwi sąsiedzi zabrali, a on z wolna gorzał, trawiony gangreną, która się coraz szerzyła.

Radzono amputację nogi, ale nie zgodził się na nią.

Prosił o kapłana i przyszedł z pomocą świętych sakramentów szanowny kapłan ze zgromadzenia oo. karmelitów, ksiądz Nepomucen Romański, i Pinetti odbył najprzykładniejszą spowiedź z całego życia; i siódmego dnia swej choroby rozstał się z tym światem.

Kilkakrotnie przyprowadzano mu dzieci, które błogosławił, pieścił; zdawało się, że boleści wstrzymywały się na chwilę, ale kiedy je uczuł znowu powracające, odsyłał dzieci i ryczał. Lud tłumnie obiegał dom Pinettiego i z przerażeniem przysłuchiwał się temu, co się tam działo; on, widząc w Pinettim jakąś nadzwyczajną istotę, nie mógł pojąć, dlaczego cierpiał i umierał jak każdy człowiek.

Dwie trumny wyszły z jednego domu: jedną poniesiono na cmen-

tarz ewangelicki, była to trumna Amelii; drugą na katolicki, była to trumna Pinettiego.

Trzy córeczki, z których najstarsza miała skończony rok czwarty, i dziewczkę Darię wziął do siebie policmajster berdyczowski i utrzymywał u siebie kilka miesięcy, póki nie nadszedł z Moskwy Fuchs i nie zabrał je z sobą.

Całą pozostałością po Pinettim był kocz 1 duży, już przejeżdżony, parę pak z odzieniem i bielizną, parę pudeł z narzędziami mechanicznymi i sto dukatów w złocie.

k o c z - półkryty powóz czterokonny, zawieszony na łańcuchach lub pasach, zaprzęgany najczęściej w dwa albo cztery konie

146

W teatrze, który sobie do swych sztuk był przygotował, pokazało się, że niektóre ściany były szpagatem zasnutę.

Pinetti był rodem z Neapolu, nadzwyczajna zręczność, przytomność umysłu, dowcip i siła były jego czarodziejskimi potęgami.

Dotąd w Berdyczowie żyje szanowny kapłan, były prowincjał księży karmelitów, ksiądz Nepomucen Romański, który Pinettiego na śmierć przygotowywał, i ten oddaje sprawiedliwość jego rozumowi i szlachetnemu sercu.

Ledwie upłynęło czterdzieści kilka lat od śmierci tego człowieka, tak niegdyś sławnego, że imię jego stało się nawet u ludu popularnym, a już uczeni zaczęli powątpiewać o jego egzystencji, a jego sztuki, których pamięć tradycja dotąd zachowuje, podawać do zmyślań gminu;

jednakże żyją jeszcze ludzie, co na nie patrzyli, jak pastor ewangelicki w Niemirowie, Braumiller, jak wspomniany wyżej ksiądz Romański.

*Karol Libelt*

## GRA W SZACHY

Noc ciemna rozpostarła się na Zatoce Neapolitańskiej, po której inną porą tak mile oko błądzi i pasie się widokiem pięknego, czystego nieba i piękniejszej jeszcze okolicy. Zawyły wichry wśród grzmotów i piorunów, a bałwany morza piętrzyły się wysoko. Wśród tych zburzonych fal widać było mały statek rybacki zwany „Speronara”, który walczył z gwałtownością żywiołów, a jak się zdawało, staczał zarazem walkę o śmierć lub życie. Maszt, zgruchotany już dawno, kawałkami po bałwanach pływał, a statek na podobieństwo czarnej skorupy unosił się ku brzegom. Trzech żeglarzy z załamanymi rękami, z wyrazem rozpaczki na twarzy stało w milczeniu na pokładzie, czwarty zaś, człowiek już w podeszłym wieku, kierował jeszcze sterem i ostatnimi siłami wyęczeniem ratował statek od zguby; u nóg jego tuliło się dwoje dzieci, chłopiec czarnego włosa liczący około lat dwunastu i siostrzyczka jego o kilka lat młodsza. Oboje płakali rzewnie, ale płacz ich dziki orkan zagłuszał, a łzy mieszały się z spienioną wodą, która ich zalewała. Nagle trzasnęło coś straszliwie, zgruchotany ster statku ostatnią sterownikowi odebrał nadzieję. Wysokie i strome skały brzegu, o które się z

hukiem spienione bałwany rozbijały, odległe jeszcze były o jakie tysiąc kroków. „Speronara” w tę stronę wichrem pędzona szła na pewną zgubę.

- Dzieci, uklęknijcie, módlcie się do Boga - zawołał w rozpaczycie ojciec, a gdy one w tej chwili przestraszone pokłękły, położył ręce swoje na nie i polecając Bogu te drogie sercu swojemu istoty spojrzął w niebo, skąd dla nich ratunku wzywał.

- Ojczy, więc musimy umierać? - zapytało dziewczę ze łkaniem.

- Ja nie chcę jeszcze umierać! - zawołał chłopiec.

Ojciec tymczasem postąpił parę kroków na pokładzie, oderwał ławkę, stąpnął na nią jedną nogą i rozłamał na dwoje. Wziął potem dwa postronki, przywiązał dzieci do tych kawałków deski.

- Gdy statek się rozbije, trzymajcie głowy do góry, a gdy poczujecie pod sobą mieliznę, rozwiążcie węzeł postronka.

- Więc tak się uratujemy, ojczy? - zawołały dzieci.

- Być może - odrzekł ojciec ponuro.

- A ty, ojczy?

- Bóg wie - odpowiedział.

W tej chwili wir morski porwał statek, uderzył nim o skałę, a już z całej „Speronary” tylko rozgruchotane rozbitki unosiły się w bałwanach.

\*

Na trzy mile od Syrakuz wśród ruin starego amfiteatru rzymskiego

stał domek odosobniony, do którego wiodła zaledwie widzialna ścieżka, wijąca się pomiędzy gruzami i bujnymi zaroślami. Mało kto tędy uczęszczał i nikt by nie myślał, że dom ten odłogiem leżący przez ludzi jest zamieszkały, gdyby nie było widać pod murem kilku stojących sprzętów i ławki pod samotnym pomarańczowym drzewem ustawionej. W całej tej okolicy tak pięknej i czarownej, która się ponad brzegami Sycylii ku morzu rozkładała, zdawało się, że to jedno miejsce

149

stanowiło wyjątek. Wysokie ruiny sterczały naokół i tylko gdzieniegdzie przez szczeliny odsłaniał się widok na niebieskie morze. Wszędzie były ślady zniszczenia, wszędzie cicha samotność i głucho milczenie, rzadko kiedy ludzka stopa zabłąkała się w to miejsce, bo i okolica mało w tej stronie była ludna, i tylko biedni zamieszkiwali ją rybacy.

Wiedzieli oni, że w tym samotnym domku mieszkał jakiś lekarz, którego nazwiska nie znając, nazywali go tylko „il dottore”, i nawiedzali go, gdy który z nich zachorował i lekarskiej żądał pomocy. Choć każdy ją natychmiast i bezpłatnie odbierał, a nawet w lekarstwa został zaopatrzony, nie udawano się przecież do niego, chyba w największym niebezpieczeństwie: tak dalece odstraszała jego powierzchowność, jego wzrok ponury i surowy i jego pustelnicze życie. Nie widziano go nigdy w towarzystwie drugiej osoby, ile razy przechadzał się nad urwiskiem morskiego brzegu i zbierał rośliny i kamienie. Gdy spostrzegł w pobliżu kogoś z żyjących, zwracał natychmiast kroki swoje w przeciwną stronę, aby się z nim nie spotkać.

Z owym doktorem w tym domu mieszkała jego gospodyni, która kupując niejedno od rybaków, zostawała z nimi w bliższych stosunkach i oswajała ich z myślą, że człowiek ten, którego się bali, nie jest złym duchem ani czarnoksiężnikiem, ale tylko dziwakiem. Niekiedy nawet pomiędzy uboższych rozdawała pieniądze, dopomagała im w nędzy i w chorobie, a choć mówiła, że czyni to z polecenia pana, zakazywała przecież surowo, aby nikt się do niego nie udawał ani z podziękowaniem, ani po nowe wsparcie. Gniewne oblicze i opryskliwe słowa doktora, które już niejednego w podobnym przypadku spotkały, odstraszały wszystkich i nikt nie śmiał bezpośrednio udawać się do niego, zostawiając go w tej długiej samotności, której szukał.

W Syrakuzach, od czasu jak się nasz nieznajomy na owe pustelnicze puścił życie, różne o nim chodziły pogłoski. Jedni mówili, że pokutuje

150

za ciężkie jakieś zbrodnie; drudzy, że tam fałszywe robi pieniądze; inni jeszcze, że się diabłom zapisał i w tych ruinach co noc z nimi harce wyprawia, lecz gdy nie można mu było nic złego zarzucić i pieniądze, które wydawał, nie były fałszywe, gdy nawet podczas uroczystości świętej Rozalii, opiekunki rybaków, kosztowną lampę posłał do parafialnego kościoła i obraz tej świętej nad drzwiami domu swego zawiesił - upadły wszystkie te pogłoski i ta tylko o nim ustaliła się opinia, że to jakiś uczony fiksat.

Lubił on burze i nawałnice i najczęściej o takiej porze obierał swoje przechadzki. W czasie wyżej opisanej burzy wybrał się nad brzeg mor-



ski. Był to człowiek około lat sześćdziesięciu mający, ale jeszcze dosyć silny i włos jego mało jeszcze posiwiał. Wyraz twarzy jego był ponury, ale szlachetny; kto spojrział w żar jego oczu głęboko w czole utkwionych i na jego porane czoło, poznał w nim od razu głębokiego myśliciela. Ubiór jego był staroświecki, ale poważny. Trzymał w ręku książkę, a że ciemność dnia blade tylko słała światło, raz po raz tylko ją otwierał, a częściej poglądał na walkę żywiołów huczącą ponad morzem. Właśnie na brzeg wyrzuciła fala coś czarnego, spojrział o kilka kroków od siebie i poznał łomy rozbitego statku. - Musiał się gdzieś rozbić okręt - pomyślał - nieszczęśliwi potonęli, albo raczej szczęśliwi, bo gdzież szczęście, jeżeli nie w grobie. Kto tu, na tym morzu żywota, rozbije łódź życia o skały złudliwej nadziei, nieszczęśliwej miłości, ten godniejszy jest pożałowania.

W tych myślach postępował dalej; już się uspokoiła burza i nowe coraz szczątki rozbitych łodzi i statków dobijały do brzegu. Naraz przy uciszonym wicherze słyszy jakby skomlenie zwierzęcia ciche i słabe, jakby już ostatkiem sił życia goniące; pośpieszył w kierunku usłyszanego jęku i doszedł do dwojga dzieci przywiązanych do kawałków drzewa, z których tylko jedno jeszcze jęk żałosny wydawało. Wszedł

151

kilka kroków w wodę i wyciągnął te biedne ofiary na brzeg. Rozwiązane dziewczę miało jeszcze tyle sił i przytomności, że wskazało na chłopca i zawołało rzewnie: - To mój brat Anastazjo, ratuj go, drogi panie! - Ciało chłopca było blade i zimne, ale zdawało się, że puls nie-

zupełnie jeszcze ustał. Lekarz dobywa flaszeczki z likworem, kropli kilka wpuszcza w usta, naciera mu piersi i skronie i po jakimś czasie przywraca go do życia.

Pierwsze jego słowa, gdy oczy otworzył i ujrzał nad sobą klęczącą i płaczącą siostrę, która prędkiej była przyszła do siebie, były:

- Kamillo, gdzie ojciec?

- Poszukamy go - odrzekł starzec i wziął chłopca w ramiona swe, niosąc go do domu. Dziewczę, acz osłabione, natężyło umysł i siły i postępowało z wolna za nimi.

\*

- Jak się mają dzieci? - zapytał doktor gospodyni swojej, która do pokoju jego wchodziła.

- Lepiej się mają od nas, łaskawy panie, bo śpią spokojnie, a my już od kilku lat od spoczynku odwykli.

- Przeklęty ambaras, który mi się nie wiem skąd i po co na kark zwalił. Trzeba było, żeby się ów statek właśnie w tej stronie rozbić musiał. Ludzie ci mogli byli w każdym innym miejscu równie spokojnie utonąć.

- Nie mów pan tego, bo to bluźnierstwo; dziękujmy raczej Bogu, że nas tu zesłał na ratunek tych biednych dzieci.

- Piękne mi dzięki, chyba za to, że się nabawił kłopotu, jak się teraz tych dzieci pozbyć. Trzeba ci będzie iść, kobieto, do rybaków, pomówić i ułożyć się z nimi, żeby te dwoje dzieci wzięli do siebie. Ja dam pieniądze, ale nie chcę z nikim gadać, nikogo z tych ludzi widzieć.

- Jeżeli nie ze względu na nas, to ze względu na dzieci należy się

152

Bogu zawsze wdzięczność. Ale po cóż, panie, mamy się tych dzieci pozbywać oddając je do obcych ludzi?

- Czyś oszalała? - zawołał doktor - przecież ich nazad do morza nie wrzucimy.

- A niechże mnie wszyscy święci od takiej myśli zachowają - zawołała pobożnie gospodyni, a wpatrując się z łagodnym wyrazem twarzy w surowe oblicze pana. dodała: - Ja myślę, żebyśmy je przy nas zatrzymać i wychować mogli.

Jak gdyby kto prochu pod siedzenie mu podłożył, skoczył z niego

doktor. - Tego mi jeszcze trzeba - zawołał gniewnie - ażeby mi dzieci

nad uszami krzyczały. Skąd tobie, kobieto, taka myśl szalona! - Atoli

stara gospodyni, ujęta losem i pięknnością dzieci i rada, że kogoś będzie miała koło siebie, nie dała się odstraszyć gniewem i popędliwo-

ścią pana. Z największą cierpliwością i łagodnością znosiła jego wy-

bryki i poty mu przekładała swoje różne powody, aż coraz bardziej

słabnąć zaczęły jego zarzuty. Najwięcej tym przemówiła do jego prze-

konania, że ona, stara i słaba, długo już nie pożyje, a Kamilla mogłaby

się wyuczyć przy niej gospodarstwa, aby potem jej miejsce przy panu i

zbawcy swoim zastąpić; że chłopiec zdaje się mieć bystrość i talent, że

mógłby przy pracach, które pan dniem i nocą w laboratorium swoim

podejmował, być mu pomocny i użyteczny, że szczęściem jest oto-

czyć się takimi istotami, które go nie jako pana i dobrodzieja swojego,

ale jako tego, który im życie uratował, kochać i szanować będą. Zaręczając w końcu, że starać się o to będzie, aby mu dzieci przy jego naukach w niczym nie przeszkadzały i w niczym się nie naprzykrzały, skłoniła nareszcie starego, iż się udobruchał i pozwolił na zatrzymanie dzieci w domu.

Stara Barbara, bo to było imię gospodyni, znała słabości swojego pana. Ona była rzeczywistą panią domu, a on na jej łasce, na jej rozkazach; wszelako tak zawsze rzecz prowadziła, że podawając mu

153

pomysły swoje wmawiała w niego, jakby od niego pochodziły i jak gdyby jego, nie czyja inna wola stanowiła. Ten fortel udał się jej i tym razem przewybornie.

Barbara wywiedziała się od dzieci, skoro tylko się już uspokoiły i do zdrowia zupełnego przyszły, że ich ojciec zwał się Szyder Bovi i że statek, który posiadał, cały jego majątek stanowił.

Ponieważ matka dawno im umarła i nie mieli żadnych krewnych w Lorento, zabierał je ojciec zawsze ze sobą, ile razy do Sycylii płynął. I teraz zabrał je był ze sobą płynąc do Celonii dla wzięcia ładunku oliwy.

Wszelkie dopytywania się o ojca, które Barbara czyniła, były daremne; zdawało się, że podczas owej burzy utonął bez śladu.

Pożycie tych dzieci w domu pustelnicznym doktora nie tylko było znośne, ale i przyjemne, bo choć rzadko kiedy widziały swego wybawcę, znalazły w Barbarze prawdziwą matkę, która z niewymowną troskliwością dbała o ich rzeczy, o ich porządne i religijne wychowanie, a

widząc, jak pod jej ręką rozwijały się nadobne wdzięki tak chłopca, jak dziewczęcia, zakochała się w nich jak w własnych swoich dzieciach.

Barbara przestrzegała z największą troskliwością, ażeby się dziećmi niczym, doktorowi nie naprzykrzały. Zatrzymała je w pokoiku najodleglej od pracowni jego leżącym i spędzała z drogi, gdy pan jej wybierał się na przechadzkę. Wszelako nie obyło się bez tego, aby ich doktor nie miał kiedy spotkać. Zrazu witał je tylko skinieniem głowy, później przemawiał do nich kilka wyrazów, a nareszcie użył chłopca do posyłek. Anastazjo skupował mu i znosił z pobliskiego miasta różne proszki i tynktury i głowę sobie nieraz łamał nad tym, na co to pan jego potrzebuje.

t y n k t u r a - alkoholowa, eterowa, rzadziej wodna nalewka na substancjach roślinnych lub zwierzęcych stosowana jako lekarstwo

Nie śmiejąc zapytać go o to, na próżno badał Barbarę, by mu objaśniała. O pracowni zaś doktora, do której wchodziło się tajemnymi

154

drzwiami, tak straszliwe uczyniła dzieciom opisy, że z samego strachu nie śmiały go tam wypatrywać.

Rzeczywiście, laboratorium chemiczne umieszczone było w suterenach, a drzwi żelazne, skrzypiące, ciemność w sklepie i, mnóstwo rozmaitych retort i instrumentów na nieświadomych rzeczy przeraźliwe robiły wrażenie. Barbara raz tylko tam przez ciekawość zajrzała i tak dla niej pamiętny strach ją ogarnął, że odtąd już nigdy drzwi żelaznych nie uchylila.

Anastazjo coraz więcej podobał się doktorowi, a że ten upatrzył w nim bystrość i dowcip, zajął się nawet daniem mu nauk, między którymi młodzieńcowi najwięcej matematyka przypadła, do smaku.

Kamilla podobała sobie w gospodarstwie, była pojętna, rączna, pilna i zasłużyła sobie na przywiązanie i względy swej przewodniczki.

Tak upłynęło lat kilka, aż śmierć Barbary zmieniła tę jednostajność życia. Chroniczna słabość od dawna ją trapiła, wciąż jej śmierć z bliska stawała w oczach, aż wystąpiła naraz z całą okropnością, której i zaradcze środki lekarza i jej pana pokonać nie mogły. Dzieci uczyły się po raz drugi sierotami i rzewnie płakały nad grobem swej opiekunki, która im z czułością i z poświęceniem matkę zastępowała.

Odtąd samotność domu doktorskiego stała się daleko większą.

Zdawało się, że ze śmiercią Barbary cały dom wymarł. Stary siedział cały dzień w swoim laboratorium i rzadziej pokazywał się na przechadzce. Kamilla zajmowała się gospodarstwem, objąwszy zarząd domu z woli doktora, a Anastazjo, który już dorastał na osiemnastoletniego młodziana, z niecierpliwością wybiegał z domu, bo mu się to samotne życie sprzykrzyło. Czuł, że nie wytrzyma dłużej u dobroczyńcy swego; czuł, że na coś więcej jest przydatny niż na zakupywanie materiałów chemicznych, ale z drugiej strony nie wiedział, co i jak z sobą począć.

ale czy to bojaźń, czy brak zaufania, nigdy nie śmiał wystąpić z projektem. Godziny całe trawił nad brzegiem morskim; tam śledził oczyma żagle pływających statków i rad by mieć skrzydła, aby przebyć to morze i tam we Włoszech szukać szczęścia dla siebie.

Kamilla liczyła już lat piętnaście i była dziewicą pełną uroku i wdzięków, a oczy niejednego rybaka z okolicy zwracała już na siebie. Znano ją w okolicy, dokąd sama na zakupienie żywności chodziła.

Wszyscy ją uwielbiali, a jeden młody, przystojny rybak imieniem Gieronimo szalenie ją pokochał. Pod pozorem sprzedania pięknej jakiejś ułowionej ryby wkładał się często do domu doktora i nietrudno mu było pozyskać dla siebie wzajemność Kamilli. Lecz gdy chciał o jej rękę prosić pana albo bez jego wiedzy uprowadzić ją ze sobą, nie miała wdzięczna i przywiązana do dobroczyńcy swego dziewczyna odwagi chcieć go w starości opuścić, zwłaszcza że od niejakiego czasu mocno zapadał na zdrowiu. Tajemne przeczucie mówiło jej, że może śmierć jej opiekuna bliska. Jakżeż miała zatruwać ostatnie chwile życia jego myślą rozłączenia.

Rzeczywiście słabość doktora wzmagała się z dnia na dzień. Anastazio uważał, że rzadko schodził do laboratorium swego, że przeglądał stosy papierów, z których jedne palił, drugie układał; a dnia jednego posłał go do Syrakuz, po czym zjechała osoba sądowa, z którą doktor na kilka godzin się zamknął i, jak się zdaje, coś tajemniczego układał. Siły coraz bardziej opuszczały starca, twarz jego bladła, a oczy głęboko w głowie utonęły; siedział bez poruszenia na krześle, nie mo-

gąc już ani piórem władać, ni książką umysłu swego rozweselić. Częściej niż dawniej przywoływał do siebie dzieci i przygotowywał je na bliskie rozwiązanie życia swojego.

Upłynęło jeszcze dni kilka i zdawało się, jak gdyby się stan zdrowia nie pogarszał. Przywołane dzieci zastały go jak zwyczajnie na krześle;

156

przed nim leżały zwitki papieru i mała czarna skrzyneczka stała na stole. Była to pora wieczorna; w pokoju zaciemnionym okiennicami paląca się lampa słabe zesyłała światło.

- Kazałem was przywołać, moje dzieci – mówił słabym głosem - aby o waszej przyszłości pomówić, jutro może by już było za późno.

Na te słowa rozplakała się Kamilla i zaczęła głośno szlochać.

- Czego płaczesz - mówił dalej starzec z pewną goryczą - cieszyć się raczej powinnaś, jako ptak cieszy się i wstrząsa skrzydełkami, gdy mu się po raz pierwszy drzwi klatki otworzą; ale być może, że prawdziwa jest żalność twoja. Dlatego uspokój się, czas tobie, byś w świecie znalazła nowy świat dla siebie, a zatem w samą porę umieram.

- O panie! - zawołała dziewczyna - oby ci Bóg dał życie, a ja długie jeszcze lata chętnie zostanę przy tobie - i na nowo zalała się łzami.

Radość i zadowolenie błysnęło na twarzy starca i nigdy na nim nie widzieli takiego rozjaśnienia ponurego oblicza.

- Czy słyszeliście kiedy o doktorze Franciszku Nering z Sieny?

- O owym czarnoksiężniku? - dodał żywo Anastazjo. - Słyszałem o nim i opowiadałem nieraz mej siostrze. Zeszłego lata, gdym był w Sy-



rakuzach, jakiś improwizator z Rzymu szeroko o nim rozpowiadał ludowi: ma to być człowiek, co diabłu duszę zapisał i dlatego dziwy wytwarza. Nic dla niego łatwiejszego, jak z bobków końskich robić złoto, a siebie w lisa lub kruka zamienić.

Chciał jeszcze dalej opowiadać Anastazjo czarcie sztuczki wysławionego doktora, ale oblicze pana coraz bardziej się zasępiało, nakazał mu milczenie i rzekł:

- Jam jest Franciszek Nering, ale aby was uspokoić, wiedźcie, że umiejętność wszelka od Boga, nie od czarta pochodzi.

157

Nie dosłyszały drugiego zdania dzieci, zbladły, przestraszyły się wyznaniem i uspokoiły się dopiero wtenczas, gdy im historię życia swego opowiedział.

- Mój ojciec był lekarzem w Sienie; obok sztuki lekarskiej trudnił się chemią i naukami przyrodzonymi. Ja byłem uczniem mego ojca, a że do jego nauk dodałem sobie jeszcze matematykę, prześcignąłem wkrótce ojca i mistrza mego. Rozwiązywałem najtrudniejsze zadania z matematyki i fizyki. Nie miałem lat trzydziestu, a już sława moja napełniła Włochy. Uczni i książęta innych narodowości starali się o moją przyjaźń. Wszelako niesyty sławy, którą już sobie zjednałem, chciałem wynaleźć, czego dotąd nikt nie wynalazł, chciałem wynaleźć sposób zamienienia poślednich metali na złoto; w Rzymie założyłem swoje laboratorium, lud łatwowierny różne o mnie roznosił wieści, a ja utwierdzałem go w nich, podobając sobie w cudach, które o mnie

rozpowiadano. Lecz i osoby wysoko stojące ceniły mnie. Juliusz II, papież, rycerz i wojak, następca jego Leon X, zwolennik mód i nauk, obsypywali mnie względami swoimi. Wielki Rafael, kardynał Bibiena, Michał Anioł, Beni, Fra Bartolomeo byli przyjaciółmi moimi.

Lecz wszystkie kombinacje wynalezienia sztuki robienia złota, nad którymi mózg mój pękał, były daremne. Juzem był zwątpił i z rozpaczy chciałem trucizną to życie moje zakończyć, którym pogardzałem z braku talentu i zdolności, kiedy naraz w chwili nocnej, której nigdy nie zapomnę, myśl nowa jak błyskawica rozświetliła pole dociekań moich: - Wynalazłem, tak być musi, nie inaczej. - Rzuciłem w retortę kawał ołowiu i płyny, na które wpadłem: niewypowiedziana zdjęła mnie radość, radość, której nie ma równej w świecie, gdy ostudzony ten roztop blaskiem czystego złota w oczy mi zaświecił. Wynalazek mój z szybkością błyskawicy rozszedł się po Włoszech. Opuściłem Rzym i zwiedziłem Neapol, Florencję i Mediolan, a wszędzie moja sława mnie wyprzedzała.

158

Ale cóż z tego. Zrazu chciano przekupstwem i pochlebstwami wszelkiego rodzaju wyłudzić ode mnie tajemnicę. Gdy to nie pomogło, zaczęto mnie ścigać i prześladować; chciano użyć mąk i gwałtu, aby mnie do wyjawienia tajemnicy zmusić. Wywłączono mnie z jednego więzienia do drugiego, oskarżano o czarnoksięstwo, porywano się na tortury. W Mantui ucieczką tylko uratowałem się od śmierci.

Przeklinałem moment, w którym wynalazłem kamień mądrości. W

rozpaczy, która mnie mogła o szaleństwo przyprawić, postanowiłem ukryć się pod obcym imieniem w odludnym jakim miejscu i tu obrałem moje schronienie przysięgłszy sobie nikogo więcej tej sztuki nie uczyć, która mnie samego tak nieszczęśliwym zrobiła. Prace moje, nad którymiście mnie tutaj widzieli, były poświęcone chemii i sztuce lekarskiej. Nie szukając sławy podawałem wynalazki moje do pism publicznych pod obcym imieniem i przekonałem się, że lepiej na tej drodze pracować dla dobra ludzkości, niżeli kusić się o tworzenie kosztownego metalu, któremu Bóg sam kazał się tworzyć w ciemnych wnętrznościach ziemi, jakby pod wpływem potęg podziemnych. Przerwał opowiadanie starzec kilku kroplami eliksiru, które w usta nasączył i odżywił znowu nadwątlone siły.

- Jutro, dzieci moje, a może już tej nocy pożegnam się z życiem.

Uczyniłem więc niejaki postanowienie. Tu w tej skrzyneczce zostawiam dla was obojga dwieście cekinów. Podzielcie się nimi. Mógłbym wam krocie zostawić, ale bogactwo zrobiłoby was nieszczęśliwymi, tak jak mnie zrobiło; wszystkie sprzęty domowe do ciebie, Kamillo, należą, książki i matematyczne instrumenta będą twoją własnością, Anastazjo. Udaj się z tym do Palermo i poświęć się matematyce, do której masz zdolności. Ten oto list do opata Poeci wskaże i otworzy ci do tego drogę. Tym sposobem sądzę, że się wam najlepiej wypłacę za tyle lat waszych usług. Zniszczyłem wszystkie papiery, które tajemnicę moją zawierały, dlatego to powiadam, abyście ich na próżno nie szukali.

Skoro skonom, zanieś, Anastazjo, to pismo do Syrakuz, a przyjdą niezwłocznie służyć sądowi i zabiorą resztę biblioteki, aparaty moje chemiczne, które licznym instytutom przekazałem. Gdy umrę, a umrę na tym krześle, wstawicie mnie z tym krzesłem i w tych samych sukniach do laboratorium mego, zamkniecie je na klucz, który ty, Kamillo, weźmiesz do siebie. A teraz bądźcie zdrowi, ja potrzebuję spoczynku.

Dzieci chciały koniecznie przy nim pozostać, lecz nie pozwolił na to starzec. Przywołał wszakże raz jeszcze Kamillę do siebie i oddając jej szkaplerz powiedział do niej:

- Noś, Kamillo, ten szkaplerz na piersi twojej. Będiesz kiedyś matką i może cię spotkać bieda i nędza. Jeżeli sobie będziesz mogła powiedzieć, że nie z twojej winy zasłużyłaś na to nieszczęście, otwórz ten szkaplerz, dopomożesz sobie; gdyby jednak ten niedostatek spotkał cię z twojej winy, wtenczas nie otwieraj szkaplerza, boby ci to wyszło na zgubę twoją. Pamiętaj o tym i zachowaj u siebie w tajemnicy. Bądź zdrowa.

Nazajutrz o zwyczajnej godzinie, ale z większą ciekawością weszła Kamilla do pokoju pana. Zastała go na krześle jakby snem ujętego. Ale za zbliżeniem się, gdy ujęła jego rękę, była zimna i martwa i wyraz śmierci na całym malował się obliczu. Wszedł także Anastazjo, zrozumiał od razu siostrę i zaczęli rzewnie płakać nad umarłym. Chociaż więcej dla niego czuli bojaźni niż litości, przywykli wszakże do niego, a to, co im dobrego uczynił, stanęło im żywo przed oczyma. Na nowo

uczuli osierocenie swoje i widzieli, że im nowy krok w życie uczynić wypadnie. Myśl ta pocieszała ich poniekąd.

Anastazjo pobiegł do miasta, doniósł sądowi o śmierci lekarza i zaraz nazajutrz zjechała komisja. Stosownie do woli umarłego zostawili go na krześle, na którym umarł, i wnieśli do sklepienia, gdzie było jego laboratorium. Z hukiem zatrzasły się drzwi, które sługa sądowy

160

na klucz zamknął i takowy z rozporządzenia testatora Kamilli do rąk oddał. Zabrano wszystkie księgi i narzędzia, które zmarły instytucjom publicznym zapisał, a jego wychowańcom zapowiedziano, aby się w przeciągu trzech dni wyprowadzili. Młodzi, niedoświadczeni, nie umiejący dotąd o sobie radzić, nie wiedzieli, gdzie się podziać. Anastazjo byłby rad w świat się udał, ale mu żal było siostrę opuścić. Wyrwał ich z tego kłopotu Gieronimo, ofiarując im ubogą chatę rodziców swoich. Tam więc przenieśli się oboje z tym wszystkim, co im pan zmarły na własność przekazał. Dom zaś, w którym dotąd mieszkali, stał pustkami, zamieniony w grobowiec, od nikogo już odtąd nie nawiedzany. Rodzice Gieronima, od czasu jak się Kamilla wprowadziła do ich domu, nawykli uważać ją za przyszłą swą córkę, a okazywali jej wysoki szacunek, bo sto cekinów i rzeczy, które wniosła w ich dom jako spadek po lekarzu, wystawiały ją w oczach ubogich rybaków jako bogatą pannę. Nie stawiali więc oporu w zaślubieniu się kochanków i w kilka tygodni odbyło się wesele. Anastazjo widział się teraz wolnym od obowiązków względem siostry, które w jego miejsce przejął mąż

nad żoną, i żadne prośby już go wstrzymać nie mogły, by dłużej zostawał na miejscu, które jego żywej wyobraźni, gorącej żądzy widzenia świata tak mało odpowiadało. Zdawało mu się, że suma stu cekinów 1, c e k i n - dawna złota moneta włoska (bita początkowo w Wenecji - od XIII w), późniejszy dukat

którą mu zmarły opiekun jego przeznaczył, niewyczerpanym jest bogactwem, że za nią całe zwiedzić może Włochy i napatrzeć się różnych światów i ludzi. Kiedy sobie tę przyszłą podróż swoją w najpiękniejszych malował kolorach, korciło go, że wola jego spadkodawcy wskazywała mu wprzód Palermo, gdzie się miał udać do opata Poeci dla wykształcenia się w naukach matematycznych, a następnie dawania w nich lekcji. Nie przypadła mu do gustu. Nudnym mu się zdawało życie wśród książek spędzone, nudniejszym jeszcze wyobrażał

161

sobie przyszłego swego nauczyciela. A gdy obok tego stawiał obrazy tego wszystkiego, co go czekało w świetnych stolicach włoskich, postanowił nie słuchać rady swego dobroczyńcy i użyć lepiej młodych lat swoich i stu cekinów, które majątek jego składały.

Ułożył więc plan udania się do Syrakuz i stamtąd do Neapolu; tam chciał się oddać życiu pełnemu rozkoszy i uciech.

Nietrudne mu było pożegnanie z siostrą, choć ta się we łzach rozpływała, albowiem w duchu widział się już to na Forum Romanum, to na placu Świętego Marka w Wenecji. Siostra prosiła go, ażeby od niej coś przyjął na pamiątkę, i ofiarowała mu srebrny, pięknej roboty

puchar, z którego lekarz zwykł był zawsze pijać. Anastazemu nie podobał się ten wybór i sam jej podał myśl, aby mu raczej darowała szachy, którymi zwykł był grać z nieboszczykiem, który go różnych kombinacji szachowych był nauczył.

Siostra pobiegła po szachownicę i szachy dość misternej roboty, znajdujące się w puzderku czerwonym aksamitem wybitym. Szachownica była z hebanu i z perłowej macicy, w pięknej oprawie; z tego samego materiału były dwa rzędy figur. Oglądając je Anastazjo zajrzał do szufladki i wyciągnął z niej papier znacznymi liczbami okryty; że to było pismo jego dobroczyńcy i opiekuna, włożył je tam nazad, zachowując jako szanowną dla siebie pamiątkę. Wreszcie pożegnał siostrę.

Z tłumoczkiem zarzuconym na plecy, z lekkim sercem puścił się w drogę, kiedy siostra jego odprowadziwszy go aż do stóp góry, długo jeszcze stamtąd z żalem i łzami poglądała za nim, aż jej między skałami zupełnie znikł z oczu.

Przybywszy do Syrakuz, zrzucił z siebie rybackie odzienie, a przysposobił sobie strój kawalerski z ciemnego aksamitu, czapki z piórem i szpady u boku - nie chcąc w Neapolu uchodzić za biednego rybaka, ale, ufny w swoje cekiny, od razu wystąpić na wielkim świecie. Jakoż gdy zbliżył się w nowym stroju swoim do właściciela trabakoli 1, która

t r a b a c o l a - bryg, statek dwumasztowy

właśnie z portu odpływała, po raz pierwszy usłyszał pełno tych grzeczności, którymi ludzie wyższym od siebie często z upodleniem własnym

szafują, ale za to sowicie za nie każą sobie płacić. I nasz Anastazjo zapłacił za przewóz do Neapolu dwa razy tyle, ile byłby jako prosty rybak zapłacił.

Podróż odbyła się szybko i szczęśliwie. Serce biło silnie w, piersi młodzieńca, gdy przy wschodzie słońca ujrzał wspaniały widok morza, gdy przed oczyma jego jakby spod fal morskich wydobywały się po kolei wyspy: Capri, Ischia, Procida; gdy wreszcie rozwinął się pyszny widok Neapolu i statek zawinął do portu pełnego statków, okrętów, ludzi i życia. Nie mógł się dosyć napatrzeć, nacieszyć wszystkiemu i pełnymi piersiami chłonął w siebie to wszystko, co mu ciekawość i żądza rozkoszy nastręczały.

Już była sumka jego o jedną trzecią się zmniejszyła i po raz pierwszy przekonał się o jej szczupłości. Poznał, że złoto na świecie kluczem do wszystkiego, i posadził o dziwactwo zmarłego opiekuna, który sztukę robienia złota nieszczęściem nazwał i zamiast jego samego nią obdarzyć, sto mu tylko wyznaczył cekinów.

Pierwszy raz w życiu puścił młodzian wodze podobnym myślom, gdy nagle jak wryty stanął przed dwoma osobami. Jedna z nich - starzec czarno ubrany, z zarzuconym szkarłatnym płaszczem, z posiwiałym włosom, miał w rysach swych dumę, wejrzenie niemiłe i przenikliwe, coś podobnego w oku do Franciszka Nering. Anastazjo nie byłby tak uderzony tym widokiem, gdyby nie ujrzał damy obok starca, tak pięknej, tak uroczej, jak żadnej dotąd nie widział. Była to dziewczyna osiemnastoletnia. Na ciemnych puklach włosów zawisł kapelusik



z piórami. Bieluteńką szyję osłaniał wysoki kołnierż, spod którego zwiesział się łańcuch złoty z medalionem na piersi. Krój sukni hiszpański,

163

jak wówczas moda wymagała.

Anastazjo na ten widok jakby wzrok utracił. Zdawało mu się, że spojrzął w słońce i promień jego wnikł mu głęboko w serce. Nie wiedząc, co robi, porwał za biret i nisko ukłonił się obojgu; stary z lekka i z zadziwieniem się odklonił, dziewczica splonęła i z pewną obawą i miłym wdziękiem mu podziękowała. Młodzieniec oniemiał. Po chwili namysłu postanowił dowiedzieć się, gdzie ona mieszka, kto jej towarzysz. Nieznajomych tłum ludzi zakrył, raz po raz jeszcze pokazało się pióro damy, aż na zakręcie z oczu mu znikło. Anastazjo biegł szybkim krokiem, ale na próżno.

Młodzian czternaście dni bawił w Neapolu. Cały czas prawie przepędzał na miejscu, gdzie ujrzał dziewczycę, która coś niewygasłego w nim pozostawiła. Spodziewał się przynajmniej raz jeden jeszcze ją ujrzeć. Na próżno! Przebiegał ulice, przystań, place, każde piórko na okrągłym kapelusiku wabiło go, ale wszystko na próżno, nie mógł ujrzeć swej pięknej. Sprzykrzył mu się wreszcie Neapol. Doktor, będąc w dobrym humorze, zawsze mu powiadał, że rzymianki są najpiękniejsze. Któż mógł być w Neapolu, jeżeli nie najpiękniejsza z pięknych rzymianek!

Nazajutrz już szedł drugą do odwiecznego miasta.

Doktor Nering wychowańcom swym najwięcej opowiadał o Rzy-

mie, gdzie długo bawił: Anastazjo dlatego znajdował się tutaj jak na rodzinnej ziemi. Oglądał wszystkie osobliwości starego i nowego Rzymu, najbardziej atoli był ciekawy, czy obaczy swą piękną nieznaną. Na próżno! Z boleścią nikła jego nadzieja, ale obraz tak pięknej dziewczicy nie zbladł w jego oczach, szczególniejsza jednak okoliczność na chwilę usunęła ją z jego pamięci. Inna osoba zajęła na chwilę całą myśl jego.

Nie była to jedna z tych dawnych roślących rzymianek, co połyskują lśniącym Włosem, pełną zadziwiają piersią, ale była to maleńka, łysa, koślawa figurka, w której byś na próżno szukał potomka dawnych

164

Scypionów, Horacjuszów i Kurcjuszów, był to, jednym słowem, gospodarz oberży, w której od trzech tygodni bawił nasz młodzian. Stało się to w następujący sposób. Skoro tylko przybył Anastazjo do Rzymu, pytał się o najlepszą locandę 1, wskazano mu ją u Mikołaja Pescatini, z tym jednak ostrzeżeniem, że nadzwyczaj droga. Lecz to dla młodego było raczej ponętą aniżeli postrachem. - Co drogie, to i dobre! - mówił sobie, za taką też poczytywano locandę „Pod Rybą”.

*l o c a n d a* (włos.) - zajazd

Mnóstwo młodych rzymian, co mieli pieniądze do tracenia, bawiło co dzień u niego; Anastazjo tyle tam znajomości pozawierał, tyle tam w paszczy rybiej znalazł przyjaciół, że czuł wdzięczność dla człowieka, który mu tę locandę pokazał. Anastazjo, często proszony na zabawy w dalekie lub bliskie okolice, czuł się obowiązany do wywiązania się

przyjaciołom za pamięć i zaprosił ich na ucztę, którą signor Pescatini jak najlepiej urządził. Nazajutrz, za ledwie Anastazjo z łoża powstał, już gospodarz wśród grzeczności i ukłonów wśliznął się do jego komnaty i przeproszał, że tak rano go przebudza. Rzekł: - Szanowny signor przebaczy, że przychodzę tu z małym interesikiem. Od dawnych czasów jest zwyczaj „Pod Rybą” podawać rachuneczek zwyczajnym gościom co dni osiem, z wyższych zaś stanów co cztery tygodnie. Owóż czynię dziś to samo i dlatego osobiście przychodzę przeprosić za ten zwyczaj uświęcony. - Anastazjo wybawił go z kłopotu i prosił o podanie rachunku bez żadnych skrupułów. Po śniadaniu rzucił młodzian okiem na rachunek, wynosił on okrągłą sumkę pięćdziesięciu cekinów.

Anastazjo przeraził się i przypomniał sobie, że to właśnie połowa pieniędzy ze spuścizny po doktorze. Wprawdzie podróż do Syrakuz i Neapolu także kosztowała, atoli sądził, że mu pieniądze wystarczą. Zagląda do woreczka, aż tu tylko - czterdzieści i dziewięć cekinów.

165

Tego się nigdy nie spodziewał! Zdawało mu się, że się przerachował. Liczy i liczy, ale przy czterdziestu dziewięciu pozostało cekinach. Zbladł jak trup, w oczach zaćmiło mu się. Złoto, stół, izba, wszystko tańczyło przed nim. Głośno westchnął i rzucił się na krzesło z płaczem. Kiedy cokolwiek przyszedł do siebie, zaczął myśleć, co tu począć. Rzym opuścić, ani na chwilę nie ulegało wątpliwości. Ale czy z cekinami, czy bez nich? to pytanie. - Nie! - przemówiła w nim jaźń

lepsza. - Raczej żebrak aniżeli oszust! - Ale co począć bez pieniędzy w drodze, między obcymi? - O, doktorze, doktorze! - zawołał - bardzo się omylił! złoto wówczas jest nieszczęściem, kiedy go za mało posiadamy.

Bądź jak bądź, *error in calculo* 1 oczywisty, a trudno było naprawić z Franciszkiem Nering, kiedy już umarł i zabrał tajemnicę ze sobą do grobu. Tymczasem wśród westchnień myślał Anastazjo nad planem i wymyślił. Postanowił czterdzieści dziewięć cekinów zapłacić gospodarzowi, za jego pomocą sprzedać niektóre drobiazgi i z resztą ruszyć do Palermo, do starego opata, uczyć się matematyki i potem - uczyć drugich.

*error in calculo* (łac.) - błąd w rachunku

Pierwszym pytaniem było, co mu jest niepotrzebne. Matematyczne instrumenta? Niepodobna, te były potrzebne do nauki. Suknie? Stare darował, nowych nie można się pozbyć. - Odkryłem! - zawołał uradowany. - Oto szachy! Bez nich obejdem się. Ozdoby mają u ludzi wartość. Znajdę miłośnika, co da za nie z pięć lub sześć cekinów.

Rozstając się z pamiątką po doktorze raz jeszcze postanowił obejrzeć szachy i dobył je z futerału. Wtem widzi papier, którym brzeg szachownicy był obwinięty jakby dla ochrony. Lecz za bliższym przyjrzeniem przekonał się, że na nim doktor pokreślił, kilkanaście szachownic z zaznaczonymi stanowiskami gry. Nareszcie wyczytał nieczytelnie napisane zdanie ręką doktora, a brzmiało to dosłownie:

„Sposób niezawodny wygrania każdej partii w szachy”.

Przypomniawszy sobie Anastazjo, że często grywał z doktorem, a żadnej partii nie wygrał.

Acz nie miał ochoty w tej chwili do gry w szachy, jednak obudziła się w nim ciekawość. Patrzał na rozmaite ciągi ręką doktora zakreślone, które tak grę sprowadzały na jeden szczęśliwy tor, że zanim przeciwnik się spostrzegł, już był w matni. Gra była rozmaicie zakreślona na szachownicy, a chociaż zachodziła między nią różnica, trzy lub cztery zaznaczone metody zapewniały zwycięstwo wtajemniczonymu. Tajemnica tak dalece zajęła naszego młodziana, że nad nią, nie wiedząc, parę godzin przepędził. Nareszcie przypomniało mu się, że czas zaspokoić gospodarza, wziął przeto woreczek z westchnieniem, szachownicę pod ramię i zeszedł szybko do gospodarza. Nieprzyjemną mu tam była obecność dawnych swych znajomych, bo nie mógł pomówić z gospodarzem o sprzedaży szachów, dlatego licząc pieniądze zawołał z udanym zdziwieniem: - Do licha! zapomniałem jednego cekina, przyniosę go później, a teraz wam pokażę śliczne szachy, czy kto z panów ma ochotę pograć ze mną partyjkę?

- W szachy? - dodał signor Pescatini - i owszem, służę, aby się szanowny kawaler nie trudził przyniesieniem cekina, pogramy o niego.

- Potrudzi się on podwójnie - rzekł jeden z obecnych - panie Pescatini, pan jesteś wybornym graczem w szachy.

Anastazjo pomyślał sobie: - Jeden lub dwa cekiny to wszystko jedno, niech i tak będzie. - Grę rozpoczęli. Anastazjo pierwszy pociągnął

podług metody doktora, stracił kilka chłopków 1, wkrótce nadszedł ciąg stanowczy, przeciwnik wpadł w matnię i przegrał partię.

- *Per Baccho!* 2 - wołał gospodarz bijąc się po łysinie, gdy obecni  
c h ł o p k i - pionki

*P e r B a c c o!* (włos.) - Na Bachusa!

167

się śmieli. - Tak łatwo umie złapać, ale dalej, podwajam stawkę i si-  
gnor zaczynasz grę.

Anastazjo z uwagą posuwa, gra ciągnie się cokolwiek dłużej, z obu  
stron żwawość się powiększa, bito z tej i z tamtej strony, aż nareszcie

Anastazjo zawołał:

- Szach królowi!

- Mat! Jesteście mat, signor Pescatini! - zawołało kilka głosów.

- Czym zgłupiał, czym się upił! - rzekł w śmiesznej wściekłości go-  
spodarz. - Gram o sześć stawek, kawalerze!

- Dobrze! - odrzekł Anastazjo, coraz bardziej nabierając wiary do  
obrachunku doktora.

Na nowo rozpoczęła się walka. Z wielką ostrożnością posuwano, z  
uwagą natężoną chwil kilka zatrzymywano się i długo gra była wąt-  
pliwą, bo Pescatini był nie lada gracz w szachy. Lecz Anastazjo po-  
święciwszy kilka figur zadał cios śmiertelny i zawołał,:

- Szach królowi i królowej! - Jeszcze parę razy pociągniono i już

Pescatini na nowo był zamatowany.

- Ależ to przechodzi wszelkie wyobrażenie! - zawołał gospodarz bi-

jąc z wściekłością w stół. - Signor pozwoli zagrać o resztę tych dwudziestu czterech cekinów?

- Dlaczego nie, i owszem - odrzekł Anastazjo śmiało.

Gospodarz posunął złoto na środek stołu i gra się rozpoczęła. Trwała dłużej aniżeli poprzedzające. Pescatini wystrzegał się widocznie dawniejszych kombinacji, ale nie przeszło kilka minut, kiedy go Anastazjo znowu zamatował.

Obecni śmieli się serdecznie, gospodarz milcząc przechodził się po sali. Inny z obecnych siadł do gry; Anastazjo zawsze wygrywał, a wróciwszy do siebie, policzył zysk: było dziewięćdziesiąt cekinów w woreczku.

Nie mógł oka zmrużyć tej nocy. Wydobył się z biedy; upojony

168

rozkoszą siadł znowu do obliczeń doktora i tak się przejął jego metodą, że śmiało z każdym mógł się puścić w zawody.

Tak dumającego zastał gospodarz, który wszedł, do jego pokoju mając w twarzy coś tajemniczego i ciekawego.

- Szanowny signor - odezwał się on - przebaczy, że przychodzę do niego z ważną rzeczą. Tyczy się ona nas obu i zapowiada nam obustronne korzyści. Niech mi wolno naprzód zapytać, czy signor jest „podróżującym mistrzem sztuki królewskiej”?

- Wyznam, że pana nie rozumiem - odrzekł Anastazjo.

- Czy być może, w rzeczy samej, signor mnie nie rozumiesz, a to niepodobna! *Viva signor Anastazjo!* jesteś podróżującym mistrzem i

żartujesz ze mnie biedaka.

- Nie rozumiem cię, panie gospodarzu, gadasz do mnie po żydowsku albo po grecku.

- Signor miłośnikiem tej sztuki? Czy podobna, taka biegłość! Jesteś signor dzieckiem szczęścia i ja przy nim, jeżeli usłuchasz mojej rady. W tych czasach nic nie prowadzi wcześniej do sławy i bogactw jak sztuka królewska szachów. Cóż jest śpiew i inna muzyka w porównaniu z szachami, w które grają książęta i pany, ubiegając się o sławę mistrza w tej sztuce. Cesarz Karol V, Don Juan de Austria, sama nawet Świątobliwość dziś nam panujący Paweł III lubią tę grę, podziwiają i przyjmują podróżujących mistrzów tej sztuki z wielkim wyróżnieniem.

- Czy tak jest w rzeczy samej? - pytał Anastazjo zdziwiony. - Dotąd grałem w szachy tylko dla rozrywki.

- A jednak doprowadziłeś do takiego mistrzostwa! - zawołał gospodarz. - Wyśmienity gracz w szachy jest dzisiaj więcej cenionym mistrzem aniżeli wirtuozy i artyści. Cały świat chce ich poznać, ich widzieć. Książęta powołują ich na swoje dwory, grają z nimi, a uważają się za szczęśliwych, kiedy ich mistrze ogrywają. Dlatego słuchaj,

169

signor, mojej rady. Jutro ogłoszę w Rzymie, że w moim szczęśliwym domu znajduje się sławny i powszechnie znany podróżujący mistrz królewskiej gry w szachy.

- Powszechnie znany? - przerwał Anastazjo. - Mnie nikt nie zna.



- Nic to nie szkodzi! Co nie jest, to będzie - odparł gospodarz. - A

więc powszechnie znany mistrz szachów, nazwiskiem... ale jak się si-  
gnor nazywasz?

- Anastazjo. Nie przypominam sobie ojcowskiego miana, byłem  
dzieckiem, kiedy go utraciłem, zdaje mi się, że się nazywał Bovi albo  
Boi.

- Oba nazwiska brzmią źle i dwuznacznie - odrzekł gospodarz. -  
Ale możemy je zanglizować, np. Boy! Anastazjo Boy, prześlicznie się  
wymawia. Owóż jesteś pan znany angielski mistrz.

- Nic nie rozumiem po angielsku - odpowiedział Anastazjo.

- Cóż to szkodzi - zostałeś pan porwany np. przez morskich roz-  
bójników, zapomniałeś ojczystej mowy, a natomiast jako niewolnik  
nauczyłeś się po włosku. To wyśmienicie! Zaleci cię ten wypadek u  
dam, bo one lubią osobliwe przygody. Starać się musisz mówić łama-  
nym językiem, to jeszcze lepiej się uda. Ja zaś rozrzucę wieść po  
mi/iście, że zawdzięczasz pan ocalenie życia córce de ja 1 , która chciała  
z panem uciekać, ale schwyтана, na rusztowaniu życie skończyła.

dej - tytuł oficerów w dawnym tureckim wojsku Janczarskim; tytuł tureckich na-  
miestników (XV-XIX w.) w Algierii i Tunisie, wybieranych dożywotnio przez rady  
oficerów janczarskich

- Nie mogę jednak przekonać się...

- Na co się to przyda? - dodał signor Pescatini - oto napełnisz wo-  
rek pieniędzmi. Ogłosimy naprzód, że grasz signor z każdym partię,  
ale nie taniej jak po dziesięć cekinów, a kto grze będzie się chciał

przypatrywać, zapłaci pół cekina. Jest to bagatela, te pół cekina za-  
pewne signor dla mnie przeznaczysz, a ja wzajem za jego łaskawość

170

utrzymywać go będę na własny koszt w moim hotelu.

- Przystaję na to - rzekł młodzieniec z uśmiechem - ale wątpię, by  
kto płacił za przypatrywanie się.

- Nie bój się, signor, to do mnie należy. Wszędzie znajdziesz głup-  
ców, których świerzbą pieniądze i dotąd się niepokoją, dopóki grosz  
czują w kieszeni.

Długi czas jeszcze uczył gospodarz młodziana, jak ma postępować,  
a nazajutrz ogłosił w całym Rzymie, że znany powszechnie, przez ksią-  
żąt i panów uwielbiany mistrz sztuki królewskiej w szachy, sir Anasta-  
zjo Boy z Anglii, przybył do Rzymu i mieszka „Pod Rybą” na Piazza  
Navona, i chętnie gra z każdym, lecz nie niżej jak po dziesięć cekinów  
za partię. Uproszony przez wielu przyjaciół swych, Hiszpanów, Niem-  
ców, Francuzów i Anglików, będących przypadkiem w Rzymie, po-  
zwala grze swej przypatrywać się za opłaceniem pół cekina na cele do-  
broczynne; grzeczność, którą uwzględni zapewne publiczność.

Wrażenie ogromne uczyniła ta wiadomość na rzymianach, większe,  
aniżeli się mógł spodziewać nasz młodzian. Wszyscy chcieli poznać  
sławnego Anglika. Rzymscy *principes*, *contes*, prałaci wyprasza-  
li sobie Anastazego z domu do domu, aby jeno pograć z nim partię sza-  
chów; strumieniami lały się cekiny do kieszeni Anastazego.

Przed wszystkimi ubiegały się damy, aby widzieć ulubieńca młodej

dejówny, a te, które go zobaczyły, nie mogły się nachwalić rysów jego szlachetnych, płomiennych spojrzeń, ślicznych włosów, pięknych rąk, a nawet dziwnego dialektu, bo mówił rybackim narzeczem z okolic Syrakuz. Młodzian nie gniewał się odtąd na doktora Neringa, że mu nie powierzył tajemnicy robienia złota, nie mniej gospodarz był ucieśzony, bo jak „Ryba” „Rybą”, nie wpływały do jej paszczy takie strumienie złota, co teraz. Nie tylko półcekiny napełniały jego kieszenie, ale wspaniały Anastazy rozrzucał pieniądze z tą łatwością, z jaką

171

je zarabiał; nadto mnóstwo bogatych rzymian zalegało komnaty jego hotelu i sypało pieniędzmi, które wpływały w paszczę hotelowej „Ryby”.

Aczkolwiek Anastazy starał się o jak najlekkomyślniejsze wydawanie pieniędzy, jednak zawsze żył w dostatkach. Mnóstwo otrzymał także podarunków. Sam papież obdarzył go kosztownościami, bo grał na dworze Jego Świątobliwości z najlepszymi graczami dworu i sprawił jemu tym sposobem widok najprzyjemniejszy. Prawie co wieczór odbywały się na wielkiej sali „Pod Rybą” walki szachowe, a zawsze z uroczystością, bo Pescatini mawiał, że szarlataneria należy do rzemiosła. Stąd poustawiano trybuny, na których stali widzowie i utworzyli w środku pewien rodzaj areny, na której odbywała się walka przy małym stoliku. Chwilę przypatrywał się niedbale Anastazjo przybywającym, potem zbliżał się do stolika i w przekręconym narzeczu wykładał zasady gry w szachy. Opowiadał, że królewska gra w szachy wy-

naleziona została w Chinach na dwieście lat przed narodzeniem Jezusa Chrystusa, że stamtąd przeszła do Indii, potem do Persji, do Arabów, a na koniec po wojnach krzyżowych do Europy; że w mowie sanskryckiej nazywa się *schothrantsch*, po persku *szäh*, po europejsku *échecs*, *chess*, *scacco*, *xaque*, szachy i Bóg wie jak, uczoność głęboka, której nabył od jakiegoś księdza za dziesięć cekinów. Panów to bardzo zbudowało, damy się rozpływały i wszyscy uważali, że wiadomości prawie za darmo nabyli.

Pewnego wieczoru, otoczony widzami, Anastazjo walcząc z najbiegłym mistrzem z Florencji, który po to jedynie przybył do Rzymu, aby pograć z wysławianym młodzieńcem, pojrzał po kole dam, które pierwszy rząd obok niego zasiadły. I co zobaczył? Piękną nieznajomą z Neapolu przy boku starego pana, tak samo jak przy pierwszym spotkaniu. Zaledwie tylko mógł zebrać przytomność, aby grę jako tako utrzymać, jego pomieszenie jeszcze więcej się wzmogło, kiedy spostrzegł, że oczy pięknej

172

spoczęły na nim nieporuszone. Długo walka była wątpliwą, florentyńczyk odkrył się, Anastazjo pociągnął i zamatował przeciwnika. Wtem starzec szepnął coś do pięknej dziewczicy, wyszli natychmiast ze sali, ale nieznajoma raz jeszcze na progu obróciła swe oczy na młodzieńca.

- Nie, niepodobna po raz drugi stracić ją z oczu! - rzekł do siebie

Anastazjo, powstał nagle od stolika, a wymawiając się słabością, szybko wybiegł za nimi. Nieznajomi już byli dom opuścili, ale na zapytanie wskazali mu stojący na ulicy drogę, kędy poszli. Z szybkością wiatru

biegł za nimi. Postanowił dowiedzieć się o ich mieszkaniu, nazwisku. Tak stanął na wniścium do Corso. Tu ujrzał nieznajomych, jak skierowali swe kroki w małą ulicę. Biegł za nimi, wtem nagle potężne dłonie pochwyciły go za kark. - Stój albo zginiesz! - rzekł do niego jakiś głos po cichu, gdy tymczasem drugi człowiek obierał go z pieniędzy. Anastazjo, młody, silny, odważny, bronił się gwałtownie. Już wyrwał się z rąk przeciwnika, kiedy na wołanie o pomoc otrzymał dwa razy sztyletem i padł bez zmysłów na ziemię.

Przyszedłszy znowu do siebie ujrzał się na swoim pomieszkaniu „Pod Rybą” i signor Pescatini ronił łzy radości na widok gościa ukochanego, że wracał do przytomności i zapewniał mu dalsze korzyści. Po zbadaniu ran okazało się, że nie były śmiertelne, ale jednak tak głębokie, że parę tygodni przykujał go do łóżka. Cały miesiąc upłynął, zanim powstał o własnych siłach. Trudno było odkryć i zbójców, i piękną nieznajomą, mimo pracy, jaką sobie zadawał Pescatini. Tyle tylko dowiedział się, że była córką pewnego weneckiego *nobile* i z wujem podróżowała po Neapolu, a teraz Rzym opuściła udając się przez Mediolan do Wenecji.

*nobile* (włos.) - szlachcic

O nazwisko trudno było się dowiedzieć.

173

Jak tylko Anastazjo wyzdrowiał, pierwszą myślą jego był wyjazd z Rzymu. Częściej razy sztyletowe szalał jego do gry w szachy wzmogły, częściej też nadzieja zajęła całą duszę jego ujrzania ślicznego anioła w

Mediolanie lub Wenecji. Właściciel hotelu starał się, ile mógł, odwieść go od tego zamiaru, płakał, jęczał, nie mogąc go jednak zatrzymać, pocieszył się wreszcie tym sposobem, że podał młodzieńcowi ogromny rachunek, bo lubo mu przyrzekł układem wolne od wszelkich kosztów życie na czas zdrowia, lecz nie na przypadek choroby. Anastazjo wzdrygnął ramionami i zapłacił, a lubo podskubany, z lekkim przecie sercem udał się w podróż do Lombardii. Zaledwie przybył do Mediolanu, już go tam sława wyprzedziła. W mieście rozmawiano tylko o sławnym angielskim mistrzu sir Anastazjo Boyu. Do dawnych opisów życia jego dodano jeszcze wiele innych, bez wiedzy naszego mistrza. Dawni jego z „Pod Ryby” znajomi zaklinali się na niebo i piekło, że powieść o jego nieszczęśliwej miłości z córką de ja jest tylko drobnostką, że jest on utajonym synem pewnego monarchy, że się w nim sto kobiet kochało, że mnóstwo o nie odprawił pojedynków i cztery śmierci ciężą na jego sumieniu. Ostatnia okoliczność najwięcej mu narobiła reputacji między kobietami. Nie dziw, iż nie widział Anastazjo potrzeby ogłoszenia swego przybycia do miasta. Zaledwie przejechał bramy Mediolanu, a już takie odebrał mnóstwo listów zapraszających go do siebie, że trudno przychodziło mu wybierać. Nareszcie i w tym znalazł łatwość. Don Juan de Austria znajdował się wówczas w Mediolanie i wkrótce miał przybyć tam cesarz Karol V. Zaledwie przybył Anastazjo do miasta, otrzymał rozkaz stawienia się przed księciem. Zwycięzca pod Lepanto \* był wówczas jeszcze bardzo młody.

L e p a n t o - obecnie Nafpaktos, miasto w Turcji; w 1571 r. zwycięstwo floty Ligi

Świętej (gl, hiszpańskiej i weneckiej) pod wodzą księcia Juana de Austria nad flotą turecką Alego Paszy

174

Przyjął mistrza naszego bardzo mile, pograł z nim w szachy, obdarzył podarunkami i opowiedział powód, dla którego kazał go wołać.

Przybycie cesarza miano uprzyjemnić rozmaitymi widowiskami, jedno zaś miało się odznaczyć oryginalnością. Wymyślił książę na ten

koniec rzecz następującą. Będąc wielkim miłośnikiem gry w szachy,

zamienił salę jedną za pomocą białych i czarnych płyt na

wielką szachownicę. Na niej miały maski odegrać własnymi osobami

partię szachów, zastępując miejsce kamieni. Anastazjo miał to

urządzić. Na ten cel przeznaczono tylko dziesięć dni czasu, bo cesarza

spodziewano się lada chwila. Młodzieniec spędził dzień cały nad wy-

myśleniem planu tej gry oryginalnej. Jego myśl była: król i królowa

w bogatych ubiorach z czasów Karola Wielkiego, skoczki jako centaurowie,

laufry jako arlekiny, wieże jako słonie z wieżyczkami, a chłopcy

jako Tyrolczycy przebrani być mieli; sam zaś z przeciwnikiem mieli

jako czarodzieje za pomocą lasek czarnoksiężskich grą kierować. Książę

był uradowany tym planem i podał mu spis trzydziestu dwóch

osób, które miały przedstawiać w grze figury. Za przeciwnika

otrzymał jakiegoś *nobile di Venezia*, signora B., a na króla i królową:

jego synowca Aleksandra i siostrzenicę Erminię; resztę osób wybrano

z orszaku księcia. Jakaż radość była Anastazego, kiedy ujrzał, że na

królową przeznaczono jego piękną nieznajomą, a na przeciwnika jej

wuja. Anastazjo zaledwie kilka wyrazów był w stanie wyjąkać, kiedy mu Erminię przedstawiono, ale i dziewczica całkiem spłonęła, wuj tymczasem wyrwał ich z trudnego położenia oświadczając z nadętością, że lubo on i siostrzenica dosyć są wielkimi lubownikami gry w szachy, nie mogą się bynajmniej nad nim spodziewać przewagi, i dlatego sądzi, że będzie szlachetnym zwycięzcą i zatrze ślady kłęski, jeżeli przybywszy do Wenecji zaszczyci go częstymi odwiedzinami. Anastazjo, uszczęśliwiony tym wezwaniem, zapomniał o swym pomieszeniu i zanim próba gry się skończyła, tak się zapoznał z

175

signorem B., a jeszcze więcej z piękną Erminią, jakby od dawna byli znajomymi.

Próby powtarzały się co dzień aż do przybycia cesarza, a chociaż szło jak najlepiej, oświadczał Anastazjo, że nie ma jeszcze wprawy jak należy. Tym jedynie sposobem przekonał się, że może zbliżyć się do Erminii i z nią rozmawiać mimo argusowych oczu wuja i jego synowca. Anastazjo dowiedział się wkrótce z ust Erminii, że nie ma majątku, że jest przeznaczoną synowcowi, znenawidzonemu Aleksandrowi za żonę, że połączenie ma najdalej za trzy miesiące nastąpić i że woli śmierć ponieść w Canale Grande, aniżeli pójść za niego. Anastazjo uniesiony tym zaufaniem skreślił uczucie, jakim go pierwszy widok Erminii przejął, i zapytał, czy chciałaby mu rękę i serce oddać, spodziewając się, że nawet mimo woli wuja znajdzie środki, aby się z nią ożenić. Lubo Erminia uwierzyła słowom młodzieńca i nie ukrywała



tajemnicy, że ona wzajem dla niego to samo podziela uczucie, oświadczyła, że nie ma żadnej nadziei połączenia się z nim. Dodała nadto, że wuj jej jest jednym z najdumniejszych mężów weneckich, a chociażby nie miał synowca, nigdy by nie zezwolił na ich małżeństwo. Jedyne nadzieja, że sztukę gry odkryje, będąc jej wielkim miłośnikiem, spowodowała go do przyjęcia roli wskazanej mu przez księcia. W każdym wypadku powinien się Anastazjo wystrzegać powierzenia mu tajemnicy, a jeżeli przybędzie do Wenecji, powinien wszystkie papiery pochować, które chce mieć ukrytymi, inaczej zginie, bo jej wuj jest potężnym urzędnikiem Rzeczypospolitej.

Anastazjo uniesiony troskliwością Erminii, którą widział w jej oczach i słowach, uchwycił rękę dziewczicy i przysiągł, że nic go nie wstrzyma od zwiedzenia Wenecji i wszelkiego dołoży starania, aby nadzieje swoje urzeczywistnić.

Kiedy tak Anastazjo uszczęśliwiony myślał nad planami, za pomocą których mógłby osiąść rękę swej ulubionej, często przychodziły mu na myśl słowa dziewczicy, które kreśliły charakter jej wuja, i wewnętrzne

176

uczucie szeptało mu groźnie, żeby się strzegł jego, jeżeli chce uniknąć niebezpieczeństwa. Dlatego spalił papier, na którym były ciągi ręką doktora nakreślone. Uderzyło go podczas prób, iż mimo całej biegłości signor Bernardino B. zawsze jednym i tym samym grał sposobem, a to zapewne z tego powodu, że chciał poznać grę przeciwnika; postanowił więc wobec dworu i cesarza inny nadać grze kierunek, który by

się różnił od prób, a jednak schodził do kombinacji zagrażającej klęską przeciwnikowi.

Anastazjo otrzymał wreszcie uwiadomienie od księcia, że cesarz przybył i że nazajutrz umówiona maskarada odbędzie się wobec dworu. Wszystko jeszcze raz powtórzono, co mogło podnieść widowisko, i w rzeczy samej odbyło się ono z takim przepychem, jakiego dotąd nie widziano w Mediolanie. Na pięknej sali, na posadzce w szachownicę ułożonej tańczyły maski charakterystyczne; wtem wszedł giermek i ogłosił, że dwóch sławnych czarodziejów z Egiptu i Indii przybyło prosiąc cesarza o łaskę, aby pozwolił, jako znawca i miłośnik starożytnej gry, pograć w szachy przed sobą i wydać wyrok, który z nich zwycięży. Cesarz skinął głową na znak pozwolenia, a drużyna ruszyła na salę wśród trąb i kotłów odgłosu. Naprzód laufry jako arlekiny przebrane, wyrabiając dziwne figle, różniąc się między sobą kolorem czapek. Za nimi skoczkowie jako centaury, ich konie były sztucznie przyprawione z papieru, siwki dwa i dwa karę konie. Potem weszły obie pary królewskie; Erminia i Aleksander w kolory Wenecji, przeciwnicy zaś w kolory Mediolanu ubrani. Cztery słonie zamykały pochód.

Wszyscy przeszli obok cesarza trzykroć po sali i stanęli na miejscach wyznaczonych. Szesnastu chłopów w pierwszych rzędach na stronach przeciwnych pola, za nimi wieże, skoczki, laufry, królowe i króle. Jak tylko zajęli miejsca, wjechali z dwóch przeciwnych podwoi dwaj czarodzieje, ciągnieni na wysokich tryumfalnych wozach, jeden

przez krokodyle, drugi przez smoki, a przywitawszy cesarza swymi laskami czarodziejskimi, stanęli każdy za swymi żywymi figurami.

Odgłos trąb zapowiedział początek gry, którą kierowali czarodzieje za pomocą lasek czarnoksięskich. Anastazjo atoli wkrótce przekonał się, że signor Bernardino daleko dokładniej grał, niż to na próbach okazywał, i cieszył się w duchu, że się na inne przygotował kombinacje. Uważał nadto z ruchów i twarzy przeciwnika, że ma zamiar zerwać mu laur z głowy w obliczu cesarza. Gra chwiała się i na tę, i na ową stronę. Mechanicznie kroczyły chłopcy, w skokach laufry i centau-ry, na miejsca, które im laską czarnoksięską wskazywano. Mnóstwo ich zbitych z gry wyszło. Bernardino przecież grał ostrożnie, krzyżował obrachunek Anastazego. Walka stawała się coraz żywsza; główne figury weszły do walki, wtem Anastazjo postrzeżga, że król jego, przedstawiany przez Aleksandra, opuszcza nieznacznie miejsce i staje na innym przedziale. Widocznie Aleksander działał w porozumieniu ze swym wujem. Anastazjo, rozgniewany tym podejściem zapowiadającym jemu przegraną, podniósł się ze swego siedzenia, po trzykroć zakręcił laską czarnoksięską nad jogo głową i rozkazał mu pozostać na miejscu. Szmer powstał naokoło. Signor Bernardino grał odtąd jak zbity, wkrótce wpadł w matnię zastawioną przez Anastazego i mimo silnej obrony często oznaczały głosy trąb, że Anastazjo sięga laską koron królowej i króla przeciwnika. Dobijający nareszcie rozgłos zwiastował zwycięstwo jego nad Bernardinem. Po czym Anastazjo na wezwanie giermka stanął przed cesarzem, uklęknął i otrzymał w nagrodę

na znak zwycięstwa złoty klejnot, na którym według ówczesnego zwyczaju była szachownica kamieniami drogimi ułożona.

Sława Anastazego powiększyła się owym zwycięstwem w obliczu cesarza. Najznakomitsze osoby Mediolanu ubiegały się o niego, w kołach dam rozmawiano jeno o pełnym wdzięku mistrzu szachów i

178

opowiadano sobie mnóstwo o nim powiastek prawdziwych, półprawdziwych i zupełnie zmyślonych, a wszystkie na korzyść Anastazego.

Kiedy najpiękniejsze kobiety Mediolanu ubiegały się o jedno słówko jego, o jedno spojrzenie, kiedy kawałek papieru z jego ręki, odrobina ciasta zostawiona na talerzu obudzała zazdrość, on myślał tylko o swojej Erminii. Co dzień odwiedzał on jej wuja, zawsze z uprzejmością był przyjmowany, a nawet Aleksander zdawał się nie zważać na jego rozmowy z Erminią. Na koniec signor Bernardino oświadczył mu, że wraca do Wenecji. Serdecznie przyjął Anastazjo zaprosiny widząc, że Erminia miłymi oczyma radość z tego powodu okazała, zdawało mu się jednak, że słowo „ostrożność” zawisło na jej ustach.

Za powrotem do swego mieszkania długo namyślał się, dlaczego Erminia go ostrzegała. Wówczas uważano Wenecję za pewien rodzaj lwiej jaskini, a każdy bawiąc w tej Rzeczypospolitej tak urządzał swe sprawy, aby najmniejsze nie padło nań podejrzenie polityczne. Jeżeli ktoś nie mówił o polityce, o rządzie i o Rzeczypospolitej, mógł robić wszystko, co mu się podobało. Nigdzie też więcej nie było rycerzy wietrznych i szarlatanów, jak w państwie weneckim. Anastazjo nie

wiedział o tym, ale przestroga Erminii uczyniła go bacznym na grożące niebezpieczeństwo. Stanowczych środków ostrożności nie przedsiębrał, poniszczył papiery, tylko cokolwiek o złoto swoje się niepokoił. Dlatego nakupił za nie drogich kamieni, opasał się nimi, przy boku zawiesił szpadę i ukrył w zanadrzu sztylet; tak czuł się bezpiecznym.

Po odjeździe Erminii z wujem i siostrzeńcem nie miał Anastazjo spokojności w murach Mediolanu. Ani łaski książąt, ani spojrzenia kobiet, ani też złoto kapiące do jego kieszeni żadnej dla niego nie miały ponęty. W osiem dni po ich wyjeździe udał się przez Weronę i Padwę do miasta morza, do którego go pociągała miłość i tęsknota.

179

Ledwo stanął w Wenecji, pobiegł do signora Bernardino. Mieszkał on w pięknym pałacu nad Canale Grande. Pale kotwiczne przed pałacem ozdobione były herbem zwanym *cornio ducale* 1, na znak, że z tej rodziny był jeden członek dożą 2.

*c o m o d u c a l e* (włos.) - róg książęcy

d o ż a - głowa państwa w Rzeczypospolitej Weneckiej i Genueskiej

Dowiedział się wprzód, że wuj Erminii był dumny, bogaty, podstępny, że jego siostrzan cieszył się u mieszkańców niedobrą sławą. Jakkolwiek zasmucony przybył do pałacu, przyjęcie jednak podniosło jego umysł stroskany. Signor Bernardino nie tylko przyjął go uprzejmie, jak w Mediolanie, ale nadto prosił, aby go *co* dzień odwiedzał. Anastazjo zaś cieszył się najwięcej, że mu się nadarzyła sposobność

częstego widywania Erminii. Aleksander był zimny, zdawał się nie pamiętać wypadku na balu maskowym. Anastazjo czuł się uszczęśliwiony przekonawszy się z ust kochanej Erminii, że ona te same dla niego chowa uczucia, jakie w Mediolanie z nim podzielała. W całym zapale młodzieńczego wieku oświadczył, że prosić będzie wuja o pozwolenie połączenia się z nią związkiem małżeńskim, który jego szczęście na całe życie upewni. Erminia sprzeciwiała się temu zamiarowi. - Ja oświadczę - rzekła - memu wujowi, że Aleksandra kochać nie mogę i nie chcę zostać jego żoną. Później powiem mu, że czuję do ciebie przywiązanie i że ty o tym wcale nie wiesz. Tym sposobem można cię od niebezpieczeństw ze strony wuja i siostrzeńca uchronić. - A chociaż Anastazjo z początku opierał się, przyznał wreszcie słuszność Erminii i przyrzekł zachować się podług jej woli.

I tu w Wenecji podziwiano grę Anastazego, podobnie jak w Rzymie i Mediolanie. Młodzi signori cisnęli się do niego, a kiedy chodził po Riva dei Schiavoni. wszystkie okna zajęte były przez czarnowłose damy, aby popatrzeć na tę giętką kibić młodziana. Anastazjo nie ogłosił tu wprowadzie publicznych widowisk swej gry w szachy, jednakowoż

180

sława go wyprzedziła i odbierał mnóstwo zaproszeń. Zwycięstwa, które odnosił, mnóstwo mu pieniędzy przynosiły, chociaż się wystrzegał wyższej gry ponad dziesięć cekinów, gdyż to w Wenecji było surowo zakazane. To postępowanie, niemniej dobroczynność, jaką okazywał dla biednych miasta Wenecji, bardzo go zalecały w oczach najszla-

chętniejszych weneccjan, tak iż pałace senatorów: Grimani, Manfrini, Venieri i Pisani stały dla niego otworem. Anastazjo był wprawdzie zadowolonym z ich przyjęcia, najmilsze mu jednak było towarzystwo signora Bernardino, który go jak przyjaciela domowego uważał. Co dzień też grywał w szachy z Bernardinem, Aleksandrem i Erminią, a zawsze o małe stawki lub też o nic, a nawet stawiającemu wyższą sumę powiedział, że nie może na to przystać, aby między przyjaciółmi gra tak wysoko się podnosiła, będąc zawsze pewny wygranej.

Z Erminią rzadko w cztery oczy mógł się rozmówić. Zdawało się, że Aleksander ich ani na jedną minutę z oka nie spuszcza. Na koniec udało się jej szepnąć Anastazemu, że ma zamiar nazajutrz pomówić z wujem i oświadczyć mu, że siostrzeńcowi nie odda swej ręki.

Anastazjo zaledwie mógł się utrzymać z niecierpliwości, aby usłyszeć z ust Erminii, co powie jej wuj. Każda minuta była mu dniem, aż nareszcie zbliżyła się chwila, w której zwykł odwiedzać pałac signora Bernardino. Z zachodem słońca biegł szybko przez ulicę Riva dei Schiavoni. Chwilę rozmawiał z żeglarzem jednym z Sycylii, który miał wracać do swej ojczyzny, i wypytywał o zdarzenia w Syrakuzach. Właśnie przeciskał się przez tłum ludu do gondoli, która go miała przewieźć z piazzetta 1 do pałacu Bernardina, kiedy jakaś stara kobieta nagle do ucha mu szepnęła:

*p i a z z e t t a* (włos.) - placyk

Anastazjo obrócił się zwawo za starą, ale ta już znikła w ciżbie gondolierów, którzy obiegli go ofiarując mu swe czółna. Wiedział on, że ludzie ci wszyscy są sługami rządu, dlatego unikał wszelkiego podejrzenia i nie szukał starej kobiety. Siedząc w gondoli rozmyślał nad przestrogą i niemal był przekonany, że tego figla chciał mu spłatać jakiś młody towarzysz, i w dobrej myśli przybył do pałacu Bernardina.

Skoro stanął u progu pałacu, oznajmiono mu, że lubo pan domu jest chory, kazał go prosić do swego gabinetu. Anastazjo nie umiał sobie tej odmiany wytłumaczyć, domyślał się jednak, że Erminia wujowi odkryła swą miłość i dlatego żąda on z nim pomówić na osobności.

Anastazjo nie dojrzał żadnej zmiany w gospodarzu domu, zdawało się, że Erminia nie mówiła mu o swej miłości. Bernardino nie zaprosił tym razem jak dawniej młodzieńca do szachów, ale rozmawiał z nim o rzeczach potocznych. Właśnie chciał zapytać o zdrowie Erminii, kiedy starzec wstał ze swego krzesła i z biurka dobył papier.

- Niemal - rzekł z uśmiechem - byłbym zapomniał, po com cię prosił do gabinetu mimo słabości zdrowia mojego. Wiesz zapewne, że jestem senatorem, ale tego nie wiesz, że jestem członkiem Rady Dzieśięciu i jednym z trzech inkwizytorów państwa.

Razony jakby od pioruna, nie rzekł ani słowa nasz młodzian, wiedział bowiem od doktora bardzo wiele okropnych rzeczy o tym sądzie straszliwym. Bernardino udał, że nie widział żadnej zmiany na twarzy Anastazego.



- Wiesz zapewne - mówił dalej do niego z najwyższą zimnotą słów  
- że przy pałacu doży, na lewo, zaraz przy wielkich schodach, w ścianie  
korytarza znajdują się dwa duże łby lwów z kruszcu ulane, z otwartymi  
paszczami. Głęboka mądrość Rzeczypospolitej kazała je przed  
dawnymi czasy w tym miejscu postawić, aby każdy spisane swe

182

zazalenia, doniesienia, bez podpisu kładł w paszcze te i mógł być pe-  
wien, że rozporządzenie nastąpi stosowne. Patrz teraz, młody przyja-  
cielu, oto znaleziono tę denuncjację przeciwko tobie dziś rano.

Anastazjo przeraził się niezmiernie. Słowa: Rada Dziesięciu, lwie  
paszcze, denuncjacja, odebrały mu przytomność. Zaćmiło mu się  
przed oczyma, ale wkrótce przyszedł do siebie i udawał zupełnie spo-  
kojnego człowieka. Czyta oskarżenie na siebie jako na nie-  
bezpiecznego człowieka, który pod przybranym nazwiskiem wkrada  
się do zaufania młodych nobilów i wyłudza zdradzieckim sposobem w  
grze w szachy od nich pieniądze.

- Widzisz, mój przyjacielu - rzekł Bernardino odbierając papier od  
Anastazego - skarga nie ma wielkiego znaczenia, pochodzi zapewne  
od człowieka, który stracił do ciebie parę cekinów i ma zamiar zemścić  
się za to; ale trzeba się tu jednak wytłumaczyć. Łatwo to zapewne  
uczynisz, i to przede mną, bo lepiej aniżeli wobec Rady Dziesięciu,  
gdyż tam mnóstwo jest podejrzliwości, trzeba dowodów, a tu od razu  
wykończysz.

- Z całego serca dziękuję ci, mój drogi panie i przyjacielu! - zawołał

Anastazjo ściskając rękę Bernardina.

- Nie warto mówić - przerwał mu tenże. - Uczyniłbym dla ciebie daleko więcej, ale u nas, urzędników, musi być forma zachowana.

- Oczywiście! - zawołał Anastazjo - co mam zrobić?

- Skarga dotyczy dwóch rzeczy - mówił dalej Bernardino - naprzód twego nazwiska, a potem gry twojej. Co do pierwszego, możesz mi tylko doręczyć świadectwo chrztu, gdzie napisano, że ty jesteś prawdziwym Anglikiem: sir Anastazjo Boy.

- W rzeczy samej, przyznać muszę - odrzekł młodzieniec - że nie mam podobnego świadectwa, nie myślałem...

183

- Żeby to była potrzeba? - dodał starzec. - O, to źle, bardzo źle.

Zresztą, któż pamięta o wszystkim? Możesz się o nie postarać *et cetera*. Wszystko pójdzie jak najlepiej. Co do drugiego, do gry, oszukaństwo jest ciężką zbrodnią podług praw naszych. Do tego dodać należy, że jesteś przekonany, iż zawsze wygrasz: mówiłeś to do mnie i do mojego siostrzeńca i tak tu też napisano w denuncjacji, o; mój młody przyjacielu, to jest bardzo źle, nieostrożnie, przeląknęłam się słysząc te słowa od ciebie. W grze jest podobieństwo wygrania lub przegrania, lecz jeżeli jestem przekonany, że mój przeciwnik przegra, zatem nigdy nie wygra. Przeciwnik może stawiać się i ciągnąć, jak chce, zawsze mu pieniądze odbiorę nie narażając się sam na przegraną, a to jest oszukaństwem.

- Przebacz, signor! - zawołał Anastazjo zaczerwieniony - nie moż-

na nazwać oszukaństwem trafnego obrachunku pewnych kombinacji.

Mój przeciwnik może je odkryć, rozwiązać, kiedy się tego podejmie, a następnie i wygrać; i dlatego powiedziałem tylko, że zawsze wygram, kiedy wystrzegać się będę zmieszania mnie przez przeciwnika.

- Zapewne! zapewne tak myślałeś - rzekł Bernardino kiwając głową

na znak przychylności. - Ale w obliczu prawa, mój kochany młody przyjacielu, nie masz myślenia, tu trzeba dowodzić i dobrze dowodzić.

A więc musisz dowodzić.

- Jak? W jaki sposób? - zapytał Anastazjo pomieszany.

- Najłatwiejszym, najprostszym sposobem na świecie! - odrzekł

Bernardino. - Napiszesz na papierze obrachunki i kombinacje, których

używasz w grze swojej, i podasz mi na dowód tłumaczenia się

twojego. To okaże, że nie jesteś rzezimieszkiem ani oszustem, tylko

błądzącym w dobrej wierze. Mając to na uwadze wydałem rozkaz - jest

to tylko czcza forma, nic więcej - abys natychmiast opuścił granice

Rzeczypospolitej. Trudno inaczej cię uwolnić, tyś jest cudzoziemiec,

twoi przeciwnicy są Wenecjanie, a podejrzenie mówi przeciwko tobie.

184

Jutro wyruszysz równo ze dniem i rzecz się tym sposobem załatwi.

Anastazjo oburzył się tą mową Bernardina.

- Jak to? - zawołał. - Ja mam być za oszusta poczytany? Oświad-

czam, że ani tajemnicy nie wydam gry mojej, ani się pozwolę wyrzucić za granicę państwa bez sądu i wyroku.

- Odwołujesz się więc do Rady Dziesięciu - odrzekł senator zimno.

- Nikt ci tego zabronić nie może. Tym lepiej, nie biorę przeto odpowiedzialności na siebie za wypuszczenie ciebie bezkarnie. Mimo to jednak obawiam się, mój kochany młody przyjacielu, jako stary praktyk, aby rada wysoka nie uznała twej gry za oszustwo, gdzie jeden zawsze wygrywa, a drugi koniecznie przegrać musi, i aby cię kilkuletnim nie ukarano więzieniem. Masz przeto zupełnie wolny wybór, co ci się podoba. Zresztą dopiero jutro w nocy odpowiadać będziesz przed sądem, a tymczasem możesz się namyślać.

- Dobrze, użyję tego czasu do namysłu - odrzekł Anastazjo z gorzkim wyrzutem, oburzony aż do żywego chłodem starca. - Pozwól, niech się teraz oddalę.

- Wybacz, mój dobry, kochany i młody przyjacielu - odparł Bernardino - nie mogę na to sprawiedliwe żądanie zezwolić, gdyż w tej rzeczy postępować muszę nie tylko jako przyjaciel, ale również jako urzędnik. Jest to zwyczajem uświęcone, aby oskarżony pozostał tak długo w więzieniu, dopóki nie dowiedzie swej niewinności. Gdybym ciebie do domu wypuścił, działałbym przeciw świętym obowiązkom moim i wystawiłbym siebie na ciężką odpowiedzialność. Połączę jednak chętnie powinność moją z przyjaźnią, którą mam dla ciebie, i nie odeślę cię do publicznego więzienia, jak tego prawo wymaga. Możesz pozostać przez noc w tak zwanym więzieniu domowym w moim pałacu, bo każdy z trzech inkwizytorów państwa naszego ma u siebie więzienie. Na niczym ci tu zbywać nie będzie i będziesz miał dostateczny czas do namysłu. Gdybyś jednak uparł się przy swoim zdaniu

i odwoływał się do wyroku wysokiej Rady Dziesięciu, natenczas bądź przekonany, że z całym przywiązaniem do ciebie ujmę się za tobą i wystaram się, abyś karę swoją nie w *pozzo* \* odsiedział, które jest bardzo wilgotne i znajduje się pod dnem kanału, lecz pod *piombo* (ołowianym dachem), skąd jest precudny widok, lubo latem cokolwiek gorąco.

*p o z z o* (włos.) - studnia

Kończąc te słowa rzucił Bernardino srebrną kulę w naczynie metalowe obok stojące. Na ten dźwięk i nim zdołał Anastazjo wymówić słowo, weszło dwóch zbirów z halabardami do pokoju.

- Zaprowadźcie tego pana do domowego więzienia! - rzekł zimno senator, podniósł się ze swego miejsca i nie spojrzawszy na Anastazego wyszedł do przybocznej komnaty.

Anastazjo oniemiał na widok odległej izby, do której go wprowadzono. Więzienie to było kratą żelazną zewsząd opatrzone. Rzecz jasna jak na dłoni, że Bernardino zastawił na niego sidła, aby dojść do jego tajemnicy albo na przypadek oporu stawić go przed Sąd Dziesięciu. Jakkolwiek bądź, postanowił młodzieniec raczej odkryć swą tajemnicę przed zgromadzonym sądem, aniżeli ją dać sobie wydrzeć w sposób podstępny i chytry. Stary sługa, z rysów twarzy i wymowy do Greka podobny, wszedł w kilka godzin potem do więzienia przynosząc mu wieczerzę i wino, lecz młodzieniec nie był w stanie przełknąć ani kawałka. Ciągle przechodził się po więzieniu i nie mógł zasnąć z na-

dejściem nocy, tak go gniew, może i obawa, a nade wszystko stracone nadzieje ujrzenia Erminii niepokoiły.

Już było po północy, kiedy Anastazjo usłyszał ciche stąpanie pod drzwiami swojego więzienia, później otworzyły się z cicha drzwi, postać zakapturzona weszła do niego, i sądząc, że to najęty morderca, chciał już krzyknąć i oglądał się na wszystkie strony, by pochwycić cokolwiek na swoją obronę, gdy tymczasem postać zrzuca ze siebie

186

zasłonę i poznaje w niej ukochaną swoją Erminię.

- Uspokój się! na miłość Boską, uspokój się! Przybyłam cię uwolnić - rzekła spiesźnie Erminia.

- Jak to? czy to być może! to ty, moja ukochana Erminio? - ozwał się Anastazjo.

Dziewica przerwała mu zapytanie.

- Nie masz ani minuty do stracenia, jeżeli chcesz szukać ocalenia!

Mówiłam z wujem, iż nie mogę od dać mej ręki Aleksandrowi, on natychmiast odparł, żeś ty tego przyczyną, ja nie zaprzeczałam. Wówczas wpadł wuj we wściekłość, nazwał cię szarlatanem, rzezimieszkiem, który ujrzy się w dwudziestu czterech godzinach pod dachem ołowianym. Mnie groził klasztorem, jeżeli jutro nie oddam ręki Aleksandrowi. Wolę klasztor niż jego, to pewna, lecz tu nie o mnie chodzi, ciebie muszę ocalić lub zakończę życie w kanale. Mówiłam już ze starym greckim służącym, któregoś widział; jego żona była przed laty moją mamką, prosiłam go, aby pozwolił ci uciec, rzuciłam mu się do

nóg i zezwolił na koniec. Ale i on powiedział, że nie ma dla ciebie ratunku, jak tylko w ucieczce, dlatego dałam mu swoje klejnoty. On czeka na ciebie i zawiezie cię na gondoli do okrętu z wyspy Hydry, który puści się na morze razem ze dniem. Teraz więc ruszaj, ruszaj bez zwłoki, niech cię Bóg prowadzi, i przypomnij sobie czasami biedną Erminię, która zakończy swe życie wśród smutnych murów klasztoru.

- Nie, to być nie może! - zawołał Anastazjo objąwszy kibić dziewczycy. - Nie ruszę się z tego więzienia, jeżeli sama ze mną nie pójdziesz.

- Niepodobna! niepodobna! - odrzekła przestraszona dziewczica.

- Więc ja tu pozostanę! - rzekł Anastazjo. - Jeżeli obierasz klasztor, niech dla mnie będzie mieszkanie pod dachem ołowianym! Przy najmniej ta mi pozostanie pociecha, że życie pędzić będę blisko ciebie i jednym z tobą oddychać powietrzem.

Jeszcze kilka minut trwał spór między nimi; Anastazjo stał niewzruszony.

187

Erminia na koniec zezwoliła na ucieczkę. Postanowiono jednak nie uciekać na okręcie z Hydry, lecz na sycylijskim, bo tu znał Anastazjo dowódcę. Skoro tylko plan ucieczki ułożono, pobiegła Erminia po Greka. Za jego pomocą wydobyła rzeczy naprędce zebrane, zarzuciła na siebie płaszcz i wszyscy troje udali się przez ukryte drzwi na gondolę stojącą przy murze pałacu na kanale. Grek dał znak do wsiadania i zawiózł ich ku Lido, gdzie stał statek sycylijski, a na nim przewodnik, znajomy Anastazego. Temu oświadczył, że idzie tu o ucieczkę kochan-

ków i jeżeli statek za godzinę minie *murazzi* 1 i szczęśliwie przybędzie do Sycylii, zapłaci mu pięćset cekinów. Z radością przystał właściciel statku. Ofiarowana suma przechodziła wszelkie jego nadzieje. Przygotowano wszystko, co było do drogi potrzebne, i nim godzina upłynęła, już statek pełnymi żaglami wypłynął poza przerwę *murazzi*.

*m u r a z z i* (włos.) - tamy z głazów pomiędzy morzem a lagunami

Podróż szła nadzwyczaj szybko. Z przestrachem patrzyła Erminia na każdy żagiel ukazujący się na horyzoncie, ale szczęśliwie przejechali zatokę adriatycką nie spotkawszy ani jednego okrętu, który by miał flagę na maszcie przedstawiającą lwa ze San Marco. Po kilku dniach ujrzano Sycylię, z radością żeglujących płynął okręt ku Syrakuzom.

Tam postanowił Anastazjo osiąść pod przybranym nazwiskiem i dopełnić obowiązków względem marynarza za pomocą drogich kamieni.

Chociaż znaczną gotówkę zostawił w mieszkaniu swoim w Wenecji, nie żał mu przecie było tego, gdyż dosyć miał jeszcze kosztowności, aby wystarczyło na porządne życie z Erminia bez chwytania się gry, którą teraz z całej duszy zniecierpiał.

Kiedy szczęście zawiodło Anastazego w odmęt życia między książąt i panujących i wielkie imię jego rozsławiło, tymczasem bardzo ograniczyło siostrę jego Kamille. Żyła ona wprawdzie w pokoju ze swym Gieronimo, dzieciaczków dwoje drzemało w kolebce, ale rybactwo nie

przynosiło wiele i młoda para dosyć biedy wycierpiała. Przed kilku tygodniami burza porwała część sieci, a teraz zerwała się nowa. Młody



rybak wstał z łóża i udał się do czółna, aby go burza nie zerwała. Wiatr zawodził okropnie. Kamilla przy kominku czekała na powrót męża i nie była w stanie podsycać ognia. Na koniec bardzo zmartwiony wrócił do izby.

- Madonno! - zawołała Kamilla przestraszona. - Czy cię spotkało jakie nieszczęście, czy czółno nasze burza uniosła?

- Gorzej jeszcze - odparł Gieronimo i rzucił się na krzesło.

- Otóż dziś zupełnie przepadliśmy, jesteśmy żebrakami. Nasza łódź leży rozbita na skałach.

- Boże! - zawołała Kamilla załamując ręce i tonąc we łzach. - Proszę cię, mój Gieronimo, na Boga, nie patrz z taką rozpaczą na mnie! Być może, znajdziemy jakiś sposób do życia.

- Jaki? pytam, jaki? - odparł z goryczą Gieronimo. - Sieci nie mamy, łódź rozbita, a ja rybak, cóż rybak bez czółna i sieci?

- Starać się będziemy o inną robotę, aż zarobimy znowu na łódź i sieci.

- Inną robotę? Jaką? czy ty potrafisz pracować mając u łona dwoje dzieci? A ja jako majtek czy mogę znieść wasz głód pracując na okręcie?

- Bóg nam dopomoże! - pocieszała go Kamilla.

- Mówiłaś podobnie, kiedy nam burza sieć porwała - rzekł młody rybak pełen rozpacz.

Kamilla popadła w ciężką zadumę. Na koniec wstała i położyła swą rękę na ramieniu męża.

- Dotąd, mój Gieronimo, ukrywałam przed tobą jedną tajemnicę!

Doktor umierając dał mi ten amulet, który na szyi noszę. - Wydobyła przy tym z zanadru maleńki woreczek zaszyty. - Mówił mi, że mam go rozpruć, kiedy mnie nędza dotknie nie z mojej winy. Sądzę, że nie potrzebujemy sobie czynić żadnych wyrzutów, mamy sumienie czyste.

189

Gieronimo wzruszył ramionami. Pomacał palcami amulet i rzekł:

- Papier jest w tym woreczku. Zapewne napisał doktor na nim jaką modlitwę lub słowo Boże - a bieda i tak nauczyła nas modlić się.

- Nie mów tak, Gieronimo! Nie mów tak, inaczej nie mogłabym cię tak kochać, jak cię Kocham - odrzekła Kamilla. - Dodał nadto doktor, że nam to na pewno pomoże - ja rozpruję woreczek.

To mówiąc rozcięła nożem szewek i wydobyła papier. Rozwinęła go, rzuciła nań okiem i położyła go ze smutkiem na stół.

- Pismo zatarło się! - rzekła po małej chwili. - Był tylko jeden wiersz napisany, pierwsze słowo jest jeszcze czytelne i znaczy: „szukaj”, ostatnie, o ile mi się zdaje: „pod drzewem”, reszta wcale jest nieczytelna.

- Mówiłem, że na nic się papier nie przyda - odrzekł Gieronimo.

Potem obracali papier na wszystkie strony, ale na próżno, nie mogli nic więcej wyczytać.

- Widzisz więc, żeś na próżno nosiła tyle lat ten woreczek. - I rzucił papier w ogień.

- Nie, nie pozwolę na to - zawołała Kamilla i pochwyciła papier z

płomienia. - Doktor mówił to z wielką dla mnie przychylnością, zachowam papier jego na pamiątkę. Ale co widzę? Patrz, mój Gieronimo, cud! - pismo się wydobyło.

Zapewne atrament, którym doktor pisał, był z chemicznych złożony pierwiastków, bo za dotknięciem płomienia wyszedł czytelnie na poczernionym papierze. Wiersz był następujący: „Szukaj pod drzewem pomarańczowym”.

- Czy ty wiesz teraz więcej? - spytał zniecierpliwiony Gieronimo. - Pod którym to drzewem pomarańczowym szukać będziesz, kiedy ich przeszło milion jest na Sycylii.

- Koło domu doktora jest tylko jedno drzewo pomarańczowe -

190

odparła Kamilla. - Pod nim znajdowała się ławka kamienna.

- A pod nią ani jednego bajoka 1, tak jak w mojej próżnej kieszeni - westchnął Gieronimo.

b a j o k - rzymska moneta miedziana, setna część skucia

- Nie zaszkodzi nam poszukać, ja mam dobre przeczucie - zawołała Kamilla. - Pójdź, Gieronimo, weź motykę, ja wezmę rydel i zobaczymy.

- Próżna praca - rzekł mąż wstrząsając głową na znak zwątpienia i nie ruszył się z miejsca.

- A więc ja sama pójdę! - rzekła Kamilla i przyniosła motykę.

Nie czyniąc żadnych uwag odebrał żonie Gieronimo motykę, przyniósł rydel i poszli oboje nad brzeg morza do ruiny domu, który stał o

pół godziny drogi od ich mieszkania.

Tu wszystko stało pustkami. Pokrzywy wyrosły na łokieć koło domu doktora, omijanego teraz przez zabobonnych rybaków, którzy sądzili, że mieszkał w nim czarodziej, który i po śmierci tam jeszcze bawi. Stare drzewo pomarańczowe zwieszało poważnie swoje konary, a ławka kamienna cierniem i ostem zarosła. Po oczyszczeniu miejsca podważyli ławkę; wtem nagle zawołała z uniesieniem Kamilla: - Patrz, oto blaszana szkatułka, poznaję ja, widziałam tę szkatułkę u doktora. Zobaczmy! - Gieronimo otworzył i wykrzyknął z radości. Połyskujące cekiny olśniły jego oczy, było ich pięćset, na nich leżała kartka z napisem „grosz ostatni dla Kamilli”.

Młoda para to płakała, to śmiała się z radości. Już teraz skończyła się ich bieda, teraz mogli sieci i barkę sobie sprawić i wspomóc gospodarstwo. Jako nieszczęściu zawsze towarzyszy drugie, tak i szczęście z drugim idzie w parze. Kamilla w tym samym dniu, w którym skarb znalazła, uściskała też swego brata. Anastazjo z Erminią przybyli do Syrakuz. Przypadki w Wenecji zozydziły mu grę należycie, a obawiając się daleko sięgającego ramienia Rzeczypospolitej Weneckiej, postanowił nigdy nie występować pod nazwiskiem sławnego

191

Anastazego Boya. Stąd też sprzedał swe klejnoty i poszedłszy za radą doktora został nauczycielem matematyki. Po połączeniu się z Erminią węzłem małżeńskim udał się do Palermo, gdzie otrzymał urząd dostateczny dla utrzymania siebie i swojej małżonki. Nauczyciel Anastazjo

Bovi wkrótce zasłynął jako jeden z najdzielniejszych matematyków włoskich, jakkolwiek nie tak prędko przebrzmiało w uszach świata imię sławnego mistrza szachów, który nagle zniknął z Wenecji. Signor Bernardino nigdy nie wpadł na myśl, aby ostatniego poszukać w osobie pierwszego, a Anastazjo nigdy nie dotknął się szachów, mówiąc do siostry i wskazując na Erminię iż ostatnie pociągnięcie było dla niego najszcześniejszym w życiu.

Ludwik Sztyrmer  
PALIWODA

1. Gdy raz u stołu pewnego Anglika odkorkowana butelka piwa z szumem rozlała się, dziwił się temu niezmiernie przytomny Indianin. - Cóż tu tak dziwnego - zapytał rozsądny Anglik - że się piwo wylało? - Ja też - rzecze Indianin - wcale nie dziwię się, że się to piwo rozlało, tylko jak się w butelce mieścić mogło?

2. Ciągłe mamiąc drugich, tak wreszcie i siebie omamił, iż sam już nie wie, co w jego opowiadaniach jest

prawdą - a co wymyśłem.

M. Wiszniewski

Małe przygody

Było u nas kiedyś, i nawet nie bardzo dawno, dość paliwodów. Niektórzy z nich zalecali się wesołością humoru, dziwnie bujną wyobraźnią i dowcipem trafiającym do każdego umysłu dlatego, że był swoim, stosownym do naszych pojęć i obyczajów. Stąd też rozmowa ich

193

była wielce przyjemną i nie wyczerpywała się prędko, a koncepta sypały im się jak z rękawa. Nie każdy odznaczał się tymi przymiotami, bo żaden talent nie jest pospolitym, lecz kto je posiadał, miał się z nich nieraz lepiej niż szlachcic na porządnej wiosce. Baraszkował sobie ciągle, pędził życie wolne od trosk i kłopotów; szlachta nosiła go na rękach, a z panami obcował nie stając się ich sługą. Przykładał się wprawdzie do ich zabawy, lecz ich nie bawił, jak to dziś czynią pieczeniarze, i nawet mało dbał o ich łaskę, wiedząc dobrze, że w każdym obywatelskim domu, i na jak długo mu się spodoba, będzie pożądanym i miłym gościem. Ale też nie tak łatwa to rzecz, jak się komuś może wydawać - palić wodę! Oprócz talentu i umiejętności potrzeba jeszcze wiele zimnej krwi i umiarkowania, żeby przesadzając w konceptach nie wpaść w płaską niedorzeczność albo w nudne samochwalstwo; a nade wszystko trzeba się zdobyć na wielką bezinteresowność, posuniętą do zaparcia się wszelkich materialnych widoków; bo juści, kto chce wodę palić sumiennie, nie może ani żądać, ani spodziewać

się żadnej stąd dla siebie korzyści. Jedynym jego celem powinno być: pozyskanie sławy dowcipnego paliwody oraz przychylności obywatelstwa. Z tego to zapewne powodu w przemysłowym i utylitarnym naszym wieku rzetelny artysta stał się już rzadkością. Teraz spekulanci przy paleniu wody dolewają do niej rozmaite przyprawy służące dla zdurzenia łatwowiernych. Liczba pospolitych kłamców, samochwalców i szalbierzy ustawicznie się powiększa, a sumiennego paliwodę znaleźć trudno.

Wiedziałem o tym, a jednak potrzeba mi było wyszukać go dla sprawdzenia wymyślonej przeze mnie recepty. Potrzeba było mieć go koniecznie, chociażby na jeden wieczór. Znałem w Warszawie wielu, co się pod jego skórę podszyć usiłowali, lecz prawdziwego artysty spotkać nie mogłem, i to niepowodzenie mocno mnie trapiło. - Miły Boże! - myślałem sobie - tylu posiadamy geniuszów w rozmaitych gałęziach, a paliwody nie ma! Nie sprawdzę podobno recepty, i do

194

wielu dawnych, a dziś już zatartych typów, trzeba będzie i ten typ dołączyć. Szkoda! nieodżałowana szkoda! - Aż tu nareszcie, wtedy właśnie, kiedym całkowicie już był zwątpił o skutku moich poszukiwań, sam los mi sprowadził może ostatni egzemplarz tej rzadkości. Naturalnie przestałem na tym, co mi traf nastęczał, i nie myśląc już o lepszym wyborze, uradowałem się niezmiernie, kiedy pewnego wieczora wszedł do mnie cał niespodziewanie dawny mój znajomy, pan Apolinary Tarabankiewicz herbu Brygantyna. Był to czło-

wiek nieco tajemniczy; niegdyś oficer wojsk Księstwa Warszawskiego, ozdobiony krzyżami na niebieskiej i czerwonej wstążeczkach, potem gospodarz wiejski, myśliwy, karciarz i zawalidroga, potem znów wojskowy, a następnie komiwojażer po dalekich lądach i morzach, a z powrotem do kraju nauczyciel fechtowania i strzelania z pistoletów, nareszcie w starości paliwoda, utrzymujący się nie wiedzieć z czego, lecz żyjący przyzwoicie i wesoło z jakichś procentów swojej nader pstrej przeszłości.

Tarabankiewicz liczył sobie około siedemdziesięciu lat wieku; był krępy i cokolwiek otyły. Czerstwą twarz jego zdobiła blizna, którą nie wiadomo gdzie oberwał, czy na polu Bellony, czy w wesołej kompanii prezydowanej przez Bachusa. Czoło jego łączyło się z ogromną łysiną otoczoną wieńcem szpakowatych włosów. Oczy nadzwyczajnie ruchliwe, rzucały spojrzenia pełne ognia, nos orli, siwe i bujne bokobrody tudzież wąsy sumiaste przydawały niepospolitą wyrazistość jego fizjonomii. Tego wieczora, o którym mówię, miał na sobie granatową, wojskowego kroju węgierkę z kołnierzem stojącym i na haftki zapiętym, gęsto obszytą czarnymi pętlicami; żółte łosiowe spodnie i długie aż do kolan palone buty; na głowie małą granatową rogatywkę z siwym barankiem, a w ręku jakąś maczugę z sękami, w których zaprawione były krzemienie.

Mieszkał zwyczajnie w Warszawie, lecz bardzo trudno było znaleźć

go w domu. Nie zawsze nawet nocował u siebie i w ogólności nie lubił,



żeby go odwiedzano, a wolał sam odwiedzać. Często też wyjeżdżał z miasta to na krótką, to na długą wycieczkę, nigdy się nie żegnając ze znajomymi ani uprzedzając ich o swoim powrocie. Stąd nikt nie wiedział nigdy z pewnością, w jakich mianowicie wodach krąży tajemnicza Brygantyna, lecz przy spotkaniu każdy ją witał z radością:

- Ho. ho! - zawołał stary wchodząc do pokoju bez zameldowania i bez żadnych ukłonów – gdzie Stach, tam i Wach, gdzie siarka, tam i saletra! Jak się masz, Wicusiu! Sto lat ciebie nie widziałem i zażękniałem na koniec. Ale doskonałeś zdrów i pijesz sobie herbatę z araczkiem. Cieszę się! cieszę się mocno! Należy i mnie, kochanie, tego truneczku. Pogadamy sobie.

Uściskałem wielce pożądanego gościa, odebrałem mu maczugę i rogatywkę, posadziłem na kanapie, postawiłem przed nim herbatę, opatrzyłem dobrym cygarem i wtedy dopiero, podziękowawszy mu za łaskawą pamięć, zacząłem wypytywać o zdrowie i potoczne sprawy żywota. Tarabankiewicz odpowiadał cokolwiek kwaśno i półgębkiem.

Moja prawidłowa grzeczność nie przypadła do gustu człowiekowi przywykłemu do swobodnej rozmowy. Wpadł w jakieś roztargnienie. Puszczął gęste kłęby dymu, nieraz prosto w moje oczy; pił herbatę dolewając na miejsce ubywającej araku i nogą wybijał jakiś takt pod stołem. Nareszcie odezwał się z westchnieniem:

- Podobno zaczynam się już starzeć? zaczynam się pieścić! Twoja wygodna kanapa spowodowała mnie do smutnych refleksji. Wyobraź sobie, Wicusiu, że teraz jakoś znajduję więcej przyjemności siedzieć

na miękkim krześle niż na ławie w kordegardii albo na kulbace; śpię w łóżku, a nie na gołej ziemi i zdarza się nawet, że kataru dostaję! Ho, ho! jam, co zjadł Stacha i Wacha, a zakąsiłem siarką i saletrą! Nie tak bywało dawniej, w czasie austriackiej wojny i później, i wtedy jeszcze, kiedy się człowiek ucierał z Gallasami w pustyniach abisyńskich! nie tak bywało!

- Alboż W Pan tam byłeś? - spytałem.

- Zjedź no Stacha i Wacha, a zakąś siarką i saletrą! - odezwał się

Tarabankiewicz - to nie słyszałeś o tym? Szkoda, żeś w tamtym czasie gazet nie czytał, a teraz widać mało się ludziom udzielasz, boć tu wszyscy w mieście wiedzą, żeś kiedyś służył w wojsku Negusa państwa Tygrysów.

- Co takiego? - podchwyciłem - w jakim państwie?

- W państwie Tygrysów - odpowiedział z flegmą pan Apolinary i dolał sobie araku. - Jest to część potężnego niegdyś mocarstwa abisyńskiego; leży nad Morzem Czerwonym. Teraz wcale niewielka krajina i ludzie tam mieszkają, a nie tygrysy. Tylko tak się nazywa.

- Odpowiedz mi W Pan, jakim sposobem aż tam trafiłeś?

- O! to stara historia! ale powtórzę ją dla ciebie. Wyobraź sobie, po tych smutnych wypadkach, które mnie zmusiły na jakiś czas przynajmniej wydalic się z Europy, przeszedłem przez długą kolej przygód, o których w tej chwili zamilczę, i znalazłem się na koniec w Indiach pułkownikiem kawalerii u macharadży Raudzit-Singa, co panował w Lahorze. Wyśmienicie mi się tam działo, miałem piękny pułk i świet-

ne na przyszłość widoki; i nigdy bym był stamtąd nie wyjechał, lecz pewnego dnia umyślny kurier przywiózł mi własnoręczne, a bardzo dla mnie pochlebne pismo od Negusa z zaproszeniem, żebym niezwłocznie przybył do jego państwa sztyftować mu na wojnę z dzikimi Gallasami dywizję pancerników. Uwiadamił mię przy tym, że rekruci i konie, ubranie, uzbrojenie i inne dla owej dywizji potrzeby znajdę po moim przybyciu w zupełnej gotowości, a na kosztą podróży załączył ze swej szkatuły dziesięć tysięcy czerwonych złotych. Jakże takiej propozycji było nie posłuchać? Jużci, kto sformuje cztery pułki, może być

197

pewien, że będzie nimi komenderował. Co dywizja, to nie pułk! Nie namyślając się długo wyszedłem do dymisji, z wielkim żalem maharadży. Zatrzymywał mnie koniecznie, ale odmówiłem. Niepodobnaż mi było rozciąć się na dwie połowy! Pożegnałem pułk i gracko zabawiwszy się z kolegami na waletę 1, puściłem się na okazałym słoniu w drogę, a w najbliższym porcie siadłem na okręt.

w a l e t a - pożegnanie, rozłąka, rozstanie się

Holender kapitan był sobie wielki flegmatyk. Wszyscy oni tacy! I nic dziwnego, bo w takim wodnistym kraju, jakim jest Holandia, ludzie bardzo mało krwi mają; tak dalece, że kiedy cyrulik któremu puści ją z ręki, to przez całą godzinę ledwie mała filiżanka nacieknie i jeszcze takiej rzadkiej jak woda z sokiem malinowym. Ale kapitan był rozumny człowiek; nie ma co mówić. Od rana do wieczora pił grog, a żuł w gębie tytoń i ćmił wyborny knaster 2 z porcelanowej fajeczki. Co

to wasze cygara! spróbuj no knastru, co się nazywa Warinas! diabelnie smaczny w paleniu, osobliwie zapijając grogiem i kołyszając się razem z okrętem na morzu! Ale ty o tym nie masz wyobrażenia. Siadywałem niekiedy koło Holendra i lubo mnie to gniewało,, że zawsze uporczywie milczał, jak gdyby drogie perły, a nie żujkę miał w gębie, wszakże naśladować inne jego zabawy, oprócz milczenia i żujki, nigdy się jakoś nie nudził.

k n a s t e r (knastr) - gatunek tytoniu fajkowego

Przywykliśmy nawet być razem. On mnie szukał, a ja jego, spotykaliśmy się zawsze przy grogu i w najlepszej żyliśmy z sobą komitywie. Aż tu jednego dnia, właśnie kiedy pogoda była pochmurna i mglista tak jak w jego ojczyźnie, kiedy morze poczynało szaleć i zbierało się na burzę, nagle mojemu Holendrowi rozwiązały się nieme dotąd usta. Zaczął ze mną rozmawiać i na mój podziw dość wesoło. Im bardziej chmurzyła się pogoda, tym jego rozmowa stawała się więcej jowialną. Zrobił się taki wesoły, jak gdyby się w grogu wykąpał! Diabeł go wie, co mu się stało! Ja, com nigdy nie czuł w sobie żadnej wokacji do

198

milczenia, ucieszyłem się niezmiernie z jego metamorfozy i wszystkimi siłami jałem podsycać dyskurs, żeby się nagle znów nie urwał. Płonna to jednak była obawa. U Holendra tak się język rozmachał, że mi słowa nie dał wymówić, a wpadłszy w krotochwilne usposobienie począł sobie nawet ze mnie żartować. - W to mi graj! - pomyślałem sobie - teraz nieprędko zamknie gębę, a ja mu się przecie odgryźć po-

trafię. - Tak tedy zabawialiśmy się dalej i dalej, aż nareszcie mój trefniś wychyliwszy duszkiem szklankę grogu spytał mnie, czy to prawda, że Mazurowie ślepi na świat się rodzą? Tego już było zanadto!

Chociaż ja się wywodzę z Litwy, wszakże na dalekim morzu nie wypadało mi czynić żadnej różnicy między prowincjami rodzinnego kraju. Ująłem się więc za Mazowsze i wyzwiałem kapitana na pojedynek. Holender obojętnie kiwnął głową na znak zgody i chciał posłać do kajuty po pistolety, ale go zatrzymał zawoławszy ze złością: - Poczekaj no WPan! zjesz mi Stacha i Wacha, a zakąsisz siarką i saletrą! Ja się na taką dziecinną rozprawę nie piszę! Każ postawić na pokładzie dwie baryłki prochu o dziesięć kroków jedną od drugiej i przedziurawić klepki w kilku miejscach, żeby naokoło każdej wysypała się część prochu. Na tych beczułkach usiadziemy wygodnie i na komendę ciśniemy jeden drugiemu gorące węgle, a tam już zobaczymy, co dalej nastąpi. - Holender znów tylko głową kiwnął, spojrział na mnie spode łba i kazał natychmiast przyrzadzić wszystko do pojedynku.

Usiedliśmy sobie na beczułkach. Jam się przeżegnał, a on się tylko szkaradnie uśmiechnął, i to mnie rozgniewało, bom sądził, że ma mnie za tchórza. - Poczekaj no! - pomyślałem w duchu - przekonasz się, że się nie przestraszył. - Potem raz! dwa! trzy! - cisnęliśmy węgle. Jego przeleciał zbyt daleko, mój zaś akuratnie upadł na proch rozsypany przy jego beczulce, i rrrym!... w tym samym momencie przy odgłosie strasznego huku Holender wyleciał w powietrze podarty na

drobne kawałki! Okręt pochylił się gwałtownie na jedną stronę i w morze aż do brzegu się pogрузzył. Potem wynurzył się z bałwanów podskoczywszy do góry jak piłka i zaczął się miotać i chwiać niby pijany, tak dalece, że nikt nie mógł ustać na nogach, jam się przewrócił razem z moją beczką i fajka mi z ust wypadła. Wszakże nie myśląc o sobie, a wadząc co się stało z Holendrem, zawołałem: - Panie! świeć nad jego duszą! - Nie wiem, czy mu się to na co przydało, bo ten człowiek dziwne życie prowadził. Nigdy mi się nie zdarzyło spotkać takiego mruka! Nienawidzili go też na okręcie i nikt jego śmierci nie żałował, a mnie jednoznacznie okrzyknęli kapitanem.

- I WPan przyjąłeś tę godność? - zagabnąłem.

- Zjadłem Stacha i Wacha, zakąsiłem siarką i saletrą! A dlaczegóż nie miałem przyjąć - zawołał stary jakby obrażony. - Zdaje mi się przecie, że lepiej rozkazywać, niż być pod czyimiś rozkazami?

- Tak - rzekłem - ależ okręt prowadzić niełatwo, osobliwie w tamtych wodach?

- Zapewne, zapewne - odparł Tarabankiewicz - dla kogo innego byłoby bardzo trudne, ale nie dla mnie. Ja się znam doskonale na igle magnesowej i w każdym czasie zgaduję, jak się będzie kręcić, a położenie gwiazd na niebie tak dobrze sobie wyobrażam, że mógłbym zamknąwszy oczy pokazać ci każdą palcem. To bagatela! Najważniejszą rzeczą jest energia, na której nigdy mi nie zbywało. Przyjąłem godność, a z nią razem cały zapas araku i knastru po Holendrze. W jedną godzinę przyprowadziłem na okręcie wszystko do porządku i musia-

łem zaraz na wstępie poskromić majtków. Ci bowiem z powodu wolnej elekcji uroili sobie jakieś prawa do zawarcia ze mną *pacta conventa* 1, ale ja o tych pretensjach ani słyszeć nie chciałem. - Zjem Stacha i Wacha - krzyknąłem - zakąszę siarką i saletrą! Sza! posłuszeństwo! albo kulą w łeb! - Opuścili tedy uszy i ucichli. Piękna mi rzecz *pacta conventa* na okręcie! Przecie to nie Rzeczpospolita.

*p a c t a c o n v e n t a* (łac.) - układ uzgodniony

200

Wchodziliśmy właśnie w Zatokę Arabską przez cieśninę Bab-el-Mandeb, która i w zwyczajnym czasie nader niebezpieczną jest dla żeglugi, a tu na nieszczęście zaskoczyła nas jeszcze burza. Chmury zupełnie zaczerniły niebo, z dnia zrobiła się noc, ludzie łbami się tłukli w ciemności, którą tylko błyskawice pruły niekiedy ognistymi wężykami. Morze drżało od grzmotu i nieustannie bijących piorunów.

Wiatr połamał maszty, a z podartych żagli zostały jedne strzępy. Statek o jakiś kamień się przedziurawił, woda zaczynała go napełniać i majtkowie ratowali się, jak który mógł: jedni w szalupie, drudzy na deskach i ostatekch masztów. Nie przeszkadzałem nikomu, starając się jedynie utrzymać jaki taki porządek, żeby jedni drugim nie zawadzali. Kiedym nareszcie sam jeden pozostał, okręt już się ledwie trzymał na falach. Pokład był na pół łokcia pokryty wodą. Spojrzałem wokoło siebie, czy nie ujrzę jakiego środka ratunku, ale nie widziałem żadnego. Wszystkie moje rzeczy leżały na pokładzie pod wodą. Juzem wyciągnąłem rękę, żeby się przeżegnać na śmierć, gdy jakiś niecierpliwy

delfin; widząc mnie wśród wody, rzucił się do mnie. Ale woda na pokładzie nie dość była głęboka, żeby mógł swobodnie w niej pływać.

Otarłszy się więc brzuchem o deski i zużywszy siłę rzutu, został na pokładzie, nie mogąc się posunąć ani naprzód, ani w tył. W tej chwili szczęśliwa myśl przyszła mi do głowy. W jednym momencie znalazłem mój munsztuk, skoczyłem na delfina, który się jeszcze nie mógł podnieść z pokładu i jak każdy mazgaj w niebezpieczeństwie będący tylko paszczę roztworzył, założyłem mu wprzód, nim ją zamknął, koński hamulec i siadłem wierzchem na jego grzbiecie. Okręt niebawem pogrzył się w morze. Delfin chciał naprzód dać nurka, potem jak wściekły swawolił rzucając się w strony, ale wszystkie jego chimery na nic mu się nie zdały! Żelazo było mocne, prawdziwej angielskiej roboty,

201

a ja takem mu łba zadzierał do góry, takem go darł i piłował munsztukiem, a boki kłuł ostrogami, że nareszcie krwią zbroczony musiał się poddać mojej woli i płynąć do Abisynii. Nie wyobrazisz sobie, Wicusiu, co to za rozkosz lecieć jak strzała po falach morskich na takim ujarzmionym potworze! Jeździłem na dzikich koniach, na wielbłądach, strusiach i słoniach - wszystko to nic w porównaniu żeglugi na delfinie!

- Co też W Pan wymyślasz? - odezwałem się - niepodobna, żebyś...

- A niechże zjem Stacha i Wacha i zakąszę siarką i saletrą! - przerwał mi Tarabankiewicz - nie uwierzysz? mniejsza o to! nie wierz sobie! Jest to doświadczoną prawdą, że gniazdo niewiary znajduje się w



domu, za piecem! Twoja wątpliwość wcale mnie nie dziwi. Ale kiedy mi nie wierzysz, to mogę zamilczeć.

- Nie, nie! - zawołałem z pośpiechem - na to nigdy nie pozwolę!

Mów WPan dalej. - A spostrzegłszy, że szklanka jego była próżna i araku w karafince nie zostało już ani kropli, kazałem przynieść węgrzyna; napełniłem mu puchar familijny, w który wchodziła cała butelka, i jeszcze raz upomniałem się o dalszy ciąg opowiadania. Udobruchany paliwoda uśmiechnął się łagodnie i rzekł:

- Oczywiście, że jazda na delfinie nie mogła trwać długo, bo to potwór zapalczywy i dlatego prędko się męczy. Ale na moje szczęście trafiłem wkrótce na wyspę i puściwszy delfina zostałem na niej. Byłem tak zmęczony, że stąpiwszy na ląd padłem jak martwy i przynajmniej jaki tydzień spałem, póki łoskot wystrzałów z broni ręcznej mnie nie przebudził. Statek arabski, mający przejść przez cieśninę, zatrzymał się był właśnie u wyspy dla niezbędnej poprawy i kilku ludzi z niego zabawiało się polowaniem na ptaszki. Trzeba ci wiedzieć, mój Wicusiu, że wtedy umiał na pamięć mnóstwo wierszy arabskich i sam w tym języku składałem poemata, ale potem zapomniałem jednych i zarzuciłem drugie, bo na co się to u nas przyda? Kto taką umiejętność

202

albo taki talent potrafi ocenić?. Wyście już nawet łacinę zarzucili, niewielu z was umie po niemiecku, jeszcze mniej po angielsku, choć to niezbędne języki, a o arabski próżno pytać w całej podobno Polsce! Śliczny to język, Wicusiu! A Arabowie niezmiernie łakomi na poezję i

każdy doskonały znawca. Deklamując im piękne wiersze można z nimi zrobić, co się podoba. Otóż, kiedy się z nimi poznał i pokazał im swój talent, to myślałem, że śmieją się im ze łba, z takim zapalem mnie słuchali. A następnie jak mnie jęli ścisnąć, obejmować i podrzucić do góry, to niewiele brakło, żeby mnie udusili ze zbytku uwielbienia. Korzystając z gorącości ich afektu dostałem od nich nowe odzienie, szablę damasceńską, parę pistoletów i pikę, a odzyskawszy takim sposobem swoją godność osobistą zacząłem nalegać, żeby mnie odwieźli do Abisynii. Na to nie chcieli się żadną miarą zgodzić, przekładając, że dążą zupełnie w przeciwną stronę. - A mnie co do tego? - pomyślałem sobie. - Negus niecierpliwie wygląda mojego przybycia. Któż mu beze mnie sformuje dywizję pancerników? Dałem słowo - muszę go dotrzymać!

Udałem się prosto do kajuty szejka, co prowadził statek, i powiadam mu ostrym, rozkazującym tonem: - Zawieziesz mnie WPan do Abisynii? - Nie zawiozę! - odpowiada.

- A! tak to! - krzyknąłem - poczekaj no, zjesz Stacha i Wacha i zakąsisz siarką i saletrą! - Zastanowiwszy się nieco, począłem mu deklamować nad uchem cudowną kasydę 1 mojej kompozycji. Szejk coraz więcej zdziwiony i zachwycony chwiał głową do kadencji, lecz im dłużej słuchał, tym mocniejszego doznawał wzruszenia i tym większy zapal go ogarniał. Drżał całym ciałem, targał się za brodę, łamał ręce, twarz mu gorzała, oczy paliły się jak dwie pochodnie.

k a s y d a - panegiryczny, elegijny albo satyryczny utwór poetycki w języku arab-

Nareszcie zapłakał, rzucił się przede mną na kolana i zawołał:

- Rozkazuj, efendi! żaden śmiertelnik oprzeć się tobie nie zdoła, bo z tobą duch Muhammada!

Statek zawrócił się natychmiast do państwa Tygrysów.

Od tej chwili cały ekwipaż okrętowy zapatrywał się na mnie z największym uwielbieniem. Siedziałem na zielonych poduszkach jakby na tronie; kiedy mi się podobało słowo przemówić, to była cisza najgłębsza, tylko głowy z turbanami schylały się z uszanowaniem i ręce krzyżowały się na piersiach. Kiedym zaczynał deklamować, to zdawało się, że u każdego Araba dusza siedziała na ramieniu i rozpościerała skrzydła do wznoszenia - prosto do raju Muhammada. W takim tryumfie zawinąłem do portu najbliższego od Szelikut, gdzie miał swoją rezydencję Negus państwa Tygrysów. Licha to miasteczko, której prawie nie widać z morza, bo wszystkie domy schowane w ogrodach...

W tej chwili przerwałem Tarabankiewiczowi, napełniając mu węgrynym wysuszony już puchar i żeby pokazać, że go słucham z uwagą, odezwałem się: - Winszuję WPanu! była to prawdziwa owacja!

- Masz słuszość! - podchwycił pan Apolinary już z pucharem w dłoni. - Słyszałem o zachwalonym uwieńczeniu jakiegoś tam Dantego, jakiegoś Petrarcki w Kapitolu, ale nie rozumiem, na co im się przydały te wieńce? Mój tryumf to co innego! Ho, ho! zjadłbym jeszcze Stacha i Wacha i zakąsił siarką i saletrą, żeby całe Mazowsze to wiedziało! Po-

wiadam ci, Wicusi, że na jedno moje skinienie wszystkie te ogorzałe

Araby byłyby skoczyły do morza! Niechże jaki inny poeta tego dokaże,

choćby był stokroć *bullatus* i *laureatus*! Ale ja wtedy o takich fraszkach wcale nie myślałem. Negus wysłał na moje spotkanie jakiegoś

dygnitarza nieco czarnego, lecz całego we złocie. Ten mnie przedsta-

wił u dworu. Niewiele tam znalazłem przepychu, za to Negus, nie

zważając na niepochlebne nazwisko, był bardzo rozumny, bo to prze-

cie

w

204

prostej linii potomek Salomona 1.

Tak utrzymują Abisyńczycy. (Przypis autora).

Rozpatrzył mnie z ciekawością od stóp do głów i nadzwyczaj łaskawie

ze mną rozmawiał, a poznawszy, ile mogę mu być użytecznym, obsy-

pał mnie względami, kilka razy ścisnął za rękę i oświadczył publicznie,

że odtąd nie wątpi już o zwycięstwie. Oczki wszystkich dam dworskich

mile zwracały się na mnie. Już to ja zawsze miałem szczęście do ko-

biet; przepadały za mną! Wszakże wtedy co innego mnie zajmowało.

Trzeba było najspieszniej sztyftować dywizję pancerników.

- Zaczekaj WPan - rzekłem - jeszcze ich wysztyftujesz, a wprzód

powiedz mi przecie choć kilka słów o tym, jaki tam kraj i jacy ludzie w

tym państwie Tygrysów?

- Kraj piękny! - odpowiedział Tarabankiewicz - piękniejszy od Ma-

zowska. Góry śliczne, lasy woniejące z drzew ciągle pokrytych kwia-

tami. Różowe drzewo tam wyższe od naszej masztovej sosny, a na

nim więcej miliona róż. Wyobraź sobie, jaki to zapach! Z początku dostawałem zawrotu głowy, potem przyzwyczajaiwszy się drzemałem zawsze po obiedzie pod takim drzewem i marzyłem o świerkach mazowieckich. Rzeki pełne szczerego złota, o które nikt nie dba; tak dalece, że zwyczajną monetą są tabliczki soli kuchennej. Widzisz więc, że tam pieniądze można jeść z baraniną, wtedy kiedy u nas nad każdym groszem trzeba sobie zęby łamać.

Ludzie nic osobliwszego. Wcale niepodobni do Mazurów. Twarze ciemne, niby cygańskie, włosy krótkie i kędzierzawe jak u czarnych baranów, slipie małe, wargi grube i wypięte, pierś płaska; słowem, niewiele się różnią od małp. Wszakże nie można zaprzeczyć, że to naród odważny i waleczny. Jakem ich wziął w swoje ręce, zjedli Stacha i Wacha, zakąsili siarką i saletrą! - wcale nieźle się bili. Jest tam wielu Żydów, kropka w kropkę tacy jak nasi, tylko strasznie hardzi. Nawet przy szablach chodzą. Wyobraź sobie, spotkałem dwóch znajomych

205

lichwiarzy z Warszawy i Jankła z Kozienic. Jankiel utrzymuje najlepszą winiarnię w mieście i dobrze mu się powodzi. Wypiłem u niego niejedną buteleczkę starego węgrzyna. Doskonałe winko! Reszta mieszkańców niby to chrześcijanie należący do jakiejś sekty Koptów, ale coś zanadto już się zakopcili, bo wierzą w wiele guseł i węża umieścili w samym środku nieba. Mniejsza o to! Ja nie misjonarz. Nie nawracałem ich, a zająłem się tym, co mi było poruczone.

Jakem obejrzał konie, aż mi serce zagrało. Wcale były dobre. Co się

zaś tyczy ludzi, to spojrzawszy na nich poczułem, że mi się wewnątrzności przewróciły - taka to była hołota! Ledwie nie zwariowałem! Nie chciałem oczom wierzyć i sądziłem, że mi kupę małą sprowadzono. Jak tu z nich wysztyftować pancerników? Jużem chciał ich rozpędzić, ale pomyślałem sobie - spróbuję!

Na początek, żeby mazgajów nie odstręczyć od służby, posadziłem ich na koń bez wszelkiego uzbrojenia, tak jak byli, to jest bosych i prawie nagich. Wyobraź sobie moje zadziwienie! Mały siedzą jak przykute do konia i wyrabiają takie wołyżerskie sztuki, na jakie ja sam od razu może bym się był nie zdobył. - Brawo! - pomyślałem sobie - jakoś to będzie!

Zacząłem ich ubierać od głowy. Nałożyłem im naprzód jedne tylko szyszaki z grzywą i kazałem nie zdejmując ich chodzić i jeździć konno przez trzy dni. Ciężko to było cokolwiek dla głów nie przyzwyczajonych, jednakże szyszaki niezmiernie im się podobały; w mieście rozpatrywano ich ciekawie i wytrzymali próbę.

Potem do szyszaków dodałem jeszcze mundury, zostawiwszy resztę ciała w naturalnym stanie; następnie dałem im pancerze, potem przypasałem pałasze itd. zawsze jedną tylko rzecz dodając do ubioru i uzbrojenia. Ale jak doszło do palonych butów... tak się wszystko zatrzymało! Cała formacja ledwie w łeb nie wzięła! - Wypadnie mi podobno zjeść Stacha i Wacha i zakąsić siarką i saletrą! - zawołałem z

rozpaczą. Z tych małych nigdy nie będzie pancerników! Suszyłem sobie

głowę i nie wiedziałem, co począć z ludźmi, u których pięta odskoczyła w tył od golenia na jakie trzy cale, a goleń ze stopą mają formę szczotki do zmiatania podłogi! Chciałem poobcinać pięty, ale jakże je zagoić? Nareszcie rozgniewałem się i na nic już nie zważając kazałem koniecznie naciągać palone buty. Rozkaz został spełniony, bo wiedziano, że ze mną nie ma żartów. Włożyli tedy buty na swoje potworne nogi, spróbowali chodzić... ani sposobu, ból straszliwy! Płakali jak bobry i w jedną noc cała dywizja zdezerterowała z kretelem! - ani jednego nie zostało. Łapże wiatr w polu!

Zrozpaczony poszedłem do Negusa i po długim naleganiu otrzymałem nareszcie pozwolenie, żeby moje, pancerniki nosili zamiast palonych butów zwyczajne papucie, tylko, rozumie się, z ostrogami. Ogłosiłem o tym we wszystkich gazetach - możeś czytał, Wicusiu? - i powoli wszyscy owi zbiegowie powrócili do pułków. Wkrótce potem stanęła piękna dywizja pancerników, lubo w papuciach. Niepodobnaż było przerabiać pięty!

Negus oddał mi natychmiast całą dywizję pod komendę. Tego dnia nigdy nie zapomnę. Ale dość. Teraz wiesz, jakim sposobem trafiłem do państwa Tygrysów. Nalej no mi węgryna!

- Najchętniej - odrzekłem napełniając mu puchar.

Przygody mniejsze

- Spodziewam się - rzekłem - że WPan raczysz mi opowiedzieć wojnę z Gallasami?

- Dlaczegoż nie? - zawołał Tarabankiewicz - przecie to nie sekret.

Gazety w swoim czasie skwapliwie chwytają wiadomości o tej wojnie.

Szkoda tylko, żeś ty nie wojskowy. Nie zrozumiesz, a przynajmniej

207

należycie nie ocenisz moich strategicznych i taktycznych planów. Że-

by to mały kapral żył jeszcze na świecie, toby zapewne zgruntował

głębokość moich kombinacji, podziwiałby je i może by mi ich zazdro-

ścił. Zresztą opowiem ci te wysokie pomysły Stosując się, ile można,

do twoich niskich pojęć o sztuce militarnej. Patrz! - rzekł biorąc ołó-

wek i rysując nim na papierze niepewną już z powodu węgryzna ręką -

oto jest Nil tak zwany Niebieski. Woda w nim płowozółta, lecz na

słońcu wydaje się niebieska i na jego brzegach rosną owe słynne na

Mazowszu niebieskie migdały. Zjadłem ich niemało. Bardzo smaczne!

Tu jest jezioro Dembea, a tu w różnych kierunkach gałęzie gór abisyń-

skich, między którymi najwyższa nazywa się Łysa Góra...

I począł opisywać z wielkimi szczegółami miejscowość, marsze i

manewry obydwóch armii, wzajemne ich pozycje tudzież szyk bojowy

na brzegach Niebieskiego Nilu. Niewielem z tego zrozumiał i dlatego

pomijam to wszystko do chwili, kiedy Tarabankiewicz opisując krwa-

wą walkę zawołał:

- Moje pancerniki dokazywały cudów waleczności! Złamałem, zra-

bałem i stratowałem na miazgę piechotę nieprzyjacielską! Żywej nogi

nie zostało! Kawaleria przybyła piechocie na odsiecz za późno. Ude-

rzyłem na nią i lubo moje konie były już zmęczone, wszakże obaliłem

Gallasów i posiekałem na kapustę. Zdawało się, że już koniec, wtem



jeden Tygrys z mojego orszaku zbladł jak opłatek i cały drżąc od strachu, pokazując mi z daleka jakąś czarną masę, zawołał: - Idą już! idą!  
- A, żebyś się WPan udławił siarką i saletrą! - odezwałem się spokojnie. - Milcz albo mów wyraźnie! Widzę, że idą, lecz w takiej odległości nie rozpoznaję, jakie to wojsko? - To batalion krokodyli! - wyjęknął tchórz.

- Stój, panie Apolinary! - zawołałem - wytłumacz mi dobrze, jaki to był batalion!

- Naturalnie, że ci to wyłuszczę - rzekł Tarabankiewicz - bo wiem

208

przecie, żeś takiego wojska nigdy jeszcze nie oglądał. Widzisz, kochanie, na Wschodzie jest mnóstwo ludzi posiadających tajemniczą władzę nad różnymi gadzinami. Umieją oni zamawiać, ujarzmić i czynić posłusznymi swojej woli węże, jaszczurki i inne małe i wielkie potwory. Taki człowiek jak gwizdnie, to natychmiast ze wszystkich dziur obcesem lecą do niego na przykład węże i patrząc mu w oczy idą, gdzie każe, i robią, co on chce. Otóż Gallasowie wiedząc o tym, zem sformował Negusowi pancerników, a pragnąc mieć także jakieś niezwyciężone wojsko, sprowadzili sobie z Bejrutu takiego sztukmistrza. Ten zwabił im z Nilu, zebrał, wyćwiczył i ostatecznie wysztyftował cały batalion krokodyli. On sobie szedł zwyczajnie z tyłu i gwizdał na różne nuty, a batalion stosownie do tego manewrował. A kiedy miauknął jak kot, to krokodyle otworzywszy ogromne paszcze rzuciły się do ataku jak szalone.

Patrzyłem z daleka, jak batalion z zimną krwią sobie maszerował obchodząc prawe skrzydło mojej dywizji, i myślałem o środkach odporu. Konie boją się krokodyli i żadną miarą nie wytrzymałyby ich ataku. Na naszych piechurów niewiele też mogłem liczyć. Nie wiedzieć kto ich sztyftowa!! Tak więc w tej chwili wielkiego niebezpieczeństwa cała armia Negusa na nic się przydać nie mogła i odparcie batalionu krokodyli musiałem, chcąc nie chcąc, przyjąć na swoją odwagę i odpowiedzialność. He, he! Zjadłem Stacha i Wacha, zakąsiłem siarką i saletrą! Podjąłem się tego, bom już wiedział, co robić.

Wojsko nieprzyjacielskie było oczywiście tylko machiną i zupełnie zależało od swego szukmistrza. On nim dyrygował” i był jego duszą. Do niego trzeba mi było dotrzeć. Kazałem swoim pułkom nie ruszać się z miejsca, sprowadziłem z rezerwy baterię raketników i postawiłem na skrzydle kawalerii. Potem przesiadłem na mojego strusia, który się nie bał krokodyli, a zostawiwszy mu swobodę skrzydeł, którymi zwykle biegu sobie przysparzał, schwyciłem lancę ułańską i puściłem

209

się jak strzała na spotkanie straszego batalionu. Mógłbym go był oskoczyć z boku, wszakże ten środek wydał mi się niezupełnie pewnym, bo i batalion na gwizdnięcie szefa mógł także przemienić dyrekcję. Zresztą nie uciekając się do żadnych podstępów wolałem działać otwarcie, jak przystoi walecznemu rycerzowi. Nie zmieniłem więc kierunku, lecz doleciawszy do frontu batalionu dałem strusowi obie ostrogi i posłuszny ptak mnie zrozumiał. Skoczył z ogromnym rozma-

chem, a rozwinąwszy skrzydła przeniósł mnie nad głowami krokodyli aż za ostatni szereg, gdzie znalazłem ich szefa. Natarłem na niego natychmiast, nadziałem go na swoją lancę, jak zająca na rożen, i w mgnieniu oka powróciłem do swoich. Tu kazałem co prędzej palić do krokodyli i batalion nie trzymany na wodzy przez sztukmistrza poszedł w rozsypkę. Siadłem znów na koń i puściłem się rozpraszać resztki nieprzyjacielskich oddziałów. Łatwa to już była robota. Różni-śmy Gallasów jak sieczkę! Upojony zwycięstwem, nie podejrzewając żadnego niebezpieczeństwa, oddzieliłem się od drugich i zsiadłszy z konia, chciałem się napić wody ze źródła. Wtem nie wiedzieć skąd się wzięło ze dwudziestu Gallasów! Draby ogromne - prawdziwe olbrzymy! Siadam czym prędzej na koń, ale tymczasem już mnie okrążyli i z dzikim krzykiem nacierają na mnie. - Ha! - krzyknąłem - zjecie wy Stacha i Wacha i zakąsicie siarką i saletrą! Nauczę ja was, co to lanca ułańska! - Jakem zaczął kręcić ją sobie nad głową, tak natychmiast osadziły nazad gallasowskie rumaki, nie przyzwyczajone do szumu chorągiewką. A ja się śmieję - i jednego jeźdźca po drugim nadziewam na lancę, kręcę nad głową i rzucam daleko jak kamyk z procy! Takim sposobem porzrzucałem ich wszystkich na piasku pustyni, wyjąwszy kilku, którzy uciekli; napiłem się wody i późno już w nocy powróciłem do obozu. Był już tam dla mnie wystawiony naprędce łuk tryumfalny i iluminacje ze stosów pachnącego drzewa. Z łupów zabranych na nieprzyjaciela wzięłem sobie tylko wino i do rana piłem z przyjaciółmi.

Widzisz, Wicusiu! takie to były moje najmilsze zabawki. Bierz przykład ze mnie. I teraz bym chętnie wrócił do takiego życia, tylko starzeć się jakoś zaczynam. Twoje zdrowie, Wicusiu! - Wychylił pu-  
char  
i  
nalał  
sobie drugi, a próżną butelkę pod kanapę rzucił, jak, gdyby jej widok był mu niemiły.

- Jakże W Pana Negus nagroził za zwycięstwo? - spytałem.

- Ha! - zawołał stary - jużem ci mówił, że to był pan z panów, niezmiernie wspaniałomyślny, a dla mnie szczególnie względny. Obsypał mnie darami i łaską. Zostałem najpierwszą po nim osobą w państwie. Chciał mi nawet własną córkę dać za żonę, tym więcej że się we mnie bez pamięci kochała. Tej dystynkcji jednak przyjąć nie mogłem, bom wtedy już był żonatym. I dotąd jeszcze może mam gdzieś żonę, lubo nie daje o sobie żadnej wiadomości. Przepadła jak kamień w wodzie!

- Jak to? - rzekłem z zadziwieniem. - W Pan byłes żonaty? Nigdy tego nie podejrzewał i wszyscy tu są pewni, żeś ślubów małżeńskich nie zawierał.

- Mylicie się! Ja, com zjadł Stacha i Wacha, a zakąsiłem siarką i saletrą, byłem żonaty. Miałem śliczną zoneczkę. Cóż, kiedy to była syrena.

- Co też W Pan mówisz?

- Najsumienniejszą prawdę. Ot, jak się stało. Nie pamiętam, jaki

kaprys zaprowadził mnie do Frieslandii, ale to był niezawodny kaprys, bo kto by tam do takich kątów zaglądał? Chyba flis albo kupiec. Dobrze mi się wtedy działo. Miałem w kieszeni z pół miliona złotych polskich... .

- Pół miliona! - powtórzyłem.

- Może nawet więcej - odparł Tarabankiewicz obojętnie - bom ich nie liczył. Kapnęło to do kieszeni całe niespodzianie. I w sam czas - w momencie krytycznym...

- Pewnie WPan wygrałeś w karty?

211

A tak! w faraona w Homburgu. Ale nie masz wyobrażenia, jaką okropną przeszedłem kolej zwątpienia, męczarni i upokorzenia, nim fortuna przechyliła swoje szale stanowczo na moją stronę! Trzeba ci wiedzieć, że miałem zwyczaj zatrzymywać się zawsze w najlepszych hotelach. W Homburgu sąsiadem moim był jakiś karciarz, który do mojego przybycia wszystkich już był ograł i nudził się strasznie, bo nikt nie odważył się więcej z nim mierzyć. Był to człowiek bardzo wesołego charakteru i dlatego go polubił, ale grać nie chciałem, bo mi wszystkiego zostawało tylko sto czerwonych złotych. Przeciwnie, chciałem zachować jakąś oszczędność i tymczasem obmyślić sobie coś na przyszłość. Wszakże nie mogłem wytrwać w postanowieniu.

Jak mnie zaczął molestować a wyrzucać mi tchórzostwo, tak nareszcie mnie skusił. W moim własnym pokoju siedliśmy do zielonego stolika. Z początku fortuna mi się uśmiechnęła: wygrałem stos złota, wszakże

niebawem szansa się przemieniła i zgrałem się do nitki. Puściłem zegarek, precjoza, garderobę - wszystko. Mój karciarz śmiał się i żartował, jak gdyby w mojej biedzie było co zabawnego. Na koniec w uniesieniu tej dziwnej wesołości „powiada mi: - Postaw WPan swoje palone buty, przyjmę je w dziesięciu frankach. - Człowiek w złym humorze nie bardzo się zastanawia. Postawiłem i przegrałem, a on zawołał służącego i kazał mi ściągnąć z nóg obuwie. Tak samo pozbyłem się innych części ubrania i zostałem prawie w tym stanie, w jakim człowiek na świat przychodzi, z tą tylko różnicą, że niemowlę płacze, a ja byłem zły. Wtedy śmiejący się ciągle i żartujący z mego nieszczęścia karciarz zaproponował mi zuchwale, żebym postawił na kartę połowę nosa lub połowę ucha, zostawiając mi wybór między jednym i drugim. - Co gorsze - dodał - to sobie sam oderzniesz i oddasz mi do mojego anatomicznego zbioru.

- Czy WPan jesteś doktor, czy diabeł? - spytałem oburzony.

- Jeden i drugi - odpowiedział chichocząc okropnie. Wstał z

212

krzesła, wyjął z toaletki ode mnie wygranej brzytwę i położył na stole.

Wyobraź sobie, Wicusiu, moje położenie. Bez grosza, bez garderoby,

bez bielizny, goły jak święty turecki, nie mogłem wyjść za próg

tego przekłętego mieszkania. Musiałem się koniecznie na coś zdecydować.

- I nos, i ucho są równie potrzebne - pomyślałem sobie - lecz z

utrata ucha traci się honor, wypada mi więc uczynić ofiarę z nosa. - A

przyzwawszy na pomoc filozofię, rzekłem sobie: - Cóż to takiego ko-

niecznego ten nos? przecie tabaki nie zażywam. Mogłem się urodzić bez nosa albo go w bitwie stracić, a więc mogę go i oderżnąć. Może mj. to wyjdzie nawet na lepsze? przynajmniej ja!mużnę każdy mi chętniej poda. I sztuczny nos też można sobie przyrobić tak doskonale, że go od naturalnego odróżnić niepodobna... Zresztą może wygram? Ho!

Stach i Wach, siarka i saletra! wtedy wszystko się poprawi! - Pytam go tedy:

- A jak wiele WPan szacujesz mój nos?

- Połowę tylko! połowę, mój miły panie! - odpowiada mi zanosząc się od diabelskiego śmiechu. - Oceń ją WPan sam. Skąd mnie wiedzieć, wiele warta połowa cudzego nosa?

- Żebyś się udławił siarką i saletrą! - krzyknąłem - i ja też nie wiem, bo mego nosa nigdy jeszcze nie puszczał na licytację. Powiedz, co ci sumienie podyktuje.

- Biorę tę połówkę w dziesięciu czerwonych złotych - rzekł trzymając się za boki. - Spodziewam się, żeś zadowolony?

- Nie bardzo - wyjęknąłem z westchnieniem.

- No, to ja przyjmuję w piętnastu! - zawołał.

Oczywiście, że się na to już musiał zgodzić, bo mi wstyd było targować się dłużej o połowę mego nosa. I dobrze zrobił. Od tej chwili los, jakby na ukaranie nieludzkiej jego wesołości i jego diabelskiej propozycji, zaczął mi stanowczo sprzyjać. Karta za kartą wygrywała.

Giałem zuchwale parole i wciąż szczęśliwie. Odzyskałem to, com był

stracił, i wygrałem od niego wszystkie pieniądze, precjoza i wiedeńską karete. Co powiesz? nie zasmucił się bardzo, tylko śmiać się przestał. Chciał postawić swoją garderobę, bieliznę i połowę nosa, alem się na to nie zgodził. Szlachcic takimi drobiazgami pogardza, a chrześcijanin ludzi nie kaleczy. Żal mi go było. Dałem mu z litości sto złotych polskich z warunkiem, że mnie do gry namawiać nie będzie, i rzekłem z powagą: - Za te pieniądze możesz WPan załatwić w przeciągu doby wszystkie niezbędne potrzeby i nawet trochę pohulać, a jeżeli we dwadzieścia cztery godziny nic nie wymyślisz dla siebie nadal, to cię będę miał za trzy litery. - Widzisz, Wicusiu, do jakich niebezpieczeństw namiętność prowadzi! Ledwie połowy nosa nie postradał!

- Jakżeż się WPan mógł tak narażać! - zawołałem.

- Ha! - ciągnął dalej Tarabankiewicz - taki to już mój charakter! Zawsze u mnie albo starosta, albo kapucyn! Wszakże nie jestem ja pozbawiony i oględności. Z Homburga wyjechałem natychmiast. A teraz wracam do zaczętej historii. Pamiętasz? byłem we Frieslandii. Siedzę sobie tam w Stavoren w najlepszej oberży i piję poncz, aż tu dają mi znać, że jakiś spekulant pokazuje śliczną syrenę. - Hm! - pomyślałem sobie - zjadłem ci ja Stacha i Wacha, zakąsiłem siarką i saletrą i widziałem osobliwości większe niż syrena, ale nie mam teraz co robić, a kiedy powiadają, że piękna, to już ci nie zawadzi ją zobaczyć. - Poszedłem tedy. Syrena ze względów wstydlivosti niewieściej siedziała w wannie napełnionej zafarbowaną wodą. Oczy mi się rozbiegły, jakem spojrzał na nią. Imaginuj sobie, Wicusiu, cudownie piękną



miała twarz, szyję, piersi -. a warkocz na jakie trzy łokcie! Pytam się

spekulanta: czy z ogonem?

- Gdzież tam! - odpowiedział mi - jako żywo nie ma ogona! Taka

sama kobieta jak i drugie, tylko wodna, to jest urodzona w wodzie i w

214

niej tylko żyć mogąca.

- A czy nie ma jakiego innego defektu?

- Żadnego. Owszem, posiada niektóre talenta: mówi kilkoma języ-

kami i ładnie śpiewa.

Zaraz z nim tedy poszedłem w targ i za dwa tysiące czerwonych złot-

tych kupiłem syrenę.

- Czy WPan będziesz ją pokazywać za pieniądze? - pyta mnie spe-

kulant sądząc, że go może oszukał.

- Ani za pieniądze, ani darmo! - replikuję mu.- Zjadłem Stacha i

Wacha, zakąsiłem siarką i saletrą! nie głupim.

- To na cóż się ona WPanu przyda?

- A już to moja rzecz! - odrzekłem.

Wiedząc o tym, że syreny lubią słodyczne, zacząłem swoją częstować

rozmaitymi sokami i, ułożywszy sobie plan w głowie, jałem do soków

dodawać stopniowo po kilka kropel węgryna. Tak postępując, przy

umiarkowanym stopniowaniu i należytej ostrożności doszedłem na-

reszcie do tego, że syrena zamiast słodkich soków piła czyste węgier-

skie wino i wielce je sobie upodobała. Oczywiście, że zasmakowawszy

w winie, musiała stracić gust do wody. To prosta rzecz. Obrzydziła

sobie nawet wodę, a ponieważ przy wannie leżało w gotowości całe ubranie kobiece i w pokoju było lustro, więc instynktem niewieścim wiedziona zapragnęła ujrzeć się w stroju. Wyobraź sobie moją radość, Wicusiu, kiedy wszedłszy raz do niej znalazłem ją przed zwierciadłem wyświeżoną jak laleczkę i jaśniejącą całym blaskiem piękności. Rzuciła mi się na szyję, objęła białymi rączkami, wyznała mi swoją miłość i - po tygodniu byłem już szczęśliwym jej mężem.

Miodowy miesiąc jakoś prędko upłynął, a potem zaczęły się prawdziwe inne miesiące. Z boleścią serca przekonałem się, że jejmość upodobała sobie wino węgierskie więcej niż męża. Piła mocno mając słabą główkę, a stąd w domu nieustanne swary, tartas i brewerie. Nie

215

było ani chwili spokojnej. - A - pomyślałem sobie - zakąś no jejmość sobie siarką i saletrą, to może będziesz spokojniejsza. Zjadłem Stacha, zjadłem Wacha, i ciebie od gorącego napoju oduczę, tak samo jakem cię do niego przyzwyczaiał. - Jakoż udało mi się i to uskutecznić zaprawiając wino stopniowo jakimiś kroplami, które mi dał doktor. Ale skoro sobie zbrzydziła węgrzyna, wrócił jej znów dawny gust do wody i wzmagał się coraz więcej. Z początku piła tyle, że mi się to zdało hydropatyczną kuracją, i łubom ją widział w doskonałym zdrowiu, wszakże mówiłem sobie, że się może leczy na zapas. Potem coraz częściej kąpała się w wannie i przesiadywała w niej długo. Nareszcie jak pojechała raz, niby wykapać się w morzu, tak już więcej nie powróciła. Dała nurka - i została znów syreną. Prawdę mówiąc, niedługom jej

żałował, bo słyszałem od kogoś, że z takiej syreny może się narodzić  
beczka śledzi. Musiałbym więc być własne dzieci albo jeść, albo  
sprzedawać, albo zabijać.

- To nie była prawdziwa syrena! - odezwałem się.

- Dlaczego nieprawdziwa? - krzyknął paliwoda.

- Jużci dlatego, że nie miała ogona, a syrenę właśnie po ogonie się  
poznaje.

- Terefere, mój panie! - zawołał stary - bardzo przepraszam! Każdą  
rozumną istotę poznaje się po życiu, jakie prowadzi. Kobieta żyjąca w  
wodzie jest niezawodnie syreną. Niech no zwyczajna lądowa kobieta  
spróbuje posiedzieć na dnie morskim! Co to mówić! Żeby szatan żył  
po chrześcijańsku, toby był oczywiście chrześcijanin i ogon by mu nie  
przeszkodził pójść do nieba. Powiedz mi lepiej, czy ja jestem żonaty,  
czy wdowiec?

- Ani jedno, ani drugie - odrzekłem - ale mógłbyś się WPan roz-  
wieść z żoną. Są zapewne świadkowie...

- A dajże mi spokój! - zawołał obrażony Tarabankiewicz. - Nigdy w  
naszej rodzinie nikt się jeszcze nie rozwodził ze swoją połówką, lubo

216

niejedna umiała dobrze dopiec, a ty chcesz, żebym ja pierwszy na taki  
skandal się odważył. Zresztą już teraz nie mam ochoty do nowego  
małżeństwa.

- Jakże Negus przyjął wymówkę WPana?

- Negus nic; ale Negusówna wpadła w rozpacz i postanowiła się

zemścić. Wyobraź sobie, do czego to nie posunie się zakochana niewiasta! Kilka razy mnie truła, wysyłała na mnie bandytów, jej karzełek rzucił mi na szyję jadowitą tarantulę, kazała mój dom podpalić itd., wszakże nic mi z tego nie zaszkodziło. Zjadłem Stacha i Wacha, zakałem siarką i saletrą! Moja silna natura wytrzymała jedne, a odwaga zniszczyła drugie niebezpieczeństwa. Na koniec imaginuj sobie... nalej no mi węgryzka. Twoje zdrowie, mój miły! Imaginuj sobie, cóżem to chciał powiedzieć?... a! tak! Negusówna pojmowała doskonale, że lubom się wyrzekł jej ręki i chociaż nie bardzo byłem w niej zakochany, a tak sobie troszeczkę, po wojskowemu, wszelako dość było jednego słowa, nawet jednego skinienia, żebym się rzucił na tysiące śmierci. Nie wiem, czego bym był nie uczynił dla spełnienia jej życzeń, a choćby kaprysu. Jako człowiek honoru, uważałem to sobie zawsze za obowiązek.

Otóż pewnego razu powiada mi słodziutkim swoim głosem:

- Wiem o tym, mój drogi Apolinary, że ty sobie co dzień strzelasz do lwów dla zabawki, i lubo nie wątpię bynajmniej o twojej odwadze, jednakże wyznam otwarcie, że zgładzenie zwierza z dalekiej mety nie jest w moich oczach dowodem rycerskiego animuszu. Gdybyś raczył przespać jedną noc w klatce z moim lwem i jego przyjacielem tygrysem, wtedy nie zostałoby mi może żadnej wątpliwości.

- A dlaczegoż nie? - odpowiedziałem natychmiast - za trzy dni stawię się niezawodnie u klatki.

Negusówna uśmiechnęła się wdzięcznie i rzekła: - Proszę to dla

mnie uczynić.

217

- Ho, ho! - pomyślałem sobie wyszedłszy z pałacu. - Zjadłem Sta-  
cha i Wacha, zakąsiłem siarką i saletrą, czemuż bym nie miał wyspać  
się z dwoma kotami, dlatego jedynie, że są duże? - A przypomniawszy  
sobie z historii naturalnej, że kot domowy nic nie może zrobić jeżowi,  
postanowiłem salwować się od wielkich kotów przedzierzgnięciem się  
w wielkiego jeża. W tym celu udałem się do znajomego mi płatnerza i  
kazałem sobie sporządzić z hartowanej angielskiej stali powłokę w  
oczka na całe ciało od stóp do głów i tak gęsto opatrzyć kolcami, że-  
bym przywdziawszy ją na siebie niby skórę jeżową przemienił się w  
wielkiego jeża.

Na trzeci dzień wieczorem, punktualnie, dotrzymując danego sło-  
wa, opancerzyłem się kolczastą skórą i śmiało wskoczywszy do klatki,  
wtłoczyłem się natychmiast w sam węgiel, żeby dwaj przyjaciele mogli  
mnie atakować tylko z jednej strony. Bestie, przez trzy dni umyślnie  
nie karmione, miały się jak szalone, straszliwie rycząc od głodu.

Tygrys pierwszy rzucił się na mnie i pochwycił za nogę, ale poraniwszy  
sobie paszczę kolcami, odskoczył jak oparzony. Lew za nim - ja mu  
rękę aż po łokieć wsunąłem do gardła. Myślałem, że ją złamię, tak  
gwałtownie ścisnął paszczę. Lecz im okropniej ją ścisnął, tym mocniej  
raniły go stalowe kolce. Musiał nos spuścić na kwintę i odsunął się na  
bok. Na przemian to jeden, to drugi rzucali się do mnie, przygnietli do  
podłogi, rwali, darli, gryzli za głowę, to za ramię, to za grzbiet, pomięli

mnie na kwaśne jabłko, ufarbowali mi całe ciało na sino, ale koniec końców zjeść mnie nie mogli, lubo najusilniej się o to starali. Znużony, zbity i cokolwiek znudzony, przypominałem sobie znów z historii naturalnej, że wszystkie zwierzęta lękają się wzroku ludzkiego. Jakem spojrzał im prosto w oczy... tak stanęli oba jak trusie! Ho! Wicusiu! żebyś był widział, z jakim respektem patrzyli na mnie! Aż mi się śmiać chciało, jednakże wstrzymałem się od tego i już do samego rana potęgą wzroku hamowałem wściekłość dwojga bestii. Negusówna wszystko

218

to widziała z ukrytej łoży i rozgniewawszy się na biedne zwierzęta, kazała je nazajutrz rozstrzelać. Nie wiedzieć za co. Doprawdy, żal mi ich było!

Wkrótce potem, mając na uwadze, że Negusówna może zbrzydnąć od złości, i nie pragnąc drażnić jej dłużej swoją obecnością, pożegnałem solennie wspaniałomyślnego Negusa, który łatwo się domyślił powodu zmuszającego mnie do opuszczenia jego państwa. Jednakże nie wypadło mi z przyczyn politycznych ani zamieszkać w sąsiednim kraju, ani nawet przez niego przejechać chociażby incognito. Z innego znów względu chciałem Tygrysom zaimponować na waletę i dlatego oświadczyłem publicznie, że się udam na księżyc.

Ten hiperboliczny wyskok Tarabankiewicza nie bardzo mnie zadziwił. Wszakże kiedyś kula ziemską byta zbyt małą dla bohatera macedońskiego - dlaczegóżby pan Apolinary po siódmej butelce węgryna, nie rachując już araczku, nie miał zapragnąć podróży na księżyc?

Nalałem mu ósmą butelkę do puchara i dla podsyceńia rozmowy powtórzyłem niby zdziwiony: - Na księżyc?... a jakim sposobem?

- Sto tysięcy piorunów! - zawołał Tarabankiewicz, widocznie już podchwycony - jakim sposobem? Naturalnie, że nie takim, jakim kozy skaczą! rozumie się, że w balonie.

Przez dwa tygodnie dzień i noc kilka tysięcy ludzi pracowało nad sporządzeniem tego nadpowietrznego okrętu i zrobili nareszcie ogromne balonisko. Zamiast łódki u spodu kazałem przyczepić brygantynę, dlatego że tym herbem się pieczętuję, a na jej pokładzie rozłożyłem ognisko i cały tydzień za pomocą ciepła rozrzedzałem powietrze w aerostacie. Nie chciałem go napełnić gazem, bo to dzieciństwo. Wierz mi, że ogień lepszy. W górnych i mroźnych strefach eteru można się przy nim ogrzać i fajkę zapalić. Przygotowałem też sobie na wszelki przypadek wielki spadochron, osadzony na długim żelaznym

219

pręcie z zaostrzonym końcem, dlatego żeby przy zetknięciu się z ziemią łatwo się w nią wsunął i oszczędził mi niepotrzebnego wstrząśnienia. Na koniec, kiedy wszystko już było gotowe, kazałem złożyć w brygantynie moje bogactwa, zapas żywności, węgrzyna, zgęszczonego powietrza, kamiennego węgla - i obciąć postronki.

Nie wyobrazisz sobie, Wicusiu, z jaką chyżością balon poleciał do góry! prędzej od błyskawicy! Jestem pewien, że nikt z Tygrysów nie miał czasu dostrzec, jakem się kapeluszem pokłonił publiczności, bo już w tej chwili byłem nad obłokami. Lecę... lecę coraz wyżej i wyżej,

zimno mi się robi, ale to nic; piję sobie spokojnie, tak jak teraz, węgrzynka, palę fajkę i grzeję się przy ogniu. Noc przespałem wybornie w kajucie, kołysany rozkosznie na falach eteru. Nazajutrz, napiwszy się grogu, spojrzałem wkoło siebie i wpadłem w nieopisane zachwylenie. Gwiazdy zdały się być tak blisko ode mnie, że już chciałem ręką po nie sięgnąć, a planety wszystkie oświecone od słońca biegały po odwiecznych swych drogach jak złote kule. Cudowny widok, Wicusiu! Zmówiłem pacierz na chwałę Panu, który te dziwy stworzył. Taką wspaniałość górnych stref przyrodzenia trzeba widzieć na własne oczy, żeby o niej mieć pojęcie. Słowami tego nie wypowiedzieć. Lecę wciąż, lecę - aż tu jakaś ognista kometa musnęła końcem swego ogona po moim aerostacie i przestraszyła mnie cokolwiek. Zabawna rzecz taka kometa! - nie patrzy przed siebie i pędzi jak pijana. Nie lubię komet. Nareszcie siódmego dnia dotarłem aż do księżyca. Byłem już tak blisko od niego, że gołym okiem widziałem wszystko, co się na nim działo. Ale jakem się dobrze przypatrzył, to aż mnie złość wzięła. Wyobraź sobie, Wicusiu, ludzie jacyś potworni, kudłaci jak niedźwiedzie, zabawiali się puszczaniem sztucznych ogni! Żeby ich licho wzięło! Jedna opętana rakieta z szalonymi szmermelami trafiła nie wiedzieć po co na pokład mojej brygantyny i wprzód, nimem to dostrzegł, zapaliła kupę kamiennego węgla. Zrobił się pożar! Wody nie było ani

220

kropli, bo wiesz, że nigdy nie miałem do niej żadnego gustu. Zguba oczywista! Nie tracąc jednak przytomności umysłu, zacząłem czym



prędzej wyrzucić na łby tych kudłatych ludzi wszystko, co było na brygantynie, żeby przynajmniej wydobyć aerostat spod wpływu grawitacji księżycowej i powrócić do ziemskiej. Prosto mówiąc, żeby nie upaść na księżyc. Ledwie mi się to udało uczynić - balon zaczął się palić! Imaginuj sobie moje położenie! Plunąłem z góry na tych mazgajów, co nawet fajerwerków nie umieją puszczać, rzuciłem ostatnie spojrzenie na palący się aerostat i rozwinąwszy spadochron, wyskoczyłem z brygantyny. Tysiąc siarczystych piorunów! Wierz mi, Wicusiu, że lecieć na dół bardzo nieprzyjemnie, nawet ze spadochronem. Daleko lepiej wznosić się do góry., Zdało mi się, że kark niechybnie złamię. Lecę znów, lecę długie godziny i dni; mój spadochron wygiął się jak tulipan, nareszcie przeleciałem mimo wierzchołków sosen w jakimś lesie i żelazny pręt, na którym się trzymał, utknął w czymś bardzo miękkim. Zatrzymałem się bez wielkiego wstrząśnienia i po przecie spuściłem się - zgadnij, na co?

- Jużci zapewne na ziemię?

- Tak, naturalnie, ale zarazem na przebitego moim prętem niedźwiedzia! Upadkiem swoim, ani myśląc, ani marząc, uratowałem barona Plumphausen od niechybnej śmierci. A to takim sposobem.

Baron, polując w tym lesie, oddzielił się był od swoich strzelców, których trąbki i ogary grały daleko gdzieś od niego, i niespodzianie natknął się na niedźwiedzia! Strzelił o dwadzieścia kroków i chybił.

Oczywiście był mazgaj, gorszy od tych, co są na księżycu, i wart był, żeby go rozjuszony zwierz nauczył lepiej celować. Bestia istotnie za-

myślała rozszarpać go w kawałki, bo podniósłszy się na tylne łapy, biegła prosto na niego, lecz właśnie w tej krytycznej dla barona chwili ostry pręt mojego spadochronu jak raz przeszył ją przez sam środek ciała i nieruchomo przygwoździł na miejscu. Kiedym po miękkiej niedźwiedziej

221

skórze spuszczał się na ziemię, swawolnik odwrócił jeszcze łeb i połę od węgierki oderwał mi zębami. Baron z niewysłowioną wdzięcznością rzucił się w moje objęcia dziękując za przysługę, którą mu wyświadczyłem. - Nie ma za co! - zawołałem - prawdziwie nie ma za co. Lepiej mi WPan daj co zjeść i osobliwie wypić, albowiem od kilku dni niczego w gębie nie miał oprócz powietrza. - Baron zatrąbił. Świta jego zleciała się, nakarmili mnie i napoili, i zaczęliśmy *de noviter* polować. Ja sobie wybrałem dziki i odprawiwszy wszystkich od siebie, żeby mi nikt nie przeszkadzał, zabiłem tego dnia odyńca i sześć macior. Pod wieczór jeszcze jeden dzik wyskoczył z gęstwiny. Do tego nie mogłem strzelić, bom już prochu nie miał. Zarzuciłem mu więc pętlę na szyję i ścisnąłem tak mocno, że musiał pójść za mną. Strzelcy barona dobili go potem i jedliśmy z niego szynki.

- Aj! aj! - przerwałem w tym miejscu Tarabankiewiczowi. - Dla W Pana, jak widać, najtrudniejsze rzeczy były fraszkami. I z diabłem byś był podobno sobie poradził.

- Milion bomb i granatów! - zawołał paliwoda już podchmielony. - Zaczekaj! zaczekaj! zaraz i do tego dojdziemy. - Pociągnął energicznie

węgrzyna i rzekł:

- Spadłem na ziemię pod samą Norymbergą, ale spadłem goły.

Oprócz jakich dwudziestu czerwonych złotych, które mi zostały w kieszeni, i niektórych precjozików wszystkie moje bogactwa spłonęły w górnych strefach eteru. Mieszkałem wprawdzie u barona jako jego wybawca i przyjaciel, wszakże nie chciałem mu być ciężarem i prze-myślałem właśnie nad tym, co by dalej począć - kiedy cichuteńko wszedł do mego pokoju rabin norymberski Mordko. Znałem go trochę. Był to bardzo porządny i nadzwyczajnie uczony Żydek. Ostrożnie zamknął drzwi za sobą, obejrzał się wokoło, czy nie ma świadków i odezwał się półgłosem:

222

- No! dlaczego WPan taki markotny? ja wiem, czego WPanu brakuje.

- Ciekawym, czy wiesz, Żydzie - odrzekłem - gadajże prędej.

- No, na co prędej? wszakże to nie ucieknie. WPanu pieniędzy potrzeba.

- Kłamiesz, Żydzie! - krzyknąłem. - Milion milionów bomb i granatów! jeszcze mam dosyć, a jak mi zabraknie, to od barona mogę pożyczyć.

- Ja wiem, że jegomość jeszcze masz pieniądze, to prawda. Ale że WPan pożyczysz u barona, och! temu ja nie wierzę.

- A to dlaczego, Żydzie?

- Nu, dlatego, że WPan hardy. WPan szlachcic, to się lepiej ze mną

ułożysz.

- Ja nie chcę od ciebie pożyczać, Żydku, bo nie mam kaucji.

- Nu, a na co koniecznie pożyczać? na co to koniecznie kaucja?

WPan chcesz pieniędzy? ja ich nie mam, ale wiem, jak ich dostać, tylko na to potrzeba śmiałego człowieka, żeby się z diabłem rozmówił.

WPan śmiały. Ja WPana nauczę, jak to zrobić. Będziesz miał pieniędzy wiele, bardzo wiele i tylko się ze mną podzielisz.

- Ale, mój Żydku, jak diabeł zechce, żebyś mu dał na moją duszę cyrograf? albo żebyś jakie świętokradztwo popełnił? ja tego nie uczynię za żadne pieniądze.

- Nu, tego też nie będzie wcale. Na co to potrzebne? Powiadam jemu, że potrzeba być tylko śmiałym i z diabłem się rozmówić.

- Milion fur beczek!... pamiętaj, Żydzio, żebyś mnie do grzechu śmiertelnego nie namawiał, bo cię posiekam w drobne kawałki.

Mordko się uśmiechnął. - Och! po co to WPan ludzi straszysz? - rzekł i usiadłszy uczył mnie kilka godzin kabały, rozmaitych zaklinań i całego procesu działania dla wydobywania pieniędzy ze szponów złego ducha.

Widziałem, że nie było w tym nic złego oprócz może zadawania się z

223

szatanem, ale żeby ten błąd poprawić, zamierzyłem sobie połowę skarbu obrócić na dobroczynność. Nareszcie nauczył mnie wszystkiego i poszedł sobie.

Nie mogę ci, Wicusiu, opowiadać tego, co mi wtedy Mordko naga-  
dał, bobyś się może zgorszył, a ja podobno dość mam własnych grze-

chów, żebym jeszcze za drugich odpowiadał. Zresztą rabin na słowo honoru zobowiązał mnie do sekretu, a takiego słowa i Żydowi się dotrzymuje. Co się zaś tyczy skarbu, to o tym wie cała Norymberga, a zatem i przed tobą nie uczynię z tego tajemnicy. Właśnie w owym czasie umarł był w tym mieście najbogatszy może na całym świecie bankier Josiel Pingwin. Ojciec jego był sobie jakimś obdartusem, faktorem i on gam za młodu wygrzebywał ze śmieci gałgany na zbyt do piarni, ale potem, diabeł go wie jakim sposobem, zaczął się prędko bogacić. Z początku założył sklepik starych rupieci, następnie sklep korzenny, a po kilkunastu latach kantor wekslowy. Pożyczał pieniędzy na lichwę i na koniec został bankierem. Szczęściło mu się nadzwyczajnie. Każda spekulacja handlowa udawała się mu niezawodnie. Żaden jego okręt nie rozbił się na morzu, żaden jego spółnik nie zbankrutował. Często odważa się na przedsięwzięcia, które inni uważali za szaleństwo, najpomyślniej doprowadzał je do skutku. Nic dziwnego, że takim sposobem zebrał ogromne kapitały. Pod starość coraz mniej zajmował się handlem; i jakby nie lubiąc papierów, które przypominały mu młodość spędzoną na wygrzebywaniu gałganów, całą swoją fortunę trzymał w złocie i precjozach. Nigdy nie był żonaty, z nikim nie miał najmniejszej zażyłości, ludzi nienawidził, a sobie skąpił we wszystkim, aż nareszcie umarł tak szkaradnie, jak się można było spodziewać po niecnym jego życiu. Obwiesił się na środku podwórza, zapaliwszy wprzód swoją kamienicę! Imaginuj sobie - jak zgorzała do szczytu, nie znaleziono w gruzach nic więcej oprócz popiołu i kamieni,

choć całemu miastu było wiadomo z pewnością, że na kilka dni

221

przed tym wypadkiem ogromne jego bogactwa znajdowały się jeszcze w piwnicy. Rabin, szpiegujący go przez sługi, wiedział o wszystkim najdokładniej. Całe to eldorado znikło bez żadnego śladu jak kamfora!

Mordko namówił mnie, żebym naprzód wywołał z grobu Pingwina i dowiedział się od niego, co zrobił ze swoimi skarbami. Wszakże wąpiliśmy obydwaj o skutku. Byliśmy pewni, że Josiel wytrzyma najstraszliwsze zaklęcia, a swojej tajemnicy nie wyjawia. Dlatego rabi przygotował mnie do wywołania złego ducha i do rozmowy z nim.

W naznaczoną noc poszedłem śmiało na kirkut 1 żydowski.

k i r k u t - cmentarz żydowski

Księżyc, zapewne przez pamięć, żem go niedawno jeszcze chciał odwiedzić, przedzierał się na przebój przez gęste chmury, żeby mi drogę oświecić, ale czarne masy nalatywały nań ustawicznie, jak rozsypane karaczany z pośpiechem zdążające ku świecy. Kilka razy potknąłem się w ciemności przemykając się między mogiłami. Wiatr świszczął po ostach i dzikich chwastach cmentarza, suche zielsko szeleściło mi pod nogami jakby zgrzytanie żydowskich zębów, jakiś pies skowyczał z daleka i puszczyki hukały zapamiętałe, niby gniewające się za przerwanie ich samotności. Przy świetle miesiąca, co się na chwilę wynurzył z obłoków, znalazłem nareszcie mogiłę Pingwina. Sterczała jak garb wielbłąda. Nic na niej nie rosło oprócz krótkiej i żółkłej trawy. Żadna zieloność jej nie zdobiła, albowiem nieboszczyk

był z pokolenia Ruben, a podług Talmudu nad trupami synów Rubenowych żadna roślina rozkrzewić się nie może. Przypomniawszy sobie naukę Mordka, wziąłem się do zaklinania. Niebawem zrobił się wokoło szum wielki, jakby syczenie żmij, ziemia na mogile jęła się podnosić i rozpadać na strony, jakiś stek odezwał się z głębi i powoli wysunęła się z grobu głowa Josiela. Twarz jego trupiej bladości, pomarszczona i pokrzywiona, z rozpuszczonymi w nieładzie włosami zwróciła się ku

225

mnie; oczy gorejące piekielnym ogniem utkwiły we mnie wzrok surowy i zdumiony, a z ust wydobył się jęk bolesny i westchnienie. Głowa wpatrywała się w moje rysy chcąc je rozpoznać i na koniec stłumionym głosem, jakby z otchłani wydobytym, odezwała się:

- Nie znam ciebie. Czego chcesz? - Nicem na to nie odpowiedział, tylko dalej zaklinał, bo potrzeba było, żeby wprzód cały Josiel wylazł z grobu. Musiał się poddać mojej woli i wciąż wzdychając ciężko a jęcząc żałośnie wygramolił się z ziemi, usiadł na mogile i swoim śmiertelnym prześcieradłem się owinał. - Zimno tu! - rzekł świdrując mnie znów swoim dzikim spojrzeniem. - No, mów prędzej, czego chcesz? - Kazałem mu wyjawić, gdzie są jego skarby? Ale Żyd tylko ryknął przeraźliwie i z rozpaczą załamawszy rękę siedział milczący, nie dając mi żadnej odpowiedzi. Zaklinałem go coraz mocniej, coraz potężniej - oczy mu prawie ze łba wylazły, tak na mnie wzrok wyteęzał, roziskrzyły się, paliły się ogniem i ciskały błyskawice gniewu; zgrzytał zębami od wściekłości i jęczał od katuszy, lecz milczał uporczywie... - Milionkroć

sto tysięcy fur beczek! - zawołałem zniecierpliwiony i wymówiłem ostatnie zaklęcie. Josiel zerwał się na równe nogi, wyprostował się i porwawszy się obydwoma rękami za głowę zawołał z najgwałtowniejszą desperacją: - Nie męcz mnie! och! nie męcz! wszystkim diabłu odda!

- Któremu? - podchwyciłem natychmiast. - Powiedz jego imię!

- Astaroth! - wrzasnął Josiel i z trzaskiem zapadł się do grobu.

Ziemia naokoło zadrżała od wstrząśnienia i ostatni, przeciągły rozdzierający jęk odezwał się jeszcze z głębi mogiły. Aż mi dreszcz przeleciał po skórze. A tu trzeba było zacząć coś jeszcze straszniejszego.

Wprawdzie uspokoiło mnie to cokolwiek, że podług zapewnienia rabina ten, którego zamierzał wywołać, miał się nie od razu pokazać w swojej okropnej postaci, lecz stopniowo stawać się coraz straszniejszym.

226

Przystąpiłem więc do zaklinań.

Po kilku chwilach wyskoczyła spod chwastu brzydka żaba, wytrzeszczyła na mnie ślipia i zaczęła się wydymać. Co ja słowo wymówię, to ona staje się grubszą i ślipie we łbie więcej jej błyszczą. Po skończeniu pierwszego zaklęcia zrobiła się z niej już obrzydliwa ropucha takich rozmiarów jak baran. W czasie drugiego zaklęcia wyrósł jej ogon, ślipie roziskrzyły się okropnie i przemieniła się w jaszczurkę tak wielką jak krowa, w ciągu trzeciego zaklęcia przybyły jej skrzydła błoniaste jak u nietoperza i z jaszczurki zrobił się straszny smok wielkości słonia. Nareszcie, kiedym jeszcze jedno słowo wymówił, smok pod-



niósł się do góry, szeroko rozmachnął skrzydłami, wytrzeszczył ogniste slipie i roztworzył paszczę. Sądziłem, że mnie pożre, i machinalnie zmrużyłem oczy. Kiedym spojrział potem, już Astaroth stał przede mną w całej swej potworności, sięgając swoim kudłatym jłbem wyżej zwyczajnych jodeł. Wydawałem się przy im jak karzeł przy olbrzymie. Hu! hu! cóż to za straszycie! Ale nie będę ci go opisywał! za nic! za nic! Nie chcę sobie tego przypominać, a ciebie straszyć, bobyś zapewne kilka nocy spać nie mógł. Dość, że mnie spytał, rycząc jak lew, czego bym od niego żądał? Ledwie to wyłuszczył, zaśmiał się tak okropnie, że odbite echa wydały mi się jak grzmoty w czasie nawałnicy.

- A jeżeli nie powiem? - spytał mnie ujawszy się w boki.

- To cię do tego zmuszę! - krzyknąłem.

- Ty? ty mnie zmusisz, robaku? - zawołał zdziwiony niewymownie i w roztargnieniu... imaginuj sobie... imaginuj sobie...

- Panie Apolinary! - przerwałem mu nie mogąc wstrzymać się od śmiechu - niewiele tu podobno moja imaginacja pomoże.

Ale pan Apolinary, od dawna już cięty jak bela, spojrział na mnie mętnym wzrokiem i nieprzytomnie zabelkotał: - Wszystko prawda,

227

milionkroć sto tysięcy fur... Co to sobie myślisz, Wicusiu, że ja komponuję? Imaginuj sobie, pieniądze dostałem; imaginuj sobie, wysypałem własnym kosztem wyspę na Morzu Śródziemnym; imaginuj sobie, zaludniłem ją moimi dziećmi; imaginuj sobie, byłem baszą! Imaginuj

sobie... imaginuj sobie... - pochylił się na bok i zachrapał z bohaterską energią.

Kazałem mu posłać na drugiej kanapie i porządnie do snu go ułożyć.

Nazajutrz, kiedym się obudził, Tarabankiewicza już nie było. Stary wstał raniutko, ubrał się bez pomocy służącego i poszedł na mszę do oo. kapucynów. Na stoliku znalazłem karteczkę, na której napisał ołówkiem: „Proszę ciebie, panie Wincenty, jeżeli mi się zdarzyło w ciągu wczorajszej rozmowy powiedzieć jaką niedorzeczność, to nie bierz mi jej za złe i zapomnij o wszystkim. Czasami głowa już mi nie dopisuje. Wyraźnie zaczynam się starzeć!”

- Pocziwy Tarabankiewicz! - pomyślałem sobie. - Kto wie? może to już ostatni na Mazowszu paliwoda. - Nie uważam go za prawdziwego artystę, sądzę jednak że by się mógł jeszcze doskonalić, gdyby na nie-szczęście nie zaczynał się już starzeć.

Co się zaś tyczy mojej recepty, to nie żałuję wcale wieczora spędzonego z paliwodą. Wieczór w salonie byłby naturalnie świetniejszym, lecz te bębenki! ach! te bębenki może by mi były zepsuły całą przyjemność. Pan Apolinary także nosił z sobą bęben, i do tego ogromny, ale tarabanił na nim ze szczerą dla mnie życzliwością, nie wymagając bynajmniej, żebym tańczył, jak on każe.

Teodor Tripplin

# GROBOWIEC BEZ NAPISU NAD NIEMNEM

---

Ojców naszą Szwajcarią, a Niemen naszym Renem, i to w większych rozmiarach, w przybliżeniu, co do stosunku, odpowiedniejszym. Niemen nie toczy nurty swoje w płaskim, szlamowatym, niestałym korycie, które się rokrocznie zmienia z wielką szkodą dla pól i wsi sąsiednich; Niemen płynie poważnie w całej świetności dzielnego strumienia, w głębokim korycie, którego kwieciste brzegi pną się wysoko w górę i napełnione są trwałymi pamiątkami upłynionych wieków. Wszędzie tu w tym okazałym pięknie taki ogrom poezji i historii, tak dużo przypomnień, wiążących serce do miejscowości, że chwile ubiegają nieznacznie w zapatrywaniu się na taki obszar modrej wody, dźwigającej na swym zwierciadle statki od północy i od południa z daleka przybyłe.

Lecz nie tylko starożytność napełniła te miejsca urokami wspomnień; nie, tu do dziś dnia mieszkają poeci, twórcy coraz to nowego piękna; i patrz na Romajnie, na Czerwony Dwór, na Belweder, Wielonę: wszędzie znajdziesz ogrody, kościoły i pałace świadczące o wykształconym smaku Żmudzinów i o ich usposobieniu poetycznym,

które ich prowadzi do ciągłego upiększania swych siedzib.

229

W obliczu tego piękna chętnie się rodzą poeci, poezja przesiąka tu wszystkie dusze; pytaj powietrza niosącego na swych skrzydłach pie-  
nia kmiotków tutejszych, czy nie ma poezji w prostym ludzie żmudz-  
kim.

Nawet czasem rodzą się tu ludzie z proroczymi przeczuciami, tak  
jak w górach Norwegii i Szkocji, bo w każdym ludzie niezepsutym  
tkwi coś nadludzkiego, czego żadnym sposobem prawami fizjologii  
nie wytłumaczysz.

Owóz błakając się niedawno temu na brzegach Niemna, nadsze-  
dłem na brzeg Niewiaży, jednej z wartkich rzek żywiących swymi wo-  
dami koryto starego Niemna. Nie taką okazała się Wilia, której ujście  
tylko stąd o milę; Niewiaża płynie szumnie pomiędzy skałami i dar-  
nią, rozbija tamujące jej bieg boki granitu, warczy pomiędzy koral-  
istymi burzanami i znów roztacza się w spokojniejsze koryto, nareszcie  
znika w łonie starego kochanka, który już tyle pochłonał wody i  
wszystkie niesie do Bałtyku.

Okolice Niewiaży są tak piękne, tak zachwycające, że się podróży-  
pisarz wzdryga o nich pisać z obawy, żeby go nie podejrzewano o  
przesadzenie. Ale ten strumień pędzący z serca Żmudzi wije się po-  
między najmiłszymi wzgórzami, rozweselającymi oko stęsknionego w  
Litwie do malowniczości podróżnika; ale te wody dzwonią i śpiewają  
pomiędzy wysokimi, kwiecistym gajem uwieńczonymi górami, w tych

zaś górach jeszcze nie tak bardzo dawno, bo tylko przed czterystu laty palono znicze, ubóstwiano Perkuna i podobno ludzkie składano ofiary.

Teraz tu spokój i łagodność wszędzie; Żmudź, opierająca się tak zacięcie Bogu chrześcijan, pokochała go nareszcie szczerze i z ujmującą rzewnością, i aż do krwi zaszły im nowej religii prawdy, bo drapieżnego wojownika przemieniły w najpracowitszego, spokojnego rolnika, który ze śpiewem idzie do pracy, ze śpiewem od niej wraca i modły swe wznosi do Boga.

Z tej strony Niewiaży jeszcze Litwa, z tamtej strony piękna, żyzna i bogata Żmudź. Ze strony Romajń wkraczam na Żmudź, i to promem

230

zaczepionym o linę, która przekracza z jednego brzegu na drugi.

Piękny stąd widok na nowo zbudowany kościół, którym dziedzic Czerwonego Dworu obdarzył krainę; kościół z dwiema wieżami, w nadobnym lekkim stylu postawiony, coś niby podobny do naszego kościoła pod wezwaniem Św. Karola Boromeusza, ale nie tak duży, z daleka jednak wydaje się większym, bo proporcje wież do budynku lepiej zastosowane.

Ale nie dochodząc do kościoła, z prawej strony drogi, na pagóreczku pomiędzy drzewami i krzewem, to jest w lubym gajku, ujrzysz kilka grobowych pomników z kamienia pomiędzy lasem wysokich krzyżów, którymi pobożny lud żmudzki lubi zdobić swoje cmentarze.

Wszystko tchnęło spokojem i nadobnością w tej wymownej krainie

śmierci, a sceneria okoliczna, ze wszech stron tak ogromna i świetna, udzieliła szczególnego uroku temu zakątkowi kwitnącemu barwami jesiennej roślinności. Tu nie można było pozostać bez wzruszenia wobec majestatu natury i tego cichego przytułku, z którego może w nocy bardzo ciemnej duchy tu leżących przypatrują się Niemnowi, Wilii, Niewiaży, Kownu, Górom Berberysowym, Aleksocie, Poza jściu, Poniemuniu i Sapieżyszkom. A wszystko to widziałeś tu stąd, i to miejsce jak gdyby umyślnie na to wybrane, żeby duszom wygodnie było patrzeć na kraj tak piękny, w którym kiedyś mieszkały.

- Ale czyżże ten pomnik marmurowy bez żadnego napisu? Prawda, niestary jeszcze grobowiec, ale już kilka lat stać musi na tym miejscu, i dziwi mnie, że żadnego nie położono na nim napisu.

Tymi się słowy zwróciłem do jakiegoś poczciwca, który także na ten cmentarz w milczeniu i z czapką w ręku spoglądał, a jakoś z miny wyglądał przynajmniej na szlachcica umiającego po polsku i zdolnego odpowiedzieć na moje pytanie.

Ale mi nie odpowiedział, tylko smutno pokiwał głową, coś sobie pod nosem brzdąkając, co miało znaczyć: „Po cóż tam wzruszać umarłe

231

kości w trumnie? Pan Bóg dobrze wie, jak się ona nazywa; co to ludziom do tego?”

- Ale przecież, mój przyjacielu, wierz mi pan, że nie prosta ciekawość mną powoduje: chciałbym wiedzieć, dla kogo się mam modlić, to przecież wolno.

- Dla najlepszej pani w świecie, dla młodej, dwudziestoletniej, przedwcześnie zgasłej matki. Ha! żebyś pan wiedział, jak ją tu kochano! Bo że świeciła i cnotą, i urodą ponad wszystkie inne w okolicy, to, z przeproszeniem żyjących jeszcze jejmości, powiedzieć mogę bez obrazy prawdy.

- Ale jak się nazywała, kto to był?

- Kiedy jej własny małżonek chciał zamilczeć jej nazwisko i nic nie napisał na kamieniu, to i ja tajemnicy nie zdradzę. Musiał mieć jakąś w tym przyczynę, kiedy tak zrobił, bo ten pomnik już lat kilka tu stoi i czasu nie brakło na wykucie jakiegoś ładnego napisu. To chyba, że z powodu nieszczęsnego rodzaju śmierci, którego padła ofiarą, pan hrabia nie chciałby wspominać jej i swojego nazwiska na tym kamieniu... alboż ja tam wiem? dość, że nie zdradzę tajemnicy.

- Jakiegoż przykrego rodzaju śmierci padła ofiarą? Nie widzi jejomość, że mnie strasznie rozciekawiasz tymi cząstkowymi wyznaczeniami rzeczy, która nie musi być tajemnicą tu w kraju. Więc jakąż zginęła śmiercią ta piękna, młoda i tak dobra pani, która tu spoczywa pod tym grobowcem bez napisu?

- Otóż, utonęła... tu w tej Niewiaży, którą pan widzisz pod swoimi stopami, tam na dole. Utonęła, i to razem z...

- Z swoim dzieckiem?

- Nie! tylko z swoją panną służącą, która była moją córką i tu leży pochowana, obok pani swojej, pod tą mogiłą, nad którą wzniesiony drewniany krzyż.

Pocziwcowi wystąpiły łzy w oczy, gdy tych słów domawiał, a ja, wzruszony boleścią ojca stojącego nad grobem swej utopionej córki, zdjąłem kapelusz z głowy i westchnąłem do Boga, aby raczył balsamem

232

religii uśmierzać tak sprawiedliwy żal.

- Opowiedz jegomość wszystko, co tylko wiesz o tym nieszczęsnym wypadku, opowiedz od samego początku aż do końca, nic nie opuszczając.

- Od samego początku?... Więc daleko ciągnąć muszę, aż do lat dziecinnych mojej młodej pani. Otóż będąc jeszcze sześć- czy siedmioletnim dziecięciem i bawiąc się w ogrodzie dworu swojego nad brzegiem Niewiaży, wpadła przypadkiem w jej nurty, gdy nikogo nie było przy niej, i byłaby niezawodnie zginęła, tylko że z błękitnych wód rzeki wystąpiła jakaś śnieżna rusałka w czarnym brylantowym diademie na głowie, wyciągnęła młodą panienkę z wody i tuląc ją do swoich nagich chłodnych piersi, rzekła do niej:

- Zosiu, ja jestem Ondyna 1 tej rzeki i lubię się otaczać w moich kryształowych pałacach tak pięknymi jak ty dziećmi; już dawno na ciebie czatowałam, przecież cię mam i unieść z sobą mogę.

10 n d y n a - legendarna boginka wodna, rusałka zwabiająca młodych mężczyzn w tonie rzek lub jezior; Undyna

Panna Zofia płakała i błagała Ondynę, żeby jej nie brała z sobą, bo mama umrze z żalu. I te łzy wzruszyły Ondynę, i rzekła ona:

- Dobrze, więc pozostawię cię na ziemi; ale cię zobaczę i z tobą się



połączę pierwszy raz, kiedy mnie wezwiesz na pomoc, i już się z tobą nigdy nie rozstanę.

Ondyna odniosła pannę Zofię na brzeg i położyła ją na murawie pomiędzy kwiatami, które z nurtów wody naniosiła. Od miłego, ale mocnego zapachu kwiatów Zosia usnęła i my zastaliśmy ją w najlepszej śpiącą, ale jeszcze w zupełnie zmoczonych sukniach.

Potem ona nam sama opowiadała ową przygodę z Ondyną, a my wszyscy mniemaliśmy, że to być nie mogło w istocie, że to chyba w śnie mogą wyroić się takie rzeczy.

233

Zresztą panna Zofia miała głowę w gorączce, lekarz kazał pijawki przystawiać za uszami.

Ale skąd to przemoczenie sukni aż do suchej nitki? skąd te kwiaty? w naszych wodach nie kwitną. A równie czemuż od tej chwili panna Zofia jakiegoś doznaje niezwalzonego wstrętu do wody? Omija ją, gdzie tylko może, nie lubi na nią patrzeć.

W lat kilka potem umarła matka panny Zofii i ona wychowywała się przy ojcu swoim, nader uczonym i dostojnym panie, który nie żałował dla swego jedyne go dziecka mozołów i guwernantek. Dość, że nasza pani enka, dostąpiwszy siedemnastego roku życia, uchodziła za cud pod wieloma względami, ale to jako najmędrsza, najpiękniejsza, najlepsza z serca, a z duszy najreligijniejsza osoba.

A w sąsiedztwie naszym mieszkał młody szlachcic, tak piękny i miły jak anioł, ale przez kobiety cokolwiek papinkowato i wychowany i

strasznie zepsuty, tak że co się panu Arturowi spodobało, to mieć musiał; a wszystkie kobiety w nim się kochały, chociaż nie słynął z mocy charakteru ani też z bardzo wielkiego rozumu, tylko tak sobie po prostu był pustym, jak zwykle bywają bardzo przystojni, przez kobiety wychowani mężczyźni. Zresztą odwagi nikt mu odmówić nie mógł.

Może tym się najwięcej podobał pannie Zofii; ale koniec końcem pokochała się w nim do tego stopnia, że już uczuć swoich żadnym żywym sposobem opanować nie mogła i wyraźnie okazywać zaczęła przychyłność panu Arturowi, od roku już się ubiegającemu o to jako o największe szczęście.

p a p i n e k - pieszczoszek, delikacik, maminsynek

A cała się okolica nadziwić nie mogła, że tak mądra i świetnie wychowana panna mogła pokochać szlachcica żadnym ważnym przymiotem prócz piękności nie celującego; ale darmo, miłość jest ślepa nawet u bardzo rozumnych ludzi; u tych może jeszcze więcej ślepa, głównie dlatego, że zanadto sobie, a mało innym wierzą i dobrej rady za nic w

234

świecie nie przyjmą.

Dostojny ojciec panny Zofii ani chciał słyszeć o panu Arturze, którego wszędzie wystawiał jako fircyka na bardzo małą uwagę zasługującego; i ani nawet dopuszczał, żeby jego córka, tak starannie wychowana, tak świetnymi zdolnościami wyposażona, mogła się zająć młodym szlachcicem, u którego jeszcze bardzo niedojrzało było w głowie.

A jednak panna Zofia pomimo swej wyższości poznała przemagają-

cy wpływ bystrych oczu pana Artura i nie wahała się połączyć swe świetne wykształcenie z zarozumiałą płochością pięknego sąsiada, w którym już podobno wówczas niejedna się kochała dostojnej duszy pani.

Przyszło do deklaracji: jaśnie pan odmawia; panienska klęka i przysięga przejmującym głosem, że jeśli ojciec natychmiast nie zezwoli, to ona pójdzie nad Niewiażę wezwać pomocy Ondyny.

Jaśnie pan, lubo do dziś dnia jeden z najrozumniejszych i, jak utrzymują znawcy, jeden z najuczeńszych ludzi w Żmudzi, dał się jednakże przestraszyć groźbami na pozór tak niedorzecznymi. Ale te groźby takim przeświadczeniem pryskały z oczu tak młodej i świetnie pięknej osoby, że wszystkich przestraszyły, wszystkich zwalczyły, a nawet ojca, człowieka głębokiej wiedzy i doskonałego hartu duszy.

Nikt w tej chwili nie wątplił, że panna Zofia rzuci się w Niewiażę, aby wezwać pomocy Ondyny, która ją zabierze ze sobą do swych kryształowych pałaców.

Ojciec tedy zezwolił i wkrótce potem odbył się ślub najprzystojniejszych Żmudzinów z niezmierną okazałością, i nie było dwóch ludzi szczęśliwszych od pana Artura i pani Zofii przez czas dość długi.

Lecz wiecznie tak nie pozostało. Pan Artur nie mógł się jedną i tą samą rzeczą zachwycać przez czas bardzo długi, a nawet w kobiecie, do której najwięcej czuł pociągu, dla której opuścił kawalerskiego życia uniesienia, a nawet w takiej kobiecie, nieskończenie od niego

wyższej nauką i duszą, nie rozkochał się do tego stopnia, żeby czasem w jej towarzystwie nie zatęsknić do dawnych hulackich zabaw, mia-  
nowicie do kart. Naprzód tęsknił tylko czasem, potem częściej; na-  
reszcie zaczął się wykradać z domu czasem, na koniec bardzo często i  
jeszcze coraz częściej. Nie umiała go oczarować rozmowa z mądrą,  
utalentowaną żoną, może tylko dlatego, że jego była żoną, że w grun-  
cie serca niewysokie mając o swojej własnej wartości przekonanie,  
wcale nie przypuszczał, żeby cokolwiek bądź bardzo wiele wartego  
należać doń mogło.

Żona młoda, tak bardzo rozkochana, przez czas bardzo długi pojąć  
nie mogła, żeby ten słabł dla niej w miłości, dla którego ona codzien-  
nie większym goreje zapalem. Ona, przez czas niejaki jak zaślepiona,  
widziała go codziennie doskonalszym w swej wyobraźni, własnymi go  
ozdabiała przymiotami; w każdym słowie jego znajdowała dowody  
jakiejś wyższości ducha, której on nie posiadał.

Bardzo późno, i to dopiero wtenczas, kiedy go z parę tysięcy razy  
widziała ziewającego w jej towarzystwie lub nad książką, bardzo póź-  
no, mówię, smutna myśl, że on istotnie nie jest godnym jej samej,  
zakołatała w jej głowie i potem już tam nie przestała pokutować z  
wszystkimi odgłosami słów i przestróg ojca.

Jednakże przybycie na świat pierworodnego syna odświeżyło uczu-  
cia miłosne pana Artura na czas niejaki i jakieś nowe, nigdy mu nie  
znane tkliwości ojcowskie przykuły go na czas niejaki do domu: wy-  
trwał jakoś parę miesięcy i pani Zofia, wdzięczna za te nowe objawy

serdeczności, wybaczyła najzupełniej. Zapomniała tak dobrze swej dawnej niewiary w wyższość małżonka swojego, że nawet nigdy nie miała sposobności wyrzucać jej sobie. Ależ nareszcie nie sposób siedzieć bezustannie w domu, ona sama to uznaje. Pan Artur znowu jeździ na stypy, pogrzeby i na polowania, i nareszcie powraca do swojego dawnego ulubienia - do zgrywania się z sąsiadami w karty.

236

I znów młoda żona uznać musiała przed sobą samą, że mąż, nudzący się tak szczerze, a nawet otwarcie w jej towarzystwie, nie może przepadać za nią, i nawet patrząc na swój dawny ideał nie przez pryzmę poezji, lecz gołymi oczyma, zniewoloną była żałować, że losy dwóch ludzi tak różnej wartości zostały splecione z sobą jednym węzłem.

Równowocześnie z chwilą, w której zaświeciła prawda w duszy pani Zofii, jej zdrowie słabnąć zaczęło, tak szybko nawet, że sam Artur, lubo do najwyższego stopnia rozbałamucony, uczuć to musiał.

A miał to, co u nas nazywają dobrym sercem, to jest był skłonny do rozrzewnień; tylko że nigdy długo nie szedł za szlachetniejszymi popędami serca swojego.

Więc razu pewnego, po powrocie z kilkudniowej wycieczki w te i owe strony, gdzie się zabawiano zabijaniem czasu rozmaitymi sposobami, pan Artur widząc, że żona we łzach i straszliwie blada, że po trzechletnim pożyciu małżeńskim ledwie cień pozostał z tak świetnego i świeżego piękna - bardzo się rozrzewnił i spytał małżonki, co może

być powodem tak straszliwej i prędkiej zmiany.

Nastąpiły wymówki, wprawdzie nadzwyczaj delikatne ze strony pani Zofii, ale które pan Artur tak dotkliwie czuł, że uspokoiwszy żonę swoją, przez cały dzień z nią pozostawał i nie bardzo się nudził ani do kart nie tęsknił.

Aż dopiero wieczorem tego dnia jakiś sąsiad dowiedziawszy się, że pan Artur w domu, zaprasza go do siebie na pogadankę, czyli raczej na preferansika, co w niektórych polskich domach, na wielkie nie-szczęście, na jedno wychodzi. (

Panu Arturowi zaiskrzyły się oczy, błagającym wzrokiem spoziera na małżonkę swoją, która wszystko pojmuje i błędnie.

- Widzę, że odgadujesz, co się we mnie dzieje, moja droga żono - przedkłada pan Artur - istotnie, chciałbym się widzieć z kochanym panem Karolem, z którym się już nie spotkałem od dwóch tygodni;

237

zresztą jest to oktawa imienin jego żony, wypadałoby tam być koniecznie, to sąsiadzka powinność.

- Ależ, Arturze, dopiero co wróciłeś i już mnie opuszczasz? Przed chwilą przysięgałeś mi, że nie pojmujesz, jak można opuszczać taką jak ja żonę - odpowie pani Zofia.

- Otóż jedź ze mną, Zofio, od dawna winnaś rewizytę twojej sąsiadce; dalej, kochana żono, zrób to dla mnie, dla męża, który tak lubi widzieć cię koło siebie.

- Nie! tego nie zrobię, dziś nie pojedę przez Niewiażę za nic w

świecie, dziś, w taki wiatr, z tak zburzoną wodą, patrz! nie, za nic w świecie! Zresztą tej nocy śniła mi się Ondyna Niewiaży tak żywo, jak nigdy; śniło mi się, jak mnie niosła w kryształowe odmęty, och! czułam jej chłodną bieluteńką pierś, nawet czułam, jak serce biło pod tą piersią z radości, że mnie widzi, a z ust jej bladych czułam oddech jak zimny wietrzyk. „Przychodzę na twoje wezwanie” - przemówiła Ondyna wyraźnie, tuląc mnie do siebie. Ja jej jeszcze nie wzywałam nigdy, mój Arturze, i wzywać jej nie chcę; nieprawdaż, ty mi nie pozwolisz, Arturze? Mnie nie wolno jej wzywać, ja ciebie kocham i Stasia, syna mojego, nad życie kocham. Nie! dzisiaj nie możemy jechać za Niewiażę.

- Dzieciństwo, moja Zosiu, z tą Ondyna, wybij sobie tę głupią Ondynę swoją z głowy! jak to? tak mądra osoba, za jaką uchodzisz, wierzy w Świtezianki i w Niewiażanki? pojąć tego nie mogę - powie pan Artur z niejaką wzgardą.

- Ale wprzód wierzyleś w moją Niewiażankę i błagałeś mnie, żeby się nigdy nie zbliżać do wód Niewiaży.

- Gdyś jeszcze była panną, gdym się do ciebie zalecał... wtedy byłbym udawał, że wierzę w strzygi, czarownice, gnomy i dziaczki, Baby Jagi, ale teraz nie jesteśmy już dziećmi, powinny nam wyszumieć z głowy podobne zabobony. Dalej, kochana żono, pokaż, że dla mnie

jesteś gotowa wszystko zrobić, wyrzec się swej wiary w Ondynę, a będziesz zdrowszą i mniej tkliwą, a przynajmniej jeśli od razu wyrzec się

nie możesz wszystkich naszych żmudzkich guseł, to chociaż na ten wieczór zrób z siebie poświęcenie i jedź ze mną do sąsiadów.

Ona błaga na klęczkach, żeby nie nalegał o to, on się gniewać zaczyna i po raz pierwszy w życiu dotkliwymi słowy przemawia.

- Ale mój Staś, nasz Staś, na miłość Boga, Arturze!

- Cóż mu będzie, czy wiecznie chcesz być przykutą do niego, jak jedno ogniwo łańcucha do drugiego? chłopak ma dwa lata, dzielny apetyt i sen jak najzdrowszy, otóż już śpi, wybierajmy się, właśnie za-jeżdża lando, a panna Puciatówna już gotowa.

- Któż znowu ta panna Puciatówna? - spytałem starego jegomości, przerywając mu mowę.

- To szlachcianka, tu pod tą mogiłą złożona; to moja biedna, tyle rokująca córka - odpowie szlachcic ze łzami w oczach i zdejmując czapkę zwraca się do mnie słowami:

- Jestem Mateusz Puciata, herbu Trzywdar, dawny rządca dóbr, dziś dzierżawca blisko stąd położonej wioski, do usług pańskich, a przybyłem tu odwiedzić grób mojej pani i Kasi. Więc i ona, panie do-brodzieju, niechętnie się wydalala tego dnia z panią swoją z domu, bo także zaręczała, że jakieś ją prześladowają od dni już kilku grobowe przecucia, a śnią jej się trzciny i lilie żółte, co jest przepowiednią ja-kiegoś nieszczęścia w wodzie.

Pan Artur ani się dał wzruszyć, ani nagiąć tymi argumentami i na-glił do wyjazdu.

A pani wyjeżdżając z domu zegnała się z swym synkiem; długo pła-



cząc nad nim śpiącym nazywała go: „O, moja biedna sieroto!” Wszyscy obecni, a było ich kilku, słyszeli te słowa i nie ma żadnej wątpliwości, że były wymówione.

Potem państwo pojechali z moją Kasią w drogę, a do sąsiada była

239

zaledwie mila; tylko że Niewiażą i przekraczała drogę, jak ją tu pan przecież widzisz u stóp swoich.

Przejechali promem bardzo szczęśliwie, nie wysiadając z powozu, bo pan Artur nie pozwolił wysiadać, i jeszcze długo dowodził przykładami, że lepiej nie wysiadać z powozu, gdy się promem jedzie.

U sąsiada było towarzystwo męskie z kilkunastu obywateli złożone.

Więc mężczyźni grają w karty, a kobiety okropnie się nudzą. Wyje na dworze, a to nie bardzo zachęca do gry na fortepianie i do śpiewu.

Około pierwszej godziny po północy jeszcze w najlepsze obywatelstwo nasze grało w karty, a panią Zofię ogarnęła taka nieprzewyciężona tęsknota, że ze łzami w oczach prosi męża, aby z nią wrócił do domu, bo Stasiowi musiało się stać coś złego, kiedy ona tak okropnie o niego niespokojna.

- Znowu wpadasz w swoje mistycyzmy - odpowie małżonek, któremu nietęga szła karta – więc jedźże sobie sama, a mnie tu zostaw, wracam do domu za godzinę lub dwie z sąsiadem.

Do żywego dotknięta obojętnością małżonka, pani Zofia wyjechała uściskawszy go z jakimś dziwnym tęsknym, natchnionym, przez wszystkich zauważonym wyrazem twarzy.

On sam się wzruszył, lecz kart nie wypuścił z ręki, bo właśnie dostał osiem w samą czerwień.

I Kasia także musiała przewidywać licho, bo bardzo smutną była u koleżanki swojej u państwa Karolostwa, lubo ją pan Benedykt Szukszta znakomitym dowcipem swoim sumiennie pragnął rozweselić.

- A któż to znowu ten pan Benedykt Szukszta z znakomitym dowcipem, panie Mateuszu Puciato, herbu Trzywdar? - spytałem sędziwego opowiadacza.

- Pan Benedykt Szukszta, herbu Ogończyk, rządca dóbr pana Karola i narzeczony mojej biednej Kasi; widzisz go tam pan pod ową mogiłą obok Kasi.

- Jak to? więc i on? wszyscy poumierali? nikogo tu nie oszczędziła

240

nieubłagana kosa śmierci? Powiedz, panie Puciato, jak się to stało, że przyjemny pan Benedykt Szukszta umarł?

- Dowiesz się pan o tym wkrótce, bo już koło końca historii; tylko postępujmy porządkiem i tego na próżno nie wytaczajmy, co później było.

Więc Kasia w ciągu wieczora kilka razy oświadczyła panu Benedyktowi, że ona chyba nie wierzy w ziszczenie się ich małżeńskich nadziei, bo ją ścigają smutne przeczucia o strasznym zniweczeniu wszystkiego ziemskiego szczęścia.

I on nawet, lubo wesołego usposobienia z natury, wpadł po jej wyjeździe w melancholię, z której nie miał nieborak wyjść jak chyba tyl-

ko po śmierci.

Więc księżyc świecił na niebie jasno i czarne chmury przed nim szybowwały jak kiry, w chwili gdy pani Zofia i Kasia wyruszyły w drogę, a furman czwórką powożąc siedział z lokajem na koźle i wszystko poszło dobrze, tylko że tak żałośnie wiał wicher, jak gdyby wyły dusze nieboszczyków w czyścicu i błagały o modły ludzi.

Stare Żydzisko z pokudłaczoną brodą stało na promie i oczekiwało na powóz dla przewiezienia go, i okropnie złowrogo wyglądał ten kołtuniasty Charon, który miał dwie młode piękne dusze chrześcijańskie przewieźć od razu z życia w śmierć, i to przez zgon tak bolesny!

Niewiaża wezbrała i ciągle wzbiera; wiatr świszczę okropny od zachodu i bałwani wodami rzeki. Ale w imię Boga! konie wciągają na prom, pani i Kasia nie wysiadają, bo naprzód wiatr pędzi deszcz w oczy, i tak mocny, że gotów białogłowy porwać z sobą, a potem pan Artur dowodził, że najbezpieczniej w powozie pozostać podczas przewozu, a na koniec furman i lokaj słyszą na koźle, że pani od wyjazdu z dworu państwa Karolów ciągle płacze, szłocha i narzeka.

Już powóz na promie, już nawet odbija od brzegu, a szkaradne Żydzisko zapomniało założyć poręcz z tyłu promu, i to się staje ostatecznym powodem całego nieszczęścia. Furman i lokaj ciągle słyszą, jak

241

pani płacze i szłocha wniebogłosy; i naraz, gdy już prom był na połowie rzeki, pani krzyczy przeraźliwym głosem: „Ondyna, Ondyna! przyjdź na moją pomoc!”

Księżyc się zasłonił kirem, burza wściekła zawyła i na prom z nurtów rzeki wyskakuje coś białego niby fala i prosto uderza z przodu na konie, a potem na lando i znika w samym powozie.

Teraz obie niewiasty krzyknęły donośnym głosem: „Ondyna, Ondyna! Boże, litości!”

Konie się cofnęły w tył, przerażone, poręczy z tyłu nie ma, już koła powozu przekraczają brzeg promy, za nimi i przednie; powóz wpada w wodę pomimo wysilen furmana i służącego. Oni sami nie czekając, aż się kozioł zanurzy w wodę, rzucają się między konie: dyszel pęka - cały pojazd zatopiony, jeszcze tylko kilka jęków, następuje cisza; z pojazdu nic nie widać, wisi w rzece zanurzony w najgłębszym miejscu; dyszlowe konie zaparłszy się kopytami zatrzymują ciężar w nurtach.

Już wyzionęły ducha.

Resztę można sobie wystawić. Wyciągnięto pojazd i znaleziono w nim panią moją w ramionach córki mojej: ale obie były nieżywe i żadne środki lekarskie nie mogły ich przywrócić do życia.

A mały Staś tak się istotnie rozchorował tej nocy, że o mało co nie skonał.

O drugiej godzinie w nocy widziano, jak jakaś biała wysoka postać, niby obłok, niby gaza, zbliżyła się do łóżka Stasia, nachyliła się nad nim i w minutę potem zniknęła.

W tej właśnie chwili topiła się piękna, dobra, młoda matka Stasia w nurtach Niewiaży.

Cała Żmudź, żyjąca z sobą jak jedna rodzina, pokryła się żałobą, na

odgłos tak wielkiego nieszczęścia, a młodego wdowca żal był nieutulonym i chciał się targnąć na siebie samego, aby spocząć jak najprędzej na tym tu cmentarzu obok swej lubej żony.

Biedna moja Kasia! najmilsze dziecko moje!

242

Pan Benedykt Szukszta, lubo tak wesoły humorem, nie umiał jednak przeżyć straty narzeczonej swojej; umarł, jak tu pan widzisz z napisu na drewnianych krzyżach, w dwa miesiące po jej śmierci, umarł tu, na tym miejscu, na tej mogile.

- Ale na pięknym marmurowym grobowcu żaden napis, panie Puciato?

- Żaden; serce pisze na drzewie, a na marmurze najczęściej pycha, i dlatego trudniej wyryć napisy na marmurach.

- Ależ w lat kilka da się wyryć napis i na diamencie.

- Widzi pan dobrodziej... od tego czasu bardzo wiele zaszło... pan Artur ożenił się wkrótce po tym okropnym zdarzeniu z panną również ładną i bardzo dostojnego urodzenia...

- Rozumiem... i nie mógł wyryć na kamieniu: „stroskany mąż”, kiedy się już pocieszył.

- A potem, widzi pan dobrodziej... a potem pan Artur wyjechał za granicę i tam został hrabią: więc naturalnie...

- Więc naturalnie przedtem jeszcze nie był hrabią, gdy mu pierwsza żona umarła, a teraz nim jest; więc jakże tu pisać? czy że tu leży żona pana Artura, czy też hrabi Artura? To ważna kwestia.

- Najważniejsza, jaka tylko być może. Więc grobowiec powinien

się koniecznie obejść bez napisu...

- Aż go Staś wyryć każe. A Staś ślicznie się chowa w domu światłego dziadka swojego i zapewne wyjdzie na bardzo zdolnego, cnotę więcej niż tytuł ceniącego człowieka.

## AUTORZY ANTOLOGII POLSKIEJ NOWELI FANTASTYCZNEJ

---

**Barczewski Jan** (1790-1851) - syn ubogiego szlachcica zaściankowego, wychowanek kolegium jezuickiego w Połocku. O życiu jego posiadamy mało wiadomości. Wiemy, że przebywał czas jakiś w Petersburgu, że poznał tam Mickiewicza i Szewczenkę. Działalność literacką rozpoczął od wydania noworocznika „Niezapudka”. Był troskliwym i zamiłowanym zbieraczem powieści, legend i piosenek ludowych. Dużą popularnością cieszyło się jego główne dzieło: *Szlachcic Zawalnia, czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach* (Petersburg 1844-46) oraz wiersze białoruskie.

**Dzierżkowski Józef** (1807-1865) - za młodu pracował jako skryptor w Zakładzie im. Ossolińskich we Lwowie. Brał udział w powstaniu listopadowym. Po jego upadku przebywał we Lwowie i Zbarażu, utrzymując zawsze żywy kontakt ze środowiskiem literackim.

Pierwsza jego nowela *Placz i śmiech* (1838) zawierała już cechy charakterystyczne dla całej jego późniejszej twórczości: ostrą niechęć do tzw. warstw wyższych i skłonność do ich krytykowania, przechodzącego w karykaturę. W powieściach późniejszych *Kuglarze* (1845), *Dla posagu* (1847), *Salon i ulica* (1847), *Szpicrut honorowy* (1848) potępiał egoizm i zepsucie bogatej szlachty i mieszczaństwa i przeciwstawiał im nieco melodramatycznie ujmowany biedny, uciśniony a

245

szlachetny lud. W tym czasie prowadził gorącą walkę publicystyczną z konserwatywnym Stowarzyszeniem Ziemiańskim oraz współpracował z „Dziennikiem Mód Paryskich”, gdzie zapoznał się ze znanym dziennikarzem Janem Dobrzańskim, swym późniejszym długoletnim przyjacielem. Brał również czynny udział w konspiracji rewolucyjnej, a następnie w kampanii węgierskiej 1848 r. Wracającego po klęsce do kraju internowano w Austrii. Po powrocie do Lwowa pracował dalej jako dziennikarz i powieściopisarz. Ogłosił m. in.: *Rodzina w salonie* (1853), *Znajda* (1854), *Król dziadów* (1856). W r. 1864, podczas stanu oblężenia ogłoszonego we Lwowie, skazany został przez sąd wojskowy na trzy miesiące aresztu. Zwolniony, zmarł na zapalenie płuc, którego nabawił się w więzieniu.

**G r o z a A l e k s a n d e r** (1807-1875) - studiował na uniwersytecie w Wilnie i Dorpacie, po czym wrócił na rodzinną Ukrainę. Wydawał dwa pisma zbiorowe, „Rusałkę” w Wilnie w latach 1838-42 i „Grosz Wdowi” w Kijowie w latach 1849-50, odgrywające poważną rolę w

ówczesnym życiu literackim wobec słabego rozwoju regularnej prasy literackiej. Pierwsze dwutomowe wydanie zbiorowe jego utworów poetyckich, zawierające wiersze i poematy, ukazało się w Wilnie w roku 1843 pt. *Poezje*, w latach następnych wyszły dwa kolejne, poszerzone, wydania. Poza tym wydał parę powieści i zbiorów opowiadań. Treść i tło dla swojej twórczości czerpał z życia i podań chłopów ukraińskiego i białoruskiego. Wiele jego wierszy, jak np. dumy osnute na motywach ludowych, to pozycje o trwałej ideowej i artystycznej wartości.

**K o r z e n i o w s k i J ó z e f** (1797-1863) - wychowanek Liceum Krzemienieckiego, później nauczyciel domowy Zygmunta Krasieńskiego, z kolei profesor wymowy i poezji w Liceum Krzemienieckim

246

(1823-1832), filologii klasycznej w Kijowie (1833- 1838), dyrektor gimnazjum w Charkowie (1838-1846). Od r. 1846 dyrektor gimnazjum w Warszawie, potem wizytator szkół i członek Rady Wychowawczej. W okresie reform Wielopolskiego (1861-63) był dyrektorem Wydziału Oświecenia w Komisji Wyznań i Oświecenia, wypracował Ustawę Edukacyjną i brał udział w pracach organizacyjnych Szkoły Głównej. W początku 1863 r. złożył urząd i wyjechał z kraju. Zmarł w Dreźnie. Twórczość literacka różnorodna, wszechstronna i obfita.

Przed r. 1830 pisał dramaty pseudoklasyczne, rozprawy teoretyczne, przekładał. Woltera, Schillera itp. Po r. 1830 dał szereg utworów scenicznych stanowiących trwałe pozycje w naszym repertuarze, np.



*Karpaccy górale* (1840), *Panna męzatka* (1845), *Majster i czeladnik* (1845), *Wąsy i peruka* (1852), *Majątek albo imię* (1860), oraz równie popularnych powieści: *Spekulant* (1846), *Kollokacja* (1847), *Tadeusz Bezimienny* (1853), *Krewni* (1857). W utworach tych jest Korzeniowski prekursorem ideologii postępowego mieszczaństwa polskiego, która skrytalizuje się potem w tzw. pozytywizmie polskim. Głosi ugodę polityczną, pracę nad ekonomicznym i kulturalnym podniesieniem kraju, zwalcza przesady i rycerskie tradycje szlachty, zaleca natomiast kult cnót mieszczańskich: pracowitości i oszczędności, zmierzających do osiągnięcia dobrobytu. Stryj Józefa Konrada Korzeniowskiego, powieściopisarza angielskiego, znanego w literaturze światowej jako Joseph Conrad.

L i b e l t Karol (1807-1875) - pochodził z rzemieślniczej rodziny poznańskiej, gimnazjum ukończył w Poznaniu, studia wyższe w Niemczech, gdzie uzyskał doktorat filozofii. Brał udział w powstaniu listopadowym. Po jego upadku więziony w Opawie (Austria) i Magdeburgu (Prusy). Uwolniony, osiadł w Poznaniu, gdzie był nauczycielem gimnazjalnym. Brał czynny udział w ruchach rewolucyjnych lat 1846 i 1848, był członkiem Rządu Narodowego w r. 1846. Więżiony

247

w Moabicy, po uwolnieniu uczestniczył w zjeździe słowiańskim w Pradze, później był posłem do parlamentu frankfurckiego. Należał do „dyrekcji” Ligi Polskiej, założonej przez Cieszkowskiego. W latach 1859-70 był posłem do sejm pruski oraz prezesem poselskiego Koła

Polskiego. Znany przede wszystkim jako filozof i publicysta. Interesował się żywo kwestiami literackimi. Za zasługi naukowe powołany na członka Akademii Umiejętności oraz wybrany prezesem poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

O s s o l i ń s k i J ó z e f M a k s y m i l i a n (1748- 1826) - bibliograf i historyk. Związany blisko z dworem Stanisława Augusta, współpracownik czasopisma „Zabawy Przyjemne i Pożyteczne”. Po rozbiorach osiadł w majątku i poświęcił się wyłącznie nauce. Od r. 1789 bywał często w Wiedniu, zabiegał tam o utworzenie katedry literatury i języka polskiego w Akademii Lwowskiej. Wyzyskał następnie moment zniesienia niektórych klasztorów galicyjskich, aby zgromadzić bogaty zbiór książek, rycin, medali, map i stworzyć zakład znany pod nazwą Zakładu imienia Ossolińskich albo Ossolineum. Zmarł w r. 1826 w Wiedniu. Zajmował się także literaturą. Wydał przekłady: Seneki, Liwiusza, mów łacińskich Jerzego Ossolińskiego oraz zbiór materiałów *Wiadomości historyczne, krytyczne do dziejów literatury polskiej* (3 t.). Obok tego pośmiertnie ogłoszono: *Wieczory badeńskie* (1852) i *Rozmyślenia ślepego* (1852).

P o t o c k i Jan (1761-1815) - historyk i podróżnik. Odebrał staranne wychowanie domowe, następnie kształcił się w Genewie i Lozanie. Pierwszą podróż odbył do Włoch, Sycylii i na Maltę, potem odwiedził Tunis, Konstantynopol i Egipt. W r. 1788 wrócił do Polski, wslawił się tu pierwszą w Polsce podróżą „powietrzną”: latał balonem z Blanchardem. W r. 1791 odbył drugą swą większą podróż do Anglii,

Hiszpanii i Maroka. W kampanii r. 1792 brał udział jako kapitan

248

inżynierów. Po rozbiorach poświęcił się wyłącznie pracy naukowej, głównie zaś badaniu historii Słowian. Udał się w tym celu do Petersburga, tu mianowany był tajnym radcą Aleksandra I, przedsięwziął podróż naukową na Kaukaz (1798). Jako znany archeolog i etnolog uczestniczył w wyprawie rosyjskiej do Chin w grupie uczonych. Wyprawa jednak dotarła tylko do Kiachty. Zniechęcony tym, Potocki powrócił do Petersburga, gdzie przebywał do roku 1812, tj. do czasu, kiedy odsunął się od życia czynnego i udał się do swego majątku na Podolu. Zniechęcony i ogarnięty melancholią, odebrał tam sobie życie.

Pisarz wszechstronnie uzdolniony, o szerokich zainteresowaniach:

językoznawca, geograf, etnolog, pierwszy w Polsce archeolog. Ogłosił m. in. *Voyage en Turquie et en Egypte fait en 1784* (Warszawa 1788).

*Fragments historiques et géographiques sur la Scythie, la Sarmatie et les Slaves* (Berlin 1795), *Atlas archéologique de la Russie*

*européenne* (1829 - III wyd.) oraz romans *Manuscrit trouvé à*

*Saragossa* (1804, 1814 - w dwu częściach, potem jeszcze 5 wydań),

przekład polski Edmunda Chojeckiego pt. *Rękopis znaleziony w Sa-*

*ragossie* (Lipsk 1847, 6 t.), *Rękopis*, którego fragment pt. „Historia

komandora Torelwy” został zamieszczony w tym tomie, stanowi ciekawego przykład powieści oświeceniowej. Niesłusznie pomijany milczeniem przez naszych badaczy ze względu na język oryginału, w r. 1951

ukazał się w nowym wydaniu „Czytelnika” ze wstępem Mariana Toporowskiego.

R z e w u s k i H e n r y k (1791-1866) - potomek rodziny magnackiej (syn kasztelana witebskiego, prawnuk Wacława, hetmana). Pod wpływem wychowania szkolnego (konwikt karmelitów w Berdyczowie) i domowego przesiąkł tradycjami szlacheckimi; zetknął się bezpośrednio z ostatnimi przedstawicielami Rzeczypospolitej szlacheckiej. Pobyt w Petersburgu oraz liczne podróże za granicę wyrobiły w nim poczucie solidarności klasy feudałów, zabiły natomiast poczucie obowiązków i interesu narodowego. Był przedstawicielem

249

najskrajniejszej reakcji. W zakładanych i prowadzonych przez siebie pismach (m. in. „Dziennik Warszawski”) wzywał do podporządkowania życia umysłowego kontroli kleru, zwalczał wszelkie przejawy niezależności myśli, postęp i oświatę uważał za niebezpieczeństwo grożące zdrowiu moralnemu narodu. Lojalność wobec rządów carskich posunął aż do przyjęcia stanowiska urzędnika do szczególnych poruczeń przy Paskiewiczu. Poglądom tym dał wyraz w artykułach ogłaszanych w „Tygodniku Petersburskim” (1840-1850) oraz zbiorze *Mieszaniny obyczajowe przez Jarosza Bejlę* (Wilno, t. I, 1841, t. II, 1843). Legenda literacka łączy jego twórczość z wpływami Mickiewicza, któremu towarzyszył podczas wycieczki na Krym. Poeta, oczarowany jego darem opowiadania i odtwarzania typów szlacheckich, miał zachęcić go do spisywania anegdot, których tyle wyniósł z dzieciństwa. Tak miał

powstać jego główny utwór *Pamiętki Pana Seweryna Soplicy cześnika parnawskiego* (Paryż 1839, 4 t.), który był jednym z pierwszych przejawów bezkrytycznego kultu szlacheckiej, cechującego reakcyjny nurt naszego romantyzmu. Ciekawą pozycję stanowi również romans historyczny *Listopad* (Petersburg 1845-46, 3 t.); późniejsze utwory, jak np. *Zamek krakowski* (Petersburg 1847-48, 2 t.), *Adam Śmigieński* (1851), nie przedstawiały już tej wartości, co dwa poprzednie, i rychło uległy zapomnieniu. Jako pisarz odznaczał się Rzewuski zdolnością barwnej, żywej narracji, umiejętnością przedstawiania nie spotykanych już typów, przedstawicieli ginących formacji społecznych i kulturalnych. Odmalowywał je bezkrytycznie lub też z sympatią dla prądów wstecznych, widząc w nich rzekomą „rodzimą” polską kulturę, zagrożoną przez postęp.

S z t y r m e r L u d w i k (1809-1886) - autor powieści drukowanych pod nazwiskiem żony, Eleonory Szyrmer, oraz artykułów publicystycznych, drukowanych pod pseudonimem Gerwazego Bomby.

250

Absolwent akademii wojskowej w Petersburgu, służył zawodowo w wojsku rosyjskim, gdzie dosłużył się rangi generała sztabu generalnego i stanowiska kierownika wydziału w departamencie osad wojskowych. Debiutował literacko w r. 1841 na łamach wydawanego w Petersburgu przez Jana Barszczewskiego noworocznika „Niezbudka” dłuższym opowiadaniem pt. *Pantofel, historia mego kuzyna*. Zajmując stanowisko konserwatywne, został współpracownikiem, a

następnie jednym z głównych filarów reakcyjnego i klerykalnego „Tygodnika Petersburskiego”; wraz z Przeclawskim, Rzewuskim, Hołowińskim i Chołoniewskim tworzył tzw. pentarchię. Powieści Szyrmera, jak *Dusza w suchotach* (1843), *Frenofagiusz i Frenolesty* (1843), *Powieści nieboszczyka Pantofla* (1844, 2 t.) czy *Kataleptyk* (1846, 2 t.), łączą w sobie elementy fantastyki z analizą patologicznych przejawów psychologicznych. Zamieszczone w tym tomie opowiadanie *Paliwoda* jest mało charakterystyczne dla całokształtu twórczości Szyrmera.

**T r i p p l i n T e o d o r** (1813-1881) po upadku powstania listopadowego, w którym brał udział, wyemigrował przez Królewiec do Francji, gdzie ukończył studia medyczne. Dużo podróżował, w r. 1844 wydał w Poznaniu dwutomowe *Wspomnienia z podróży po Danii, Norwegii, Anglii, Portugalii i państwie Marokkańskim*. W r. 1849 korzystając z amnestii powrócił do kraju i osiadł w Warszawie. Współpracował z „Przeglądem Dwóch Światów” i „Biblioteką Warszawską”, w których zamieszczał dalsze opisy podróży. W latach 1851-55 ukazały się cztery nowe wydania znacznie powiększonych *Wspomnień*. Autor, zachęcony powodzeniem, napisał w latach pięćdziesiątych szereg powieści o tematyce przeważnie podróżniczej. W r. 1859 wyruszył do Egiptu, skąd na wieść o wypadkach wojennych wyjechał do Włoch, gdzie przyjął obowiązki lekarza wojskowego. W r. 1877 powrócił do kraju i wydał swoje ostatnie dzieło, *Wspomnienia z ostatnich podróży*, które nie wzbudziło już jednak większego zainteresowania.

# Treść

- Józef Maksymilian Ossoliński *Nie użyje, nie zje, nie  
spije... diabeł przyleci i porwie* 5
- Józef Maksymilian Ossoliński *Fraszka diabeł* 23  
*Co diabolica zarwie, tego i diabeł nie wydrze* 23  
*Jeszcze z onegdajszego ostatek* 29
- Jan Potocki *Historia komandora Torelwy* 36
- Jan Barszczewski *Włosy krzyczące na głowie* 46
- Jan Barszczewski *Zachariaszek* 66
- Henryk Rzewuski *Ja gorę* 69
- Józef Korzeniowski *Narożna kamienica* 80
- Józef Dzierzkowski *Lekarz magnetyczny* 91
- Aleksander Groza *Biała róża Pinettiego* 134
- Karol Libelt *Gra w szachy* 148
- Ludwik Sztjrmer *Paliwoda* 193  
*Małe przygody* 193  
*Przygody mniejsze* 207
- Teodor Tripplin *Grobowiec bez napisu nad Niemnem* 229
- Autorzy antologii polskiej noweli fantastycznej* 243